

ŚLĄZACY NA ZIELONEJ WYSPIE

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X



Nr 3 (220) • ROK XIX • MARZEC 2014

Jubileusz ANTONIEGO WITA

Teatr bez makijażu

– rozmowa z JERZYM GŁYBINEM

Godka uszlachetnia, a co z polszczyzną?

Czarna legenda Kreuzritterów

Poezja i proza: JOANNA KERN, RENATA
PUTZLACHER, SABINA WAWERA-DŁUGOSZ





20 lutego w Bibliotece Śląskiej odbył się benefis architekta Henryka B. Buszko, współtwórcy – wraz z Aleksandrem Frantą – m.in. osiedli: Tysiąclecia, Roździeńskiego (tzw. gwiazdy) w Katowicach oraz sanatorium w Ustroniu Zawodziu (tzw. piramidy). Laudację na cześć Nestora wygłosił dr Jacek Owczarek, dyrektor Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach. Uroczystość uświetniły występy artystyczne oraz fragmenty filmu „Portret mówiony – H. Buszko” a także wystawa poświęcona twórczości architekta. Benefis ten zainaugurował cykl „Twórcy Śląskiej Architektury. Portrety”, którego celem jest prezentacja dokonania architektów działających na Śląsku po 1945 r.



Dbasz o jakość swoich usług, produktów oraz wdrożonych standardów zarządzania?

Weź udział w Programie Stawiamy na jakość!

Zgłoszenia przyjmowane są do 31 marca b.r.
przez Regionalną Izbę Gospodarczą w Katowicach

Gala Konkursu Śląska Nagroda Jakości
12 maja 2014 r. w Hotelu Arsenal w Chorzowie

Więcej szczegółów na: www.rig.katowice.pl
oraz pod numerem 32 351 11 91

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

RENATA PUTZLACHER

Anna do Josifa. Zaświaty

*Josifie kochany! Ponieważ liczba moich
nie wysłanych listów niedostrzegalnie urosła
do setki, postanowiłam napisać do Pana prawdziwy...
Achmatowa do Brodskiego (1965)*

Patrz, oni teraz piszą do siebie maile,
a my kiedyś mieliśmy swą sekretną pocztę.
Strzępki poezji wsuwane pod drzwi
leśnej „Budki”. Tropy wiewiórki
nagle przerwane przez ślad męskiego
buta. Tajemne szyfry przemycane
zawsze gdzieś między wierszami.
Bez tego wszystkiego dopadłaby nas
proza życia, a wcześniej pewnie jakiś
nadgorliwy funkcjonariusz z biura cenzury.
Oni teraz widzą swoje twarze
na ekranach, choć dzielą ich tysiące mil.
A ja po raz pierwszy zobaczyłam twoją twarz
za szybą i tak już zostało. Nas nie ma,
a ona tam jest. Jej odbicie, szklana łąka
z wiewiórkami.



Rys. Wojtek Łuka

Renata Putzlacher – urodzona w Karwinie (RC), od lat dzieli swój czas między Czeski Cieszyn i Brno, gdzie prowadzi zajęcia na temat współczesnej literatury polskiej oraz teorii i praktyki przekładu w Instytucie Sławistyki Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Masaryka. Poetka, autorka opowiadań i sztuk teatralnych, tłumaczka, publicystka, autorka tekstów piosenek. Jako aktywna animatorka kultury jest współzałożycielką kawiarni literackiej AVION (przygotowała i prowadziła 50 programów poetycko-muzycznych w latach 1996-2009) oraz założonego w roku 2000 polsko-czeskiego stowarzyszenia artystycznego Spolek-Towarzystwo AVION w Czeskim Cieszynie (od roku 2000 jest jego prezeską). W tym roku ujrzy światło dzienne jej najnowsza, dziewiąta publikacja, książka prozatorsko-poetycka pt. „W kawiarni AVION, której nie ma”, z której pochodzą następujące fragmenty.

Nr 3 (220). Rok XIX. MARZEC 2014 r.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21
e-mail: gtl@gtl.home.pl
www.gtl.org.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
Tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WITOLD TURANT
redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,
sekretarz redakcji

MARIA SZTUKA
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

KATARZYNA BERETA
redaktor periodyku internetowego
www.slaskgtl.pl

MIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMLIŃSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjaslask@onet.pl,
msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48

Druk: PW „Tolek”
DRUKARNIA JM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Zwirki i Wigury 1

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ
pod adresem:

<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

5. *Rozmowa z maestro Antonim Witem* JAK NAKŁONIĆ ORKIESTRĘ DO ENTUZJAZMU?
8. *Lidia Główna* BARBARZYŃCY NA WYSPIE
10. *Bogusław Chorąży* ZAGINIONE ŚWIATY – CELTOWIE W KARPATACH ZACHODNICH
12. *Jerzy Illg* ŚLĄSCY CELTOWIE
17. *Rozmowa z Bogdanem Witą (Carrantouhill)* IRLANDZKA MUZYKA, ŚLĄSKI TEMPERAMENT
20. *Bogusław Kniszka* BRATERSTWO
23. *Henryk Szczepański* CZARNA LEGENDA KREUZRITTERÓW
32. *Jan F. Lewandowski* IRLANDCZYCY NAD ODRĄ
34. *Rozmowa z Jerzym Głybinem* TEATR BEZ MAKIJAŻU
38. *Marian Buchowski* CZERWONA NITKA STACHURY
42. *Krzysztof Gałuszka* JOANNA Z GODULI
44. *Rozmowa z Natalią Koryncką-Gruz i Izabelą Kuną* NOC NA ZIEMI
52. *Ryszard Bednarczyk* GÓDKA USZLACHETNIA, A CO Z POLSZCZYZNĄ?

FELIETONY

3. EDYTORIAL
37. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański DLACZEGO POLACY ZACZĘLI EMIGROWAĆ? (II)
47. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA
Jan Miodek SYPANIE I SUCIE
59. *Magdalena Dziadek* MIĘDZY NUTAMI. WOJCIECH KILAR. MUZYKA ANIELSKA
65. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY

PLASTYKA

48. *Wiesława Konopelska* KOLOR. FORMA. PRZESTRZEŃ. O twórczości Romana Nygi
49. ROMAN NYGA. RETROSPEKCJA ARTYSTYCZNA 1956-2013.
50. SKOCZYŁAS I PAWEŁ STELLER. Muzeum Historii Katowic
51. *Michalina Wawrzyczek-Klasik* WIELKI MISTRZ WIELKIEGO UCZNIĄ
76. *Witold Kociński* ZLEKCEWAŻONE PIĘKNO

TEATR

56. *Monika Wycykal* OBŁĘDZIE, KROCZ ZA MNĄ!
57. *Danuta Lubina-Cipińska* SEANS FILMOWY W TEATRZE
58. *Joanna Warońska* O NAGŁYM I NIESPODZIEWANYM SPOTKANIU

KSIĄŻKI

60. *Przemysław Pieniążek* MY, OBYWATELE PRL-U
61. *Michał Paweł Urbaniak* MIĘDZY SŁOWAMI
62. *Katarzyna Krzan* GRA POZORÓW
62. *Adriana Urgacz-Kuźniak* ZIELONEMU POJĘCIU WYDAWAŁO SIĘ, ŻE KAŻDY JE MA
63. *Katarzyna Bereta* CZEGO UCZĄ NAS LEGENDY MARIE HEANÉY?
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE
Renata Putzlacher ANNA DO JOSIFA. ZAŚWIATY
18. *Renata Putzlacher* WIERSZE
26. *Joanna Kern* ZESZYT W SZKOCKĄ KRATĘ
33. *Sabina Wawerla-Długosz* WIERSZE

EKOLOGIA

54. *Jolanta Matakowska* WĘGIEL KLASY EKO!

STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
(ów) Z MYŚLA O POTRZEBACH CZYTELNIKÓW
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. JUBILEUSZ ANTONIEGO WITA
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

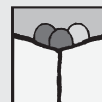
69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Szuka* SOSNOWIEC
73. *Jan Picheta* BIELSKO
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
75. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE:

Zuchy z Polskiej Szkoły w Galway (Irlandia).

FOTOGRAFIA:

Katarzyna Frańczak





Fot. Bogdan Kulakowski

Drodzy Czytelnicy

O to dołączyliśmy, dla niektórych niepostrzeżenie, do grona narodów emigrantów. Przyczyn jest wiele, ale na czoło wysuwa się zdecydowanie jedna-ekonomiczna. Można dzielić włos na czworo i zastanawiać się, jak bardzo to zjawisko jest niekorzystne, czy jest trwałe i co należy zrobić, by położyć mu kres. Jednak jest ono faktem, a jego skala jest tak poważna, iż politycy ani socjologowie nie mogą go nie zauważać. Ci pierwsi powinni z niego wyciągnąć praktyczne wnioski w oparciu właśnie o socjologiczne badania i obserwacje. Zastanawiające, że bardzo liczna społeczność wyjeżdżających za chlebem Polaków wybiera kraj położony nieco na uboczu, kraj, który w pierwszym dziesięcioleciu naszego stulecia dokonał niebywałego skoku gospodarczego. A jednak Irlandia w nie tak dawnej historii sama zapisała się jako kraj emigrantów, dostawca siły roboczej dla rozwijającej się gwałtownie gospodarki Stanów Zjednoczonych; Irlandczycy stwarzali podwaliny australijskiej i kanadyjskiej nowej rzeczywistości. Czy wobec tego lepiej rozumieją dążenia i potrzeby emigrantów z innych krajów, którzy zasilają ich rynek pracy? Jak w irlandzkim środowisku, różnym od kontynentalnego, czy brytyjskiego, ale jednak wyspiarskim, odnajdują się Polacy, w tym także spora grupa mieszkańców Śląska – o tym w relacji jednej z tych osób, które są w samym środku tamtejszego życia, po raz pierwszy goszczącej na naszych łamach, Lidii Górki („Barbarzyńcy na Wyspie”). Jan F. Lewandowski natomiast w swym szkicu historycznym ukazuje Irlandczyków na Śląsku – irlandzkich żołnierzy, którzy w ramach brytyjskiego kontyngentu rozjemczego stacjonowali tu w okresie powstań śląskich. Jerzy Illg, redaktor naczelny wydawnictwa „Znak”, opowiada o swojej podróży po „szmaragdowej wyspie” ze śląskimi Celtami, zespołem „Carrantuohill” oraz wspomina Seamusa Heanneya, irlandzkiego poetę noblistę oraz jego zauroczenie Krakowem a także... muzyką „Carrantuohill”. I wreszcie, by wyczerpać irlandzko-śląski wątek, przyjrzymy się pradawnym reliktom celtyckiej przeszłości, jakie zachowały się m.in. w Beskidzie Śląskim.

Ponadto proponujemy wiersze znakomitej zaolziańskiej poetki, Renaty Putzlacher oraz ciekawą opowieść Johanny Kern zatytułowaną „Zeszyt w szkocką kratę”. Marian Buchowski opowiada o śląskich postaciach oraz wątkach w życiu Edwarda Stachury. Przedstawimy także historię pewnej katowickiej kamienicy oraz nieznane fakty z życia najbogatszej sierotki w dziejach Śląska. Poza tym chciałbym zwrócić Państwa uwagę na rozmowę Marka Brzeźniaka z Antonim Witem – jednym z najwybitniejszych polskich dyrygentów, postaci wpisanej trwale w życie muzyczne naszego regionu. Na stronach barwnych – kolejne świadectwo kreatywności środowiska plastycznego oraz relacje z wystaw i wernisaży.

Tym z Państwa, którzy po raz pierwszy wezmą do ręki nasz miesięcznik polecamy nasze stałe pozycje: felietony, aktualne recenzje książek oraz spektakli teatralnych. Zapraszam do lektury tego nieco nietypowego wydania, którego symbolem mogłaby być zielona koniczynka, *shamrock*, którą posłużył się ponoć św. Patryk, tłumacząc mieszkańcom Zielonej Wyspy istotę Trójcy Świętej.

WITOLD TURANT

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numera

starej kamienicy w Bielszowicach zginęła kobieta i trzech mężczyzn. Pożar spowodowała wadliwie działająca kuchenka gazowa.

■ WYGODNIEJ jeździ się przez Pszczynę, gdzie jeszcze w sylwestra otwarto długo oczekiwaną 4,5 km obwodnicę miasta, omijając centrum miasta i skracając trasę (DW 935) na Żory-Rybnik-Racibórz. Jej budowa trwała 21 miesięcy, a rozpoczęła się po trwających dekadę negocjacjach i dyskusjach. Obwodnica wraz z bezkolizyjnym węzłem na Drodze Krajowej nr 1 to jedna z największych inwestycji drogowych samorządu województwa śląskiego. Kosztowała 115 mln zł.

■ OSOBA, która przyczyniła się do złapania podpalacza grasującego pod Kaplicówką może liczyć na 5 tysięcy złotych nagrody. Wyzaczyła ją burmistrz Skoczowa Janina Żagan, bo w ostatnim czasie na terenie gminy doszło do kilku pożarów – paliły się stodoły oraz niewielkie budynki gospodarcze w Pogórze, Wilamowicach, Kowalach i Kiczycach, a także Pierścu.

■ POGRZEB kompozytora Wojciecha Kilara miał miejsce w sobotę 4 stycznia. Umę z jego prochu po mszy w archikatedrze Chrystusa Króla odprowadzono w uroczystym kondukcie pogrzebowym na cmentarz przy ul. Sienkiewicza.

■ ORSZAKI Trzech Króli widziane były w 18 miastach naszego województwa (w tym i w stołecznych Katowicach), w całym kraju takich przemarszów zorganizowano aż 180. Jedynie w Tarnowskich Górach królów było czterech, bo oprócz Kacpra, Melchiora i Baltazara pojawił się również król Jan III Sobieski, co było ukłonem organizatorów w stronę historii i tradycji tego miasta.

■ INGRES nowego biskupa diecezji bielsko-żywieckiej, ks. prof. Romana Pindla, miał miejsce w poniedziałek 6 stycznia. Przewodniczył mu kardynał Stanisław Dziwisz. To drugie w historii XV-wiecznej katedry w Bielsku-Białej święcenia biskupie. Dwa lata temu przyjął sakrę biskupa w tej świątyni bp pomocniczy Piotr Greger.

■ TRWA wielki remont DK 94 w Dąbrowie Górniczej. Właśnie znika wiadukt nad ul. Puszkińska. A po nowym asfalcie w stronę Sosnowca pojedziemy wiosną.

■ PYRZOWICOM ubyto w 2013 roku pasażerów, a ich bliskiej konkurencji, lotnisku w Balicach za to przybyło. Ostatni taki spadek ilości pasażerów śląski port lotniczy odnotował w 2009 r. Wtedy ob-

służono 2 mln 364 tys. pasażerów. W 2012 r. Katowice Airport osiągnęły poziom 2 mln 550 tys. obsłużonych osób, choć prognozowano 2 mln 700 tys. I tej granicy nie przekroczone w zeszłym roku, w którym przez pyrzowickie lotnisko przewinęło się 2 mln 544 tys. pasażerów. Krakowskie Balice odnotowały wzrost, co przełożyło się na liczbę 3 mln 647 tys. odprawionych pasażerów.

■ NOWOCZESNY gmach Uniwersytetu Ekonomicznego CNTI, czyli Centrum Nowoczesnych Technologii Informatycznych, otwarty został 9 stycznia. Kosztował 47 mln zł. To „pięć pięter naszpikowanych elektroniką”. Jest tu system BMS (zarządzania tzw. inteligentnym budynkiem), sieć wi-fi, serwerownia, laboratoria komputerowe, biblioteka multimedialna z dostępem do baz danych i specjalistycznego oprogramowania oraz dwupiętrowa aula dla 200 słuchaczy wyposażona w ekrany LCD. Budynek nie tylko ładnie wygląda, ale jest i ekologiczny. Wyposażony jest m. in. w systemy solarne, a magazynowana na dachu woda deszczowa służyć ma do obsługi sanitariatów i podlewania.

■ WPLYWY z opłaty śmieciowej, czego należało się spodziewać, zasilają z powodzeniem gminne budżety. Bo obliczono je „na wyrost”. Samorządowcy się cieszą, ludzie mniej. Niektóre władze obniżają śmieciowe podatki – dzieje się tak np. w Bytomiu (z 11,2 zł na 9 zł dla osoby segregującej śmieci), Mysłowicach (z 12 zł na 9 zł), Rudzie Śląskiej (z 11 zł na 9 zł), Chorzowie (z 11 na 10 zł). Obniżkę zapowiada Sosnowiec. Przedsiębiorcy skupieni w Krajowej Izbie Przedsiębiorców szacują, że obywatel powinien płacić między 10 a 17,5 zł, by system odbioru funkcjonował. Dodajmy – funkcjonował z odpowiednim zyskiem dla przedsiębiorców. Na kieszeń zwykłych obywateli nikt nie patrzy.

■ ARCHIWUM Państwowe w Katowicach pomaga rodzinnym archiwistom. Płacówka ta uruchomiła specjalny, bezpłatny punkt konsultacyjny dla wszystkich amatorów historii. Jej dyrektor, dr Piotr Greiner, zapowiedział udostępnienie za darmo nie tylko archiwów, ale także zapewnił o bezpłatnej opiece konserwatorskiej nad takimi rodzinnymi pamiątkami. Katowiccy archiwiści pomogą zainteresowanym poznać sposoby poszukiwania własnych przodków, a także tworzenia archiwum rodzinnego i metody jego konserwacji. Poradzą, jak usystematyzować odnalezione dokumenty i zdjęcia. Obecnie połowę użytkowników katowickiego archiwum stanowią historycy amatorzy, a także przedstawiciele firm genealogicznych.

■ SERIA wypadków drogowych z udziałem pijanych kierowców nie ominęła również naszego regionu. Tomasz M., 41-letni ksiądz z Gaszowic koło Rybnika, jadąc przez Zwonowice zjechał oplem na drugi pas ruchu i uderzył w wolkswagena. Na szczęście w kolizji nikt nie ucierpiał. Sprawa miał dwa promile w wydechym powietrzu. Pijanemu duchownemu grożą dwa lata więzienia. Ksiądzka natychmiast ukarała katowicka kuria nakładając zakaz wykonywania jakichkolwiek aktów wyznających ze święceń.

■ SIEDEM na dziewięć sołectw gminy Sośnicowice ma lub będzie miało dwujęzyczne tablice, gdyż 6,3 procent mieszkańców deklaruje narodowość niemiecką. Gmina Sośnicowice (po niem. Kieferstädtel) jest trzecią w woj. śląskim z dwujęzycznymi tablicami. Najpierw stanęły one w Łubowicach w gminie Rudniki i w całej gminie Krzanowice.

■ SPECJALISTYCZNY ośrodek onkologiczny otwarto 10 stycznia w Uniwersyteckim Centrum Okulistyki i Onkologii w Katowicach. Dzięki wielomilionowej inwestycji możliwe było utworzenie oddziałów: onkologii, radioterapii i chirurgii onkologicznej, poradni onkologicznej oraz wyposażenie ośrodka w supernowoczesny sprzęt, w tym w drugi w Polsce Gamma Knife – to warte ok. 4 mln euro urządzenie służące do leczenia zmian nowotworowych w obrębie mózgu.

■ PRZESYŁKI z sądu odbieramy nie na poczcie, jak się przyzwyczailiśmy, ale przeważnie w kioskach – i to powoduje dużą zawieruchę. Przesyłki nie docierają do adresatów, a ci sami są zdezorientowani, gdzie w zasadzie mają dotrzeć. No i na jakiej podstawie prawnej kioskarz ma prawo nas legitymować?

■ WICEPREMIER Elżbieta Bienkowska, obiecała – choć w tym temacie padło już za dużo słów

bez pokrycia – że w ciągu najbliższych dwóch miesięcy ogłoszony zostanie przetarg na budowę autostrady A1 między Pyrzowicami a Częstochową. Powstać ma również sama obwodnica Częstochowy. My pani premier – bo krajanka – wierzymy bardziej niż innym politykom [choć ona sama twierdzi, że jest tylko urzędnikiem].

■ ZMARŁ 10 stycznia Zbigniew Messner (rocznik 1929), wicepremier ds. ekonomicznych i premier PRL (1985-88), ekonomista, długoletni rektor Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Autor książek i publikacji z zakresu ekonomii. Prezes Stowarzyszenia Księgowych.

■ KONIEC Inteko, niesławnej spółki-córki Kolei Śląskich. Jeszcze 23 grudnia wpłynął wniosek do sądu w Katowicach o jej upadłość. Wciąż nie wiadomo, ile publicznych pieniędzy pochłonęła jej działalność (nie ujawniono wyników jej audytu). Za sprawą dziwnych operacji finansowych z udziałem Inteko, Górnoląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów utraciło ponad 30 mln zł, a Koleje Śląskie kilka pociągów, które przejęło GPW za nieregulowane zobowiązania. Inteko miała stworzyć dla KŚ system sprzedaży biletów.

■ ŚLAZACY, godzina „S” wybiła! 13 stycznia w ten właśnie sposób, na konferencji prasowej, proklamowano obywatelską inicjatywę zmierzającą do ustawowego uznania Ślązaków za mniejszość etniczną (www.13stycznia.pl). Zbiórki stu tysięcy podpisów w tej sprawie zapowiedział lider RAS, dr Jerzy Gorzelik. Akcję wspiera swoim autorytetem reżyser Kazimierz Kutz.

■ KOLEJNY rekord Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w naszym regionie – zebrano 3,6 mln zł podczas 22. Finału WOSP.

■ TAKI mamy klimat – wymusnęło się niechęć pani premier Bienkowskiej, kiedy przyszły pierwsze przymrozki i kilka składów pociągów, gdzieś w Polsce, zaczęło mieć astronomiczne opóźnienia. To głębokie, bo bardzo uniwersalne powiedzenie odnieść możemy do panujących anomalii pogodowych. Bo w styczniu – mimo tygodniowego mrozu – wariuje przyroda. Budzą się niedźwiedzie, w Jeleśni zakwitają żonkile, w Żywcu kalina koreańska, w Koconiu pierwiosnki, a w Łodygowicach stokrotki. Taki mamy klimat właśnie.

■ LEKARZE z Centrum Onkologii w Gliwicach otrzymali Medycynę Oskara, nagrodę Amerykańskiego Towarzystwa Chirurgii Rekonstrukcyjnej i Mikronaczyniowej, za przeszczep twarzy, jaki dokonano w połowie maja zeszłego roku u pacjenta z Dolnego Śląska.

■ KONCZY się remont Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, który w obchodzie 56. urodziny. Jest największą w kraju, po warszawskim Pałacu Kultury i Nauki, perłą epoki socrealizmu.

■ NAJWIĘKSZA na świecie moneta z wizerunkiem Jana Pawła II jest wykonana z nieskazitelnie srebra najwyższej próby i jest pierwszą monetą w historii numizmatyki, która ma kształt Polski. Waży 100 uncji, czyli ponad 3 kg, i ma wymiary 13 na 10 cm (grubość 33 mm). Jest zdobiona 27 diamentami symbolizującymi 27 lat pontyfikatu JPPI. Do jej wybicia potrzebna była specjalna prasa o nacisku 890 ton. Monetę zaprezentowano w częstochowskim Muzeum Monet i Medali. Mennica Papiaska przygotowała jedynie 99 sztuk tych monet, z czego 55 będzie dostępne w Polsce – reszta dla kolekcjonerów zagranicznych. Wybito ją specjalnie na zbliżającą się kanonizację Ojca Świętego.

■ PREZYDENT Komorowski wymyślił, żeby w Warszawie postawić pomnik Korfanteo – i słusznie. Ale sfinansować go ma w całości... Śląsk (ze zbiorów publicznych). „No to by się nawet wpisywało w nasze dzieje i relacje” – zauważył trafnie Jerzy Gorzelik. Relacje kolonialnej podległości.

■ KUTZ jedyneką Twojego Ruchu Palikota, Gierk jedynką SLD – zaczęła się już kampania do europarlamentu, choć same wybory 25 maja.

■ WYCINKA 238 drzew kosztować będzie Park Śląski, dawniejszy WPKiW, aż 3,3 mln zł. Taka jest wysokość nałożonej przez władze Chorzowa kary za nielegalną wycinkę drzew, której zdaniem władz Parku... nie było, bo miała ona „charakter pielęgnacyjny”. Sprawę rozstrzygnie Samorządowe Kolegium Odwoławcze.



Jak nakłonić orkiestrę do entuzjazmu?

– W tym roku obchodzi pan dyrektor dwa jubileusze: 70-lecia urodzin i 50-lecia pracy artystycznej. 70-lecie dość łatwo ustalić, bo to „dyktuje” metryka. Trudniej jest z 50-leciem pracy artystycznej. Co wyznaczyło ten drugi, młodszy, ale bardziej „okragły” jubileusz?

– W czerwcu 1964 roku, będąc jeszcze studentem I roku, po raz pierwszy wystąpiłem jako dyrygent i poprowadziłem or-

kiestrę Filharmonii Krakowskiej. Orkiestrę, przy której się właściwie wychowałem – wszak od najmłodszych lat chodziłem na jej koncerty, którymi dyrygowali Bohdan Wodiczko, później Andrzej Markowski, wreszcie Henryk Czyż.

– Jak to? Dużą orkiestrę symfoniczną dostał pan „do rąk”, co prawda nie jej dyrekcję, ale jakby nie było prawdziwy, „pełny” koncert, już na I roku studiów?

– Skoro tak uważał mój pedagog Henryk Czyż... Był to wspaniały wychowawca, który mówił, że aby być dobrym dyrygentem wszystko należy temu celowi poświęcić. Jak możesz nakłonić orkiestrę – pytał – by grała z entuzjazmem, skoro w tobie nie będzie tego entuzjazmu? W jakiejś mierze to dzięki niemu kontynuowałem również studia prawnicze – ponieważ liceum ukończyłem rok przed średnią szkołą muzyczną, zdałem na prawo. Henryk Czyż uważał, że to bardzo dobrze i sugerował, abym nie przerywał studiów na UJ, ale studiował równoległe na obu uczelniach. Mobilizował mnie też skutecznie do nauki języków obcych, co okazało się w późniejszym moim życiu ogromnie przydatne, wręcz niezbędne. Natomiast do studiowania kompozycji namawiał mnie, jeszcze w szkole średniej Franciszek Skołyszewski – postać tego pedagoga muzycznych przedmiotów teoretycznych zawsze wymienia w swych biogramach Krzysztof Penderecki. Ale kompozycja specjalnie mnie nie interesowała, choć dzięki temu kierunkowi już podczas studiów nawiązałem kontakt z Pendereckim, którego dziełami miałem później wielokrotnie dyrygować i je nagrywać.

– A więc zadebiutował pan w czerwcu 1964 roku...

– A w czerwcu obecnego roku, prawie dokładnie 50 lat po debiucie znów stanę przed filharmonikami krakowskimi i poprowadzę m.in. utwór, którym dyrygowałem w 1964 roku – IV Koncert organowy krakowskiego kompozytora, urodzonego we Lwowie, Tadeusza Machla. Zresztą od obecnego sezonu jestem dyrygentem honorowym Filharmonii Krakowskiej. Bardzo sobie cenię, że orkiestra, przy której się wychowałem, chciała mnie tym tytułem uhonorować. Z jej dyrektorem, Bogdanem Toszą, byłym dyrektorem Teatru Śląskiego w Katowicach, umówiliśmy się, że będę prowadził tam dwa, lub trzy, programy w sezonie.

– W takim razie po koncertach w Katowicach i w Warszawie to chyba będzie trzeci tegoroczny pański koncert jubileuszowy...

– Całkiem sympatyczna triada. Swoje rocznice świętuję w mieście, w którym się urodziłem i wykształciłem, a także w mieście, w którym obecnie mieszkam i w mieście, w którym najdłużej kierowałem jedną orkiestrą.

– Był pan dyrektorem Narodowej (dawniej Wielkiej) Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia aż 17 sezonów. Jednak obecny koncert jubileuszowy miał pan nie z NOSPR, ale z orkiestrą Filharmonii Śląskiej. Czyżby postanowił pan „zamienić się” rolami ze Stanisławem Skrowaczewskim, który po krótkiej pracy etatowej w Filharmonii Śląskiej i wieloletniej karierze zagranicznej dziś ma tytuł głównego dyrygenta NOSPR, a więc też katowickiej orkiestry, ale nie „swojej” dawnej.

– Zawsze chętnie przyjmuję zaproszenia, jeśli ktoś chce mi stworzyć takie wa-

runki, bym mógł z owego zaproszenia skorzystać. Z Filharmonią Śląską i jej dyrektorem Mirosławem Błaszczukiem mam kontakty wcześniejsze i bardzo dobre. Przed dwoma laty byłem przewodniczącym jury, organizowanego przez Filharmonię, IX Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga. Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy nową salę koncertową Akademii Muzycznej, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie i cieszę się, że mogłem obecnie w tym miejscu poprowadzić „swój” koncert i że styczniowy termin zbiegł się prawie dokładnie z moimi urodzinami, wyprzedzając je zaledwie o kilka dni. W programie wieczoru umieściłem obok IX Symfonii Beethovena także utwór Wojciecha Kilara „Angelus”, którego prawykonaniem dyrygowałem w Katowicach 30 lat temu – poniekąd to kolejny, a więc chyba już czwarty jubileusz. Planując ów program, wiosną zeszłego roku, nie dopuszczałem myśli, że w dniu koncertu Wojciecha Kilara nie będzie już wśród nas.

– **Sala koncertowa Akademii Muzycznej istnieje już od kilku lat, a w tym roku, prawie równocześnie, zostaną oddane do użytku dwa następne wnętrza koncertowe: nowa siedziba NOSPR i rozbudowany obiekt Filharmonii Śląskiej. Zbiegiem okoliczności gmach NOSPR powstaje kilka kroków od dawnego pańskiego katowickiego mieszkania.**

– Bardzo się cieszę, że Śląsk tak pięknie i to od podstaw. Przecież żadne miasto w Polsce nie ma tak dogodnych połączeń autostradowych, jakie są tutaj. Do tego dochodzi infrastruktura kulturalna z przekształcaniem i ponownym wykorzystaniem obiektów poprzemysłowych. Cieszę się też, że NOSPR, którą kierowałem przez 17 lat, ale współpracowałem prawie 20, bo jeszcze za dyrekcji Mariana Wallek-Walewskiego i potem, przez półtora roku, przed objęciem Filharmonii Narodowej, zmieni swą siedzibę na nową, większą i piękniejszą. Będzie to chyba największa dziś sala koncertowa w Polsce.

– **Kiedy Katowice, po dość długim „bezkrólewiu” na dyrektorskim fotelu WOSPR (wtedy jeszcze WOSPRiTV) zaproponowały panu tę dyrekcję był to pana pierwszy kontakt z tym bardzo szarym wtedy miastem?**

– O nie. W 1969 roku powierzył mi poprowadzenie orkiestry jej ówczesny szef, Bohdan Wodiczko. A jeszcze wcześniej, w 1963 roku, jako uczeń krakowskiej średniej szkoły muzycznej otrzymałem w Katowicach III nagrodę na konkursie solfeżu. Pamiętam, że nocowałem wtedy w hotelu „Torkat”.

– **?! Pan, który w swojej karierze poznał chyba najbardziej ekskluzywne hotele świata pamięta jeszcze jakiś mało ważny, już nieistniejący, obiekt?**

– Redaktorze, to przecież było w czasach młodości, prawie dzieciństwa. A to się pamięta, zwłaszcza że to wydarzenie

wpłynęło znacząco na moją przyszłość – wtedy zdecydowałem się właśnie studiować dyrygenturę.

– **Mimo że Kraków nie leży aż tak daleko jednak przeniósł się pan na stałe do Katowic. To było dla nas bardzo mile.**

– Wtedy nie było jeszcze autostrady. Ale nie ukrywam, że nie wszyscy znajomi potrafili moją decyzję zrozumieć. Niełatwa była ona także dla mojej małżonki, Zofii. Mieszkańcem Katowic byłem prawie 20 lat. Ba, nie tylko katowiczanie, ale w ogóle Ślązakiem, skoro w r. 2000 w plebiscycie „Gazety Wyborczej” na najwybitniejszego Ślązaka i Zagłębiaka zeszłego stulecia zająłem 55 miejsce.

– **O sympatii dla Śląska mówił pan sporo podczas Konkursu Dyrygentów. Podkreśla ją pan również w wywiadach, jak i fakt pewnej specyfiki śląskich orkiestr symfonicznych.**

– Każda orkiestra ma swoje cechy charakterystyczne, niezależnie od tego, że muzycy wszystkich orkiestr mają przecież podobne właściwości. Na orkiestry tutaj działające rzutują dwa fakty – to, że istnieją na Śląsku i że głównie rekrutują się z muzyków tu wyrosłych i wykształconych. Tutaj istnieje tradycja dobrej roboty i szacunku do pracy. W Filharmonii Narodowej, kiedy pełniłem tam obowiązki asystenta dyrektora, grali ludzie ze wszystkich regionów Polski i naprawdę było trudno stopić ich w jeden organizm, a orkiestra jako całość musi być jednym organizmem. Z kolei orkiestry krakowskie, które też dobrze znam, bo pracowałem i w Filharmonii i w Orkiestrze Radiowej, mają swoją specyficzną, skądinąd bardzo sympatyczną, atmosferę, nazwijmy ją galicyjską. Trudno to wytłumaczyć, ale krakowianie dobrze wiedzą, o czym mówię.

NOSPR ma jeszcze tę wspaniałą cechę: jej muzycy nigdy nie mówią źle o swoim aktualnym szefie. Pamiętam jak po kilku latach mojej działalności na Śląsku, Witold Rowicki powiedział mi, może nie bez odrobiny zazdrości: No Antoś, chwalać cię w tych Katowicach.

– **Wcześniej kierował pan Filharmonią Pomorską i krakowską „radiówką”...**

– A jeszcze wcześniej, w 1967 roku zostałem asystentem Rowickiego w Filharmonii Narodowej. Zbiegło się to ze stypendium u sławnej Nadii Boulanger w Paryżu, wychowawczyni całej plejady polskich autorytetów muzycznych na czele z Bacewiczówną i Kilarzem. Otrzymałem stypendium na rok, co w tamtych czasach na pewno nie było łatwe, ale Rowicki, który sam, po przesłuchaniach, wybrał mnie na swojego asystenta pozwolił jedynie na wyjazd 4-miesięczny. Ponieważ doskonale zdawałem sobie sprawę, jaką szansą jest dla mnie asystentura u Rowickiego, decyzja mogła być tylko jedna. Jeszcze przed wyjazdem do Paryża zdążyłem zadebiutować z orkiestrą Filharmonii Narodowej. Po latach myślę, że to był dowód

wielkiej odwagi dyrektora Rowickiego. Gdyby ten koncert się nie udał, za klęskę odpowiadałbym nie tylko ja, ale przede wszystkim on.

Po dwóch latach Jan Krenz zaproponował mi współpracę z Teatrem Wielkim w Warszawie, gdzie dyrygowałem baletem „Romeo i Julia” Prokofiewa, a także przedstawieniami „Aidy”, „Traviaty” i „Cyrulika sewilskiego”.

W 1969 roku Ministerstwo Kultury wysłało mnie na festiwal „Praskie Jaro”. Tam po raz pierwszy zobaczyłem Karajana, a od znakomitej śpiewaczki niemieckiej, notabene urodzonej w Jarocinie koło Poznania, Elizabeth Schwarzkopf, która mieszkała w tym samym hotelu, co ja, dowiedziałem się, że Karajan organizuje konkursy dyrygenckie. I na ten konkurs udało mi się wyjechać w 1971 roku. Otrzymałem wówczas II nagrodą *ex aequo* z Łotyszem Marissem Jansonsem, a po konkursie zostałem asystentem Karajana na festiwalu w Salzburgu.

W tym czasie byłem już szefem artystycznym Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy. Dzięki świetnemu dyrektorowi tej instytucji Andrzejowi Szwalbe praca w niej układała mi się wspaniale. Szwalbe – to wyjątkowa postać. Nauczyłem się od niego mnóstwa rzeczy, które ogromnie przydały mi się w dalszej działalności. W Bydgoszczy także po raz pierwszy dyrygowałem m. in. symfoniemi Mahlera I, II i V, Brucknera III i VII, poematami Richarda Straussa „Tako rzecze Zaratustra” i „Życie bohatera”, mszami żałobnymi Mozarta, Brahmsa i Verdiego, Missą Solemnis oraz IX Symfonią Beethovena – i placówkę tę opuszczałem w 1977 nie bez żalu.

Ale skoro otrzymałem propozycję kierowania Orkiestrą i Chórem PR w „swoim” Krakowie oczywiście ją przyjąłem. 6 krakowskich lat, to również okres udany i dla mnie i dla orkiestry. Pamiętam jak w Rzymie zaledwie w kilka dni po wyborze Karola Wojtyły na papieża Jana Pawła II udało nam się wejść na audyencję w Watykanie. Wszędzie we Włoszech byliśmy wtedy fetowani, jako orkiestra z Krakowa. Bardzo żałuję, że w latach 90. zdecydowano o „przeniesieniu zespołu poza struktury PR”, co w praktyce oznaczało jego likwidację.

W sumie kierowałem orkiestrami przez 38 lat, z czego 15 w dawnym ustroju. I choć nie należałem do partii zawsze spotykałem się z życzliwością władz. Chyba ówczesnym władzom bardziej zależało na kulturze i można było załatwić wiele rzeczy.

– **Przejdźcie z jednej orkiestry radiowej do drugiej, na dodatek największej w Polsce i jeszcze w sytuacji wakatu na stanowisku dyrektora artystycznego, to poniekąd oczywistość. 17 lat z NOSPR – to pański rekord i także rekord orkiestry pamiętającej jeszcze wielkiego Grzegorza Fitelberga. I okres bardzo znaczący w dziejach zespołu. W czasie pana dyrekcji NOSPR stała się znana nie tylko katowickim melo-**

manom i słuchaczom audycji Polskiego Radia, ale również płytomanom wielu innych krajów. Pamiętam, jaką sensacją było w 1993 roku przyznanie koreańskiemu pianiście Kun Woo Paikowi i orkiestrze pod pańską batutą nagrody Diapason d'Or za dwa krążki CD z kompletem koncertów fortepianowych Prokofiewa.

– Wcześniej jeszcze prasa brytyjska wyróżniła nas za nagranie „Stabat Mater” Szymanowskiego. Gdy zaczęliśmy te nagrania, niektórzy krzywili się, dlaczego nagrywamy dla mało znanej firmy, a nie dla Deccy, EMI, czy Deutsche Grammophon. Zrealizowałem kilka nagrań dla EMI, ale ich tytuły... bywają widoczne jedynie w katalogach. Tymczasem nagrania firmy „Naxos” są dziś dostępne w sklepach całego świata, na obu półkulach i w najbardziej egzotycznych krajach. Moje płyty nagrane dla tej firmy sprzedano już w ponad pięciu milionach egzemplarzy. To liczba imponująca. Cieszy mnie, że przy naszym udziale firma „Naxos” tak wspaniale się rozwinęła. Wydana przez „Naxos” III Symfonia Góreckiego w naszym nagraniu osiągnęła 250 tys. krążków, a przecież nie jest to najślawniejsze nagranie tego dzieła.

– **Mają który dyrygent może się, tak jak pan, poszczycić nagraniem ponad 200 płyt. I taką listą nagród, uwieńczoną 7 nominacjami do Grammy Avarad przyznaniem w 2012 roku tej największej płytowej nagrody za nagranie zestawu utworów Krzysztofa Pendereckiego. Ale to już jest nagranie z warszawiakami, a nie z katowiczami.**

– W Katowicach nagraliśmy cztery płyty z utworami Pendereckiego – tę serię kontynuowałem w Warszawie po objęciu w 2002 roku dyrekcji Filharmonii Narodowej. Natomiast na Śląsku zrealizowaliśmy 9 płyt z muzyką Lutosławskiego. Nagrałem też – w Warszawie – wszystkie dzieła symfoniczne Mieczysława Karłowicza i wszystkie, z wyjątkiem oper, Karola Szymanowskiego.

– **Kompozytorzy, zwłaszcza katowicy, asystowali przy nagraniach swoich dzieł?**

– Górecki nie bardzo, natomiast Kilar bywał właściwie zawsze, a już zwłaszcza gdy nagrywaliśmy muzykę do jego filmów. To w Katowicach nagraliśmy „Pana Tadeusza” z jego wspaniałym polonezem. Polonez ten zrobił karierę, zanim jeszcze został ukończony film.

– **Skoro tak pilnie uczestniczył w nagraniach miał jakieś uwagi?**

– Wojciech Kilar był bardzo delikatny i swoje uwagi przekazywał niekiedy tak, jakby przeproszał. Czasami trzeba było od niego te uwagi „wyciągać”. Kilara zawsze uważałem za swego „dobrego ducha”, który przyjaźnie mnie wspierał. Może łączyło nas to, że obaj byliśmy Ślązakami z Galicji, on ze Lwowa, a ja z Krakowa.

To oczywiście, że NOSPR grała utwory śląskich kompozytorów, nie tylko Gó-

reckiego i Kilara, ale też przedstawiciele młodszego, dziś średniego, pokolenia, jak Eugeniusza Knapika i Aleksandra Lasonia. I że mieliśmy do nich, ja i muzycy, bardzo osobisty stosunek

– **Podczas pańskiej kadencji katowickiej i dzięki panu mogliśmy gościć jednego z największych kompozytorów świata – Oliviera Messiaena.**

– To było w 1989 roku. Messiaen spędził w Katowicach prawie cały tydzień asystując przy próbach do estradowego wykonania jego opery „Święty Franciszek”. Był to kompozytor znany z surowości i wymagań. Wyjechał stąd zachwycony. To jedno z moich najcenniejszych wspomnień z Katowic.

– **Czy jeszcze był ktoś może nie aż takiej rangi, ale też znacznej?**

– Szwajcarski kompozytor Rolf Liebermann. Graliśmy jego koncert na orkiestrę jazzową.

– **No i wreszcie skandal. Największy, a już na pewno najbardziej medialny w dziejach NOSPR. Przypadł na czas pańskiej dyrekcji, a pan stał się jednym z jego bohaterów. Choć chyba niekoniecznie marzył pan wcześniej o tej roli. Przypomnijmy młodszemu Czytelnikom. We wrześniu 1993 roku Fundacja Rozwoju Kardiologii prof. Zbigniewa Religi „Serce za serce” zorganizowała w Zabrzu koncert, na którym gwiazdom światowej wokalistyki – tenorowi José Carrerasowi (wymieniam najpierw przedstawiciela płci brzydkiej, bo to on był najważniejszym „magnesem”) i sopranistce Montserrat Caballe miała towarzyszyć WOSPR pod dyr. hiszpańskiego dyrygenta. Na afiszu pojawiły się również utwory w wykonaniu samej orkiestry pod pańską batutą. Jednak bezpośrednio przed koncertem śpiewak zażądał, aby z tych, zapowiadanych już utworów, zrezygnować. Ponoć sam konflikt toczył się w języku hiszpańskim, który pan zna i znali niektórzy muzycy zespołu, a nie była to hiszpańszczyzna salonowa. W rezultacie orkiestra zeszła z estrady, a śpiewacy wystąpili z towarzyszeniem „swojego” dyrygenta, tym razem w roli pianisty. Zdarzenie to odbiło się głośnym echem na świecie. Oczywiście nie na ulicy, ale w kręgach muzycznych.**

– Nawet pracownicy służb granicznych pytali mnie o szczegóły tej historii. Wynikła ona z nieprofesjonalnego zaangażowania impresaryjnych pośredników. Dziś wspominam to z sentymentem. Postawa środowiska muzycznego, a zwłaszcza orkiestry była dla mnie niezwykle cenna.

– **Pamiętam, że zarówno zespół jak i największe autorytety polskiej muzyki zaprotestowały przeciw traktowaniu „z góry” polskich artystów.**

– Dodam jeszcze, że incydent ten miał miejsce 9 września 1993, dokładnie w 10. rocznicę objęcia przeze mnie dyrekcji WOSPR.

– **Chyba nie będę pana pytał, czym pan najbardziej lubi dyrygować. Ar-**

tyści zazwyczaj odpowiadają wtedy: Tym, nad czym aktualnie pracuję.

– A wie pan, to jest dobre pytanie. I dobra odpowiedź.

– **Więc zapytam inaczej, nawiązując zresztą do pewnego, bardzo dawnego i nie swojego wywiadu. Gdyby pan miał zamknąć się w pokoju hotelowym bez radia, telewizora i internetu, jakie nagranie chciałby pan mieć przy sobie?**

– Takim utworem, któremu wiele zawdzięczam m.in. w pracy z WOSPR jest Symfonia Alpejska Richarda Straussa. To dzieło, o którym długo marzyłem, ma olbrzymią obsadę. I po pomyślnym wykonaniu w Katowicach prezentowaliśmy Alpejską na tournée w Anglii, także w Warszawie i w Krakowie. Ze Staatskapelle Weimar nagrałem ją na płyty „Naxos”. Utworów, które darzę większym sentymentem jest zresztą więcej. Przede wszystkim wymieniałbym tu trzy msze żałobne: Mozarta, Brahmsa i Verdiego. To bardzo piękna i głęboka muzyka, którą zawsze lubię dyrygować i jej słuchać.

– **Rozumiem sympatię do Richarda Straussa. Ze wszystkich oper najbardziej lubię jego „Rosenkavaliera”.**

– A ja „Toscę”. Oczywiście opery Straussa są wspaniałe, ale Puccini, to coś niezwykłego. W ogóle fascynują mnie opery tego kompozytora, a „Tosca” najbardziej. Może dlatego, że jak przed 40 lat temu byłem na stypendium Fulbrighta w USA, oglądałem tam kilkakrotnie „Toscę”, w Metropolita Opera, w znakomitej obsadzie.

– **Bo za często operami pan chyba nie dyrygował...**

– Ale trochę dyrygowałem.

– **W Katowicach przygotował pan, jak pamiętam, dwie realizacje koncertowe: „Rycerskość wieśniacza” Mascagniego i „Pajace” Leoncavalla.**

– W Warszawie kontynuowałem te prezentacje i poprowadziłem „Holendra tułacza” Wagnera, „Wolnego strzelca” Webera, „Płaszcz” Pucciniego, „Dziecko i czary” Ravela, „Normę” Belliniego i „Aidę” Verdiego.

– **Od 2013 roku jest pan dyrektorem artystycznym Orquestra Sinfónica de Navarra w Pampelunie...**

– A wcześniej, na przełomie lat 80. i 90. szefowałem Orquestra Filarmónica de Gran Canaria w Las Palmas. Z hiszpańskimi zespołami jestem od dawna mocno związany. A znajomość języka pomaga mi także w krajach Ameryki Południowej, na przykład brazylijskie orkiestry woła, abym mówił do nich po hiszpańsku, niż po angielsku.

Natomiast w Polsce wreszcie mogę uprawiać swój zawód bez dodatkowych obowiązków. Bo przez 40 lat nie wiedziałem, czy bardziej jestem dyrygentem, czy dyrektorem. Sam określałem siebie dyrygentem-szefem.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Barbarzyńcy na Wyspie

(szkic mocno subiektywny)

Olga – pochodzi z małego miasteczka niedaleko Gliwic. Do Irlandii przyjechała ze swoją dziewczyną. Mieszka tu od siedmiu lat. Otworzyła się tu na ludzi i nauczyła się mówić. Na razie zdecydowanie nie wróci do Polski.

Barbara Mądreła – świętochłowiczanka. W Irlandii mieszka z mężem od siedmiu lat. Przyzwyczaili się, zapuścili korzenie. Są, bo potrzebuje ich rodzina. Do Polski raczej nie wrócą.

Barbarzyńca (gr. βαρβαρικός, łac. barbarus – cudzoziemiec). Dla starożytnych słowo to, pierwotnie neutralne, oznaczało cudzoziemca spoza ich kręgu kulturowego. Mówił „bar-bar”, czyli wydawał niezrozumiałe dźwięki. Z czasem barbarzyńca nabrał cech niebezpiecznych – to ten, co najeżdża, jest zachłanny i nieokrzesany. Każdy emigrant jest w jakimś stopniu barbarzyńcą.

Dokonałiśmy inwazji na Zieloną Wyspę, mającą wielkość dwóch większych polskich województw. Wśród prawie 550 tys. cudzoziemców (dane za: Central Statistics Office, [on-line] www.cso.ie [dostęp: 20 II 2014]) z prawie 200 krajów, pierwsze miejsce zajmują barbarzyńcy-emigranci z Polski. Mieszka tu nas ok. 123 tys., ale możliwe, że nawet dwukrotnie więcej. Jesteśmy tu tymczasowo – rok lub kilkanaście lat. Irlandia liczy ok. 4,6 mln ludzi, a są tu miasta, w których prawie co dziesiąty mieszkaniec przyjechał znaną z Wisły, Polski, po angielskim, to drugi najczęściej używany język w tym kraju, i z czasem nawet dla Irlandczyków zaczyna brzmieć swojsko. Polskich dzieci, po irlandzkich, rodzi się też najwięcej.

Barbarzyńców podział własny

Emigranci-barbarzyńcy dzielą się tu, według mego subiektywnego odczucia, na trzy grupy. Pierwsza to wielbicieli Zielonej Wyspy. Dla nich przyjazd tutaj to przeważnie przygoda, wyzwanie, doświadczenie. Wiedzą, że Irlandia jest krajem o bogatej kulturze i starają się jak najlepiej wykorzystać swój czas tutaj (pracują, studiują, odkrywają nowe pasje) i integrują się z otoczeniem.

Grupa druga: polscy malkontenci. Mało co im się tutaj podoba, mało co interesuje i najczęściej chcą tylko zarobić i szybko wyjechać. Funkcjonują przeważnie w polskich enklawach i raczej nie inwestują tutaj w swój rozwój.

Trzecia grupa – barbarzyńca zadowolony. Zastanawia się latami nad decyzją o powrocie. Wielu kupuje tutaj mieszkanie, domy i nie traktuje tej zmiany planów jako porażki. Przychodzi moment, kiedy tak oczywisty kiedyś powrót

staje się fikcją. Mieszkają tu co najmniej kilka lat, są przeważnie zadowoleni i... zadowoleni.

W przyrodzie rzadko coś funkcjonuje w idealnie czystym stanie. Czas i Irlandia zmienia Polaków. Skrajności się uladzają.

Ponieważ jest łatwiej

Kiedy zapytać przypadkowo napotkanych w Irlandii Polaków: dlaczego tu mieszkają, zawsze pojawia się stwierdzenie: – *bo tutaj jest łatwiej*. Łatwiej jest znaleźć pracę, wychowywać dzieci, dzieciom jest łatwiej w szkole. Łatwiej być lesbijką lub gejem, łatwiej, kiedy myślisz o swojej emeryturze.

Single i cała reszta

Supermarket. Ojciec rodziny pcha duży wózek wypełniony... dziećmi. Trójka w środku, dwójka skacze dookoła. Rodzina z czwórką, a nawet piątką dzieci to nic niezwykłego w Irlandii. A standardowy emigrant na początku jest sam...

Większość emigrantów to osoby młode i single. Wydaje się, że częściej należą do grupy wielbicieli Irlandii. Pracują, bawią się – prowadzą normalne życie. Tu życie single jest swobodniejsze, bo Irlandia jest bardzo liberalna; nikogo nie interesuje za bardzo życie prywatne drugiej osoby, ani orientacja seksualna.

– *Irlandia jest życzliwa osobom takim jak ja – mówi Olga. W każdym mieście tęczowe flagi wskażą ci miejsca, w których można się swobodnie spotkać. [...] Kiedy Irlandczycy, widząc mnie z dziewczyną, pytają – Jesteście parą? – nie ma w tym żadnego nacechowania! Tylko zwykłe ludzkie pytanie, na które zawsze tu otwarcie odpowiadam. Na coś takiego w Polsce trzeba będzie jeszcze długo poczekać.*

Wielu wyjechało z Polski z powodu problemów rodzinnych. Tutaj dochodzą psychicznie do siebie, z czasem tworzą związek albo dają sobie więcej czasu na pobyty osławionym singlem. Są tu anonimowi i zaczynają nowe życie.

Ponad 20% emigrantów przyjechało ze współmałżonkiem, a z czasem ściągnęło resztę rodziny. Bywa, że przylatuje się na chwilę, a potem następuje zmiana planów:

– *Przyjechaliśmy do Irlandii z mężem na pogrzeb szwagra. Teraz mieszkamy tutaj, pracujemy i opiekujemy się dziećmi mojej siostry: [...] Ja znalazłam pracę w ciągu pierwszego tygodnia, mąż po miesiącu i postanowiliśmy zostać. [...] Pozamykaliśmy wszystkie sprawy [w Polsce] i jesteśmy. Gdybyśmy wynajmowali większy dom, chyba nawet mój tato by tutaj przyjechał. [...] jest sam w Polsce. Jedyne, czego tu brakuje, to rodzina i przyjaciele. [...] W czasie rozmowy podchodzi mały szkrab i mówi – pani do nas przyszła i godała... Pani Barbara promienieje. – A to jest chyba najważniejszy powód naszego pozostania tutaj. Córeczka niespodzianka – Paulinka!*

Rodziny wynajmują domy, czasami też kupują, a zaciągając kredyt na kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat, podejmują decyzję o pozostaniu. Mając rodzinę spędza się czas raczej z innymi rodzinami, przeważnie polskimi. Korzysta się też usług polskich znajomych prowadzących tutaj swoje biznesy.

Dorośli idą do pracy, dzieci do szkoły. Irlandzkie maluszki spędzają czasami cały dzień w żłobku już od 10 miesiąca życia. Polscy rodzice najczęściej nie oddają tak małych dzieci do żłobków, ale w każdej grupie wiekowej jest co najmniej jedno, dwoje polskich maluchów. Standardowa polska rodzina ma tutaj dwójkę dzieci. Bywa, że pracuje tylko jedna osoba, a druga zajmuje się dziećmi, prowadzi dom czy pracuje dorywczo.

Olga – pochodzi z małego miasteczka niedaleko Gliwic. Do Irlandii przyjechała ze swoją dziewczyną. Mieszka tu od siedmiu lat. Otworzyła się tu na ludzi i nauczyła się mówić. Na razie zdecydowanie nie wróci do Polski.

Barbara Mądreła – świętochłowiczanka. W Irlandii mieszka z mężem od siedmiu lat. Przyzwyczaili się, zapuścili korzenie. Są, bo potrzebuje ich rodzina. Do Polski raczej nie wrócą.

Hard working...

Jeśli zapytać Irlandczyków o pierwsze skojarzenia ze słowem „Polak”, to zawsze się usłyszy – *hard working people*. Można powiedzieć, że dobrze pracujemy za dobre pieniądze, ale to chyba pewne uproszczenie.

Pracujemy wszędzie: od sektora usług po specjalistów, którzy nie czują się emigrantami, bo są w stanie poradzić sobie w każdym miejscu na świecie. Opiekunki w przedszkolach, nauczyciele, wykładowcy uniwersyteccy – to też często nasi rodacy. Wyrastają też polskie biznesy – sklepy, punkty gastronomiczne, warsztaty samochodowe, punkty naprawy komputerów, biura rachunkowe, studia fotograficzne, firmy kurierskie, przedszkola. Rejestracja jednoosobowej firmy zajmuje 15 minut, a pracownicy urzędów są życzliwi.

Bez pracy też się da żyć... W Irlandii, jak wszędzie, następują cięcia, ale wciąż z zapomogi można żyć na przyzwoitym poziomie. Są tacy, którzy takie wsparcie dobrze wykorzystują, podnosząc kwalifikacje w ramach oferowanych kursów, potem znajdują pracę. Pewien procent Polaków jednak przy pomocy osławionej naszej „zaradności” doskonale wykorzystuje system.

Większość Polaków ciężko i uczciwie tutaj pracuje, prowadząc normalne życie, na jakie nie byłoby ich stać w Polsce, przy podobnej pracy. Ten, kto chciał tylko zarobić i wrócić, często pracował na dwa etaty lub brał dużo nadgodzin. Pracował sześć lub siedem dni

w tygodniu, mieszkając najtaniej, oszczędzając i prowadząc życie skrajnego barbarzyńcy. Jeśli został, to z czasem się zmienił i już nie chce tak żyć.

Emigranta, zwłaszcza tego ze środka, często dopada syndrom spoczęcia na laurach. Znalazł pierwszą pracę, to nic, że nie jest to praca marzeń, adekwatna do polskiego wykształcenia, ale na początek przecież trzeba cokolwiek.

– *Pracuję jako bin man [...] W Polsce w życiu nie pracowałbym jako śmieciarz [...]. Po pierwsze, nikt nie traktuje tej pracy jako poniżającej [...]. Na początku [...] wstydzilem się podnieść głowę. Z czasem zauważyłem, że ludzie nie udają, że nas nie ma* – mówi Wojtek.

Tutaj każdy cleaner ma imię i jego praca jest ważna, a nikt, oprócz bin mana, nie cieszy się taką sympatią dzieci i rodziców, jak *lollipop lady* czy *lollipop man* (osoba przeprowadzająca dzieci przez ulicę obok szkoły).

– *Zaczynałam, tak jak większość, od sprzątania i opieki nad dziećmi. Obecnie pracuję jako personalny doradca, stylistka w ekskluzywnym butikiu, a także jako dyrektor kreatywny przy różnych projektach na zlecenie przeważnie projektantów mody. [...] Ten kraj jest przystankiem w mojej drodze – mówi Patrycja. – Nie, nie czuję się emigrantem w Irlandii, ale też nie jestem obywatelem tego kraju, to widać. 'Emigrant' – to słowo ma jakiś smutny, negatywny wydźwięk dla mnie. Jestem... sobą, i tak chcę, by mnie traktowano.*

Pobożny jak Polak

Jesteśmy w kraju katolickim: ponad 90% szkół w Irlandii to szkoły katolickie. W każdej jest kącik z figurką Matki Boskiej, a naukę zaczyna się od modlitwy. Bywa, że nawet msze są odprawiane w szkołach.

Na terenie całej Irlandii, w każdym większym skupisku Polaków są polskie msze, możliwość spowiedzi oraz udziału w inicjatywach organizowanych przez duszpasterstwa. Wszystko jest, a wierny lud? Starsze pokolenie emigrantów, zwłaszcza mające problem z językiem, aktywnie uczestniczy w życiu polskich parafii. Znajdują tu poczucie wspólnoty. Młodszy, obojętny, z której grupy emigrantów, przeważnie na początku manifestują swą wolność wobec Kościoła. Przeciętny emigrant-barbarzyńca idzie na mszę, kiedy czuje potrzebę zanurzenia się w polskości.

Polacy nie uczestniczą tłumnie w polskich mszach. W jednym z większych miast w Irlandii, z kilkoma tysiącami naszych rodaków, na mszy średnio można zobaczyć około stu osób. Apogeum polskiej pobożności, a raczej przywiązania do tradycji następuje w Wielką Sobotę.

Craic and gas!

W piątkowy wieczór w Irlandii ulice zaczynają być tłoczne, a puby pękają w szwach. Tam pieni się Guinness, słysząc *Craic and Gas* (z gaelickiego *craic*: zabawa, dzianie się; *gas*: coś zabawnego, ktoś zabawny). Młode pokolenie Polaków, z każdej grupy barbarzyńców, bywa w pubach. Dla malkontentów to strata pieniędzy i czasu, a wielbiciele *irish pubs* szukają miejsc z dobrą muzyką i wielokulturowym towarzystwem. Przedstawiciel barbarzyńskiego środka w pubie bywa nie za często, z czasem się przekonuje, zwłaszcza że można znaleźć puby, które są prawie polskie.

Tradycja sobotnich wyjść jest bardzo mocna wśród Irlandczyków, choć też czasem lubią posiedzieć przed TV. Domy zamiesz-



Fot. Katarzyna Frańczak

Zuch z Polskiej Szkoły w Galway

kane przez Polaków często wskazują anteny z logo jednej z naszych komercyjnych stacji. Szczególnie starsi Polacy kochają telewizję, daje ona namiastkę ojczyzny, ale też nie pozwala wyjść. Często z nich nie wychodzi, nie wydaje pieniędzy i słabo cieszy się życiem.

Razem, a jednak osobno

Patrząc na malutkich Oisínów czy Rosíne, którzy są dwujęzyczni, nie można mieć wątpliwości, że pewien procent Polaków zintegrował się bardzo dobrze. To najczęściej wielbiciele Irlandii: znają nawet lepiej od niektórych miejscowych kulturę irlandzką. Ta grupa świadomie promuje też polską kulturę i wpływa na proces integracji. Od wieczoru dla znajomych z polskim kinem, aż po dni kultury polskiej w największych miastach. Jednak, jak na tak duży Polonię, takich akcentów w irlandzkim życiu kulturalnym nie jest zbyt wiele.

Temperatura patriotyzmu

Jedną z wad Polaków ujawniającą się na obcym terenie jest krytykanctwo: nie wpływa to dobrze na stopień integracji. To, co swojskie, jest dobre, a obce jest mierne, właśnie barbarzyńskie (w negatywnym znaczeniu). W pewnej grupie emigrantów patriotyzm czasami objawia się w postaci prostackiego szowinizmu. Mówiąc o Irlandczykach, dokonują podziału na „my” (wszystko normalne, jak należy, solidne, „jak w Europie”) i „oni” ze swoim zapóźnieniem, prząsnością („gdyby nie Unia, to co by tu mieli – tylko ziemniaki i kamienie”). Nadal krytykuje się absurdy życia w ojczyźnie, ale tylko dopóty, dopóki Irlandczyk np. nie zaśmieje się z naszych autostrad – wtedy wybucha patriotyzm. Dotyczy to niewielkiej, lecz głośnej grupy emigrantów.

Język

Poziom znajomości języka ma niewątpliwie największy wpływ na stopień integracji ze środowiskiem irlandzkim. Statystyki z 2011 roku podają, że prawie 25% Polaków mieszkających w Irlandii posługuje się angielskim słabo lub w ogóle go nie zna. Bariera językowa wymusza zachowania skrajnie barbarzyńskie i funkcjonowanie „między

swemi”. Jednak nawet ci, którzy zapewni-li sobie namiastkę Polski na miejscu, muszą czasem wejść w irlandzkie środowisko. Stopień integracji jest adekwatny czasami też do liczby lat tu spędzonych. Na początku czują się bezpieczniej ze swoimi, a z czasem chcą poznać innych. Ale nawet po latach mieszkania na Wyspie będziesz częściowo obcy za sprawą niuansów językowych i braku zanurzenia w konteksty historyczne, kulturowe.

Wydaje się, że jest mało bliskich przyjaźni między Polakami a Irlandczykami. Raczej przyjaźnimy się z emigrantami z innych państw. Solidarność emigrantów, poczucie obcości, kompleksy przybysza-barbarzyńcy, różnice kulturowe? Wszystkiego po trochę.

Falszywy kontra cham

Różnice kulturowe mają znaczący wpływ na relacje polsko-irlandzkie i integrację. Irlandczycy są zawsze grzeczni. Powtórzą „thank you” wiele razy w ciągu dnia, przy byle drobnostkach, bo tak byli wychowani. Dla Polaka brzmi to sztucznie, a nawet fałszywie. Natomiast nasz brak wielu podziękowań lub raz powiedziane jest odbierane jako gburowatość i brak kultury.

Polak wyraża wprost swoje poglądy, jest bezpośredni, a bywa też potomkiem pradziadka Chama. Co mu leży na sercu, jest na języku. W kulturze irlandzkiej takie zachowanie jest nie do pomyślenia. Tutaj prawie nikt bezpośrednio nie zwróci drugiemu uwagi. Jeśli jest to w relacjach w pracy, to należy prosić zwierzchnika o interwencję. Stąd bywa, że przeciętny Irlandczyk postrzega przeciętnego Polaka jako „rude” (niegrzeczny, grubiański), bo ten bezczelnie mówi, jak mu się coś nie podoba, a Irlandczyk dla Polaka bywa przeważnie fałszywy: uśmiecha się, a potem idzie do szefa i się skarży. Polska roszczeniowość również wpływa na słabą integrację.

Ponadto Irlandia ma się gorzej niż lata temu, Irlandczycy, mimo życzliwości dla obcokrajowców, częściej tracą cierpliwość i szukają winnych zaistniałej sytuacji.

Barbarzyńca bierze, barbarzyńca daje

Emigrant przywozi swoją kulturę. Może wybrać i przyswoić elementy nowej albo pozostać tylko przy swojej. Dla emigrantów świadomych choć trochę swojego barbarzyństwa konfrontacja wzbogaca. Tylko wyjątkowo oporni niczego nie chcą od tej kultury, oprócz lepszego życia.

Polacy lubią w Irlandczykach pogodę ducha, wyrozumiałość, to, że potrafią cieszyć się życiem i poprzestać na małym. I jeszcze potrafią uśmiechnąć się do nieznajomego. Zławsza starsze pokolenie jest bardzo życzliwe, a wszyscy cenią sobie swojskość, lokalność i wolniejszy tryb życia. To wszystko udziela się też mieszkającym tutaj Polakom.

Wzrasta w nas też stopień zaufania społecznego. Nie zamykasz auta na dwie sekundy i zostawiasz kurtkę w pubie bez nerwowego zerkania.

Barbarzyńca bierze, ale też daje. Zmiana i własny rozwój są wartością, ale są też czasem okupione poczuciem zdrady własnego kraju i tęsknoty.

Jednak na barbarzyńców w Irlandii już się nie czeka. Parafrazując Kawafisa „Ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem”. Teraz trzeba znaleźć rozwiązanie jak się ich pozbyć. Przynajmniej części.

BOGUSŁAW
CHORAŻY

Zaginione światy – Celtowie w Karpatach Zachodnich

Fot. B. Choraży



Zrekonstruowana zagroda kultury puchowskiej w Liptovskej Marze na Słowacji

Do jednych z najbardziej znanych prehistorycznych ludów, które odegrały szczególną rolę w rozwoju cywilizacyjnym Europy, z pewnością zaliczyć można starożytnych Celtów. To właśnie im, jeszcze na długo przed ekspansją państwa rzymskiego na tereny Europy środkowej i zachodniej, należy zawdzięczać upowszechnienie metalurgii żelaza, powstanie wielu nowych gałęzi wytwórczości oraz intensywny rozwój wymiany handlowej. Świadectwem osiągniętego przez Celtów wysokiego poziomu cywilizacyjnego było bicie własnej monety oraz stworzenie na dużych obszarach Europy cywilizacji protomiejskiej, opartej na dużych, silnie umocnionych osiedlach, tzw. oppidach. Były to wielkie centra ad-

ministracyjno-rzemieślnicze, których funkcje odpowiadały ośrodkom miejskim. Sami zaś Celtowie, nazywani Galami, budzili swoimi osiągnięciami podziw tak wybitnych przedstawicieli świata rzymskiego, jak Juliusz Cezar. Świadectwem tej fascynacji, a zarazem niezwykle ważnym źródłem informacji o świecie starożytnych Celtów jest dzieło Cezara *Commentari de bello Galico*, opisujące drobiazgowo zwyczaje i kulturę Celtów na terenie dzisiejszej Francji i Brytanii.

Zanim jednak Celtowie stworzyli tak rozwiniętą cywilizację i rozpoczęli okres dominacji na znacznych obszarach, stanowili jeden z wielu ludów prehistorycznej Europy. Początkowo zamieszkiwali teren górnego dorzecza Renu i Dunaju.

Już wtedy, pod wpływem impulsów kulturowych, płynących m.in. z terenu śródziemnomorskich kolonii greckich (np. Massali – dzisiejszej Marsylii), oraz dzięki rozwiniętej wymianie handlowej, wyróżniali się bogactwem oraz wysokim poziomem wytwórczości rzemieślniczej. Jeszcze przed rokiem 400 p.n.e. Celtowie rozpoczęli powolny proces rozprzestrzeniania się, docierając do północnej Hiszpanii, Francji oraz Brytanii. Jednak największa fala ich ekspansji nastąpiła w następnych stuleciach. W tym czasie Celtowie zasiedlili tereny Europy środkowej, dotarłszy na południe – do północnej Italii i północnych Bałkanów. W III w. p.n.e. zagrażali nawet Grecji, a niewielki ich odłam – Galatowie – w późniejszym czasie dotarł do Azji Mniejszej. Okres dominacji Celtów w Europie dobiegł kresu w końcu I w. p.n.e. W Europie Zachodniej miało to miejsce za sprawą ekspansji imperium rzymskiego, które w początkach naszej ery opierało swoje granice na Renie i Dunaju. W Kotlinie Karpackiej groźnym rywalem Celtów byli już od I w. p.n.e. starożytni Dakowie, a także napierające od północy plemiona germańskie.

Trwająca cztery stulecia doba dominacji kultury celtyckiej w Europie, znalazła swój wyraz również w periodyzacji dziejów prehistorycznych Europy. W archeologii europejskiej okres ten nazwany jest lateńskim (od nazwy jednego ze stanowisk archeologicznych), a materialną kulturę ludności z tego czasu określa się mianem lateńskiej. Nie tylko dominuje ona na terenach zamieszkałych przez Celtów, ale także, przez tzw. proces latenizacji, silnie oddziałuje na inne społeczności zamieszkujące tereny środkowoeuropejskie i północnoeuropejskie.

Niewątpliwie taką rolę odegrały społeczności celtyckie zamieszkujące enklawy w południowej części obecnych ziem polskich – okolice Wrocławia, Krakowa oraz Płaskowyżu Głubczyckiego. Olbrzymie znaczenie dla tego terenu miała również bliskość dużych centrów w Czechach, na Morawach i w południowo-zachodniej Słowacji – obszarach zamieszkałych przez celtyckie plemiona Bojów i Wolków.

Jednym z terytoriów, które pozostało pod wpływem oddziaływań kultury celtyckiej był obszar zachodnich Karpat. To tutaj znajdowały się dogodne, naturalne przejścia pozwalające na komunikację terenów położonych na północ od łuku Karpat i Sudetów z Południem. Była to przede wszystkim Brama Morawska, przez którą prowadził wykorzystywany głównie w czasach cesarstwa rzymskiego słynny szlak bursztynowy. Oprócz niej funkcjonowały zapewne szlaki komunikacyjne przez przełęcze karpackie – np. Jabłonkowską czy Polhorską.

Obszary karpackie nie były w tym okresie bezludne. Zamieszkiwała je ludność, która zapisała niezwykle interesującą kartę w spuściznie kulturowej Kar-

pat Zachodnich i do dziś stanowi obiekt zainteresowania wielu badaczy prehistorycznych dziejów tego rejonu. Chodzi o tzw. kulturę puchowską, rozwijającą się na terenach śródgórskich i podgórskich Słowacji, Moraw i południowej Polski. Nazwa pochodzi o miejscowości Puchov na Słowacji, gdzie odkryto jedno z jej pierwszych stanowisk archeologicznych. Powstała w wyniku połączenia elementów kultury celtyckiej oraz miejscowej tradycji potomków ludności zamieszkującej ten teren już od czasów młodszej epoki brązu, związanej z tzw. kulturą lużycką. Osadnictwo kultury puchowskiej oparte jest na osiedlach obronnych zlokalizowanych na trudno dostępnych formach terenowych oraz towarzyszących im osadach otwartych.

Osiedla te umiejscowione są bardzo licznie na obszarach słowackiej części Karpat, koncentrując się w dorzeczu górnego Wagu, Nitry i Hronu oraz w obrębie śródgórskich kotlin: Spisza, Liptowa i Orawy. Znacznie mniej śladów tego osadnictwa rejestrujemy w polskiej części Karpat. Występują one w Kotlinie Sądeckiej, Beskidzie Zachodnim oraz na terenach podkrakowskich.

Z osiedli kultury puchowskiej pochodzą bardzo liczne przedmioty żelazne, świadczące o dużej znajomości obróbki żelaza wśród mieszkańców tego obszaru. Inwentarz kultury w znacznej mierze stanowią wyroby celtyckie – naczynia toczone na kole z domieszką grafitową dodawaną do masy ceramicznej lub też przedmioty metalowe – ozdoby i uzbrojenie. Występują tu również monety bite w miejscowych centrach osadniczych. Wskazuje to na znaczny udział ludności celtyckiej w rozwoju tej kultury. Jej pojawienie się w Karpatach należy wiązać z migracją z południa odłamu Celtów zamieszkujących Kotlinę Karpacką. Doszło do tego prawdopodobnie pod wpływem presji rywalizujących z nimi Daków oraz niepokojów związanych z przesunięciami ludności germańskiej.

Sytuowanie w Karpatach Celtów zgadza się z informacjami zawartymi w rzymskich źródłach pisanych. W dziele pt. *Germania*, z I w. n.e., Tacyt wymienia celtycki (galijski) lud Kotynów. Mieli oni zamieszkiwać Karpaty, a ich głównym zajęciem miało być kopalnictwo oraz przetwórstwo rud żelaza. W 2. połowie II w. n.e. z Kotynami oraz germańskimi Kwadami starli się Rzymianie w czasie tzw. wojen markomańskich. W 179 r. n.e. dotarli oni na teren obecnego Trenczyna – starożytnego Laugaricio. Świadczy o tym zachowana do dziś inskrypcja wykuta w skale. Akcja militarna legionów rzymskich na tym terenie doprowadziła do opuszczenia zachodnich Karpat przez ludność kultury puchowskiej. Tylko nieliczne punkty osadnicze dokumentują jej przetrwanie w III w. n.e.

Jak już wspomniano powyżej, na terenie zachodniej strefy polskich Karpat ślady osadnictwa kultury puchowskiej są bardzo nieliczne. W strefie obejmującej południową część obecnego województwa śląskiego to niezwykle interesujące zjawisko kulturowe, będące przynajmniej w części spuścizną karpaccich Celtów, jest reprezentowane przez dwa osiedla: w Cieszynie na Górze Zamkowej oraz w Żywcu na górze Grojec (612 m n.p.m.). W obydwu przypadkach mamy do czynienia z tzw. osiedlami wyżynnymi, usytuowanymi na wzniesieniach o naturalnych walorach obronnych. Ślady osadnictwa z tego okresu odkryto również na dwóch niżej położonych stanowiskach w rejonie Goleiszowa. Dalej na zachód, już na terytorium Republiki Czeskiej, znane są dwa osiedla wyżynne: Štařič „Štandl” i Štařič „Okrouhlice”. Jeszcze dalej na zachód położone jest osiedle w Hukvaldach oraz całe skupisko osadnicze kultury puchowskiej w okolicach Příbora, Kopřivnicy, Štramberka i Kojetina.

W otoczeniu puchowskiego osadnictwa w Bramie Morawskiej funkcjonuje celtyckie oppidum na górze Kotouč w Štramberku oraz osiedle równinne w Kopřivnicy „Šutyrova studanka” – najdalej wysunięta w tym rejonie enklawa „czystego” osadnictwa celtyckiego.

Przyjrzyjmy się materiałom odkrytym w trakcie badań archeologicznych prowadzonych na osiedlach kultury puchowskiej w polskiej części interesującego nas obszaru.

Dominującymi zabytkami, podobnie jak na wielu innych stanowiskach, jest tu ceramika. Obok naczyń lepionych ręcznie odkryto liczne fragmenty ceramiki toczonej na kole, grafitowej o formach i ornamentyce celtyckiej. Wśród form należy wymienić przede wszystkim różne typy naczyń baniastych i jajowatych ze zgrubiałymi brzegami. Często spotykane są misy, w tym formy z brzegami zagiętymi do środka. Wśród ceramiki odkrytej na osiedlu na Górze Zamkowej w Cieszynie warto zwrócić uwagę na naczynia wykazujące wyraźne wpływy wytwórczości ceramicznej kultury dackiej.

W mniejszej liczbie w stosunku do ceramiki, choć nie tak rzadko, reprezentowane są przedmioty metalowe. Na terenie osiedla w Żywcu-Groju odkryto kilka egzemplarzy żelaznych noży, zapinek oraz ozdób brązowych. Warto zwrócić również uwagę na zabytki wskazujące na szczególnie wysoki poziom rozwoju cywilizacyjnego. Są to przedmioty pochodzenia celtyckiego – złota moneta i fragment paciorka szklanego – odkryte na terenie osiedla na Górze Zamkowej w Cieszynie. Znalezione tam również egzemplarz łyżki odlewniczej. Przedmiotem świadczącym o dalekosiężnej wymianie handlowej jest bursztyn odkryty na żywieckim Groju.

Efektom prac archeologicznych są nie tylko wymienione wyżej zabytki.

Istotne są również zarejestrowane pozostałości budownictwa. Zaobserwowano je głównie na terenie osiedla na Groju. Są to ślady po obiektach zagłębionych w grunt. W większości przypadków to różnego rodzaju jamy gospodarcze, np. służące do przechowywania produktów spożywczych. Pojedynczo zidentyfikowano również pozostałości domostw zagłębionych częściowo w grunt, tzw. półziemianek.

Z tego krótkiego przeglądu efektów badań na stanowiskach w polskiej strefie zachodnich Karpat wynika, że ich problematyka przedstawia się nader interesująco. Zarówno stanowisko na Górze Zamkowej w Cieszynie, jak i Grojec żywiecki są wysuniętymi na północ punktami, zlokalizowanymi w strefach o istotnym znaczeniu komunikacyjnym. Znaczenie to potwierdzają również zabytki odkryte na obydwóch osiedlach.

Bardzo interesujący jest problem chronologii osadnictwa na stanowiskach na Górze Zamkowej w Cieszynie oraz na Groju w Żywcu. Czas funkcjonowania osiedla na Górze Zamkowej w Cieszynie przypada głównie na I w. p.n.e. Podobnie datowany jest główny okres użytkowania osiedla na żywieckim Groju, choć możliwe jest tu jego znacznie wcześniejsze rozpoczęcie. Obydwa osiedla istniały jeszcze w I w.n.e., jednak brak jest śladów ich użytkowania w późniejszym czasie.

Świadczy to o wyraźnie wcześniejszym zakończeniu ich istnienia w stosunku do większości osiedli zlokalizowanych po stronie słowackiej. Koresponduje to jednocześnie z kresem użytkowania, przypadającym na I w. n.e., osiedli kultury puchowskiej w rejonie Bramy Morawskiej (m.in. upadek grodu Kojetin-Požaha). Wskazywałoby to na wspólną przyczynę ich zaniku. Mogła go spowodować sytuacja polityczna panująca ówczesnie w strefie przejść komunikacyjnych w zachodniej części Karpat. Już pod koniec ostatniego stulecia p.n.e. na terenie Czech oraz Moraw, a także południowo-zachodniej Słowacji pojawiła się nowa ludność, która zastąpiła Celtów. Byli nimi plemiona germańskie Markomanów i Kwadów. Być może zagrożenie militarne z ich strony, a nawet konkretna akcja mogły być przyczyną wycofania się osadnictwa puchowskiego ze strategicznej strefy Bramy Morawskiej oraz jej północno-wschodniego przedpola.

Czy tak wyglądała jedna z nieznanych kart prehistorii Karpat? Niestety, na ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestii przyjdzie nam jeszcze poczekać. Rozwiązanie bowiem mogą przynieść tylko dalsze prace badawcze. Niemniej już dziś, będąc na szlaku beskidzkim, wodząc okiem po pięknych panoramach, warto odkryć jego ukryty wymiar – zapis nieznanych dziejów żyjącego tu przed wiekami człowieka.

Śląscy Celtowie

Uświadomilem sobie właśnie, że nasza przyjaźń z zespołem „Carrantuohill” trwa już dziesięć lat – co jest wystarczającym powodem, żeby urządzić mały jubileusz. Jak wiadomo, w Krakowie uwielbiamy jubileusze, bo każda okazja do wspólnej zabawy jest dobra (to zbliża nas do Irlandczyków – co z kolei nie powinno nikogo dziwić, gdyż jak mówi legenda, w mitycznych początkach historii naszych ziem, wschodnią granicą wpływów celtyckich była Wisła).



Zaczął się od przyjazdu Seamusa Heaneya na promocję wydanych w Znaku 44 wierszy w przekładzie Stanisława Barańczaka. Zbliżał się grudzień 1994 roku i zaprzyjaźnione wróble na dachach Sztokholmu i Krakowa ćwierkały, że irlandzki poeta jest w tym roku murewanym kandydatem do Nagrody Nobla. Mając szansę na goszczenie w Krakowie „jeszcze ciepłego” noblisty, przyspieszyliśmy prace nad książką, zapraszając autora wraz z tłumaczem i Piotrem Sommerem – który tłumaczył Heaneya jeszcze przed Barańczakiem. Niestety, nieuzgodniona z nami odmienna decyzja członków Akademii Szwedzkiej pokrzyżowała nam plany – jednak tylko do pewnego stopnia. Nobla dostał Kenzaburō Ōe, a Heaney – zamiast kupować frak

i mobilizować się przed maratonem sztokholmskich ceremonii – w swe trze, rozczochrany i szeroko uśmiechnięty zszedł z trapu samolotu w podkrakowskich Balicach.

Pomyłka szwedzkich akademików sprawiła, iż magicznych właściwości nabrała moja kanapa, zwana potem „noblowską”. Na pamiątkowym, historycznym już zdjęciu siedzą na niej, obok m.in. Bronisława Maja oraz Ani i Stanisława Barańczaków, Seamus Heaney i Wisława Szymborska – oboje nie są jeszcze noblistami; on zostanie nim za rok, ona – za dwa lata. Podczas tego wieczoru Miłosz zadzwonił do nas z Kalifornii i rozmawiał kolejno z wszystkimi obecnymi. Heaney swoim niskim głosem powitał go: „Hallo, Master!”*) (Później okazało się, że zamieszczony w jego tomie

pt. *Station Island* piękny wiersz *The Master* poświęcony jest właśnie Miłoszowi). Seamus wyznał nam, iż na koniec rozmowy Czesław powiedział mu: „Pamiętaj, że jesteś w dobrych rękach”. W czasie jednej z kolacji Heaney wyrecytował nam piękny i zabawny wiersz o kocie, napisany w VIII wieku przez irlandzkiego mnicha. Zrodziła się idea, by wiersz ten zaprezentować podczas jego wieczoru autorskiego w Dworcu Łowczego. Pewną przeszkodę stanowił brak tłumaczenia tego niebywale regularnego wiersza na polski. Czymże wszak jest takie zadanie dla Stanisława Barańczaka? W czasie pogawędki w kawiarni, włączając się od czasu do czasu do rozmowy, na kartce papieru czy bodaj serwetce, w krótkim czasie przetłumaczył *Kota Pangura* w taki oto sposób:

PANGUR BÁN

*Written by a student of the monastery
of Carinthia on a copy
of St Paul's Epistles, in the eighth century*

I and Pangur Bán, my cat,
'Tis a like task we are at;
Hunting mice is his delight,
Hunting words I sit all night.

Better far than praise of men
'Tis to sit with book and pen;
Pangur bears me no ill-will,
He too plies his simple skill.

'Tis a merry thing to see
At our tasks how glad are we,
When at home we sit and find
Entertainment to our mind.

Oftentimes a mouse will stray
In the hero Pangur's way;
Oftentimes my keen thought set
Takes a meaning in its net.

'Gainst the wall he sets his eye
Full and fierce and sharp and sly;
'Gainst the wall of knowledge!
All my little wisdom try.

When a mouse darts from its den,
O how glad is Pangur then!
O what gladness do I prove
When I solve the doubts I love!

So in peace our tasks we ply
Pangur Bán, my cat, and I;
I our arts we find our bliss,
I have mine and he has his.

Practice every day has made
Pangur perfect in his trade;
I get wisdom day and night
Turning darkness into light.

*Translated from the Gaelic by Robin Flower.
Tekst angielski pochodzi
z antologii The Rattle Bag, Ed. S. Heaney
and T. Hughes, Faber and Faber, London 1982*

Kontynuując tradycję promocji – intelektualnych happeningów, podczas których goście wspinali się w ogrodach Znaku na sztuczną ścianę do wspinaczki (*Góry niewzruszone* Jacka Woźniakowskiego), palili na stosie kukłę nietolerancji i ksenofobii (*Między Panem a Plebanem* Tischnera i Michnika), oklaskiwali Jacka Kaczmarskiego i Grzegorza Turnaua (pamiętam, z jaką dziwną miną Miłosz słuchał, iż „nie ma Mickiewicza i nie ma Miło-

KOT PANGUR

*Zapisane w VIII w. na egzemplarzu Listów św. Pawła
przez mnicha pobierającego nauki
w klasztorze w Karyntii*

Kot mój Pangur w mniszej celi
Obowiązki ze mną dzieli:
On po kątach szuka myszy,
Ja – słów szukam w nocnej ciszy.

W księgach tkwić – zaciejsza sprawa
Niż światowa cześć i sława.
Wie to kot – i bez złej woli,
Jak ja – skromną pracę woli.

Widok wielce to nadobny:
Kot do pana tak podobny,
Gustujący w każdej prawie
Jego pracy i zabawie.

Niech w półmroku mysz zaszura –
Padnie pastwą łap Pangura.
Niech mnie nagły sens oświeci –
Wpadnie w myśli mojej sieci.

Kot z pilnością niesłychaną
Czyha na swój łup pod ścianą.
Ja – pod murem wiedzy stoję;
Drabinami – myśli moje.

Nie zna kot szczęśliwszej chwili,
Niż gdy myszka nos wychyli.
Ja – gdzież chwile znajdę słodsze,
Niż gdy myśl do sensu dotrze?

Tak to obaj bez szemrania
Wypełniamy swe zadania.
Sztuki nasze smutek koją:
Kot ma swoją, ja mam swoją.

Praktyka, natura wtóra,
Czyni kota wzór z Pangura.
Wiedzy błysk pod mroku wiekiem
Mędrszym czyni mnie człowiekiem.

*Na podstawie przekładu Robina Flowera
tłumaczył Stanisław Barańczak*

sza”), zastanawialiśmy się, jak dodatkowo uatrakcyjnić wieczór Heaneya. Pomyśl, iż poezji irlandzkiej powinna towarzyszyć muzyka celtycka, wydał się dość oczywisty. Ba, ale skąd ją wziąć? To bodaj Kasia Mach ze Znaku przyniosła mi „Magazyn Gazety Wyborczej”, w którym był niewielki artykuł o rosnącej popularności w Polsce muzyki irlandzkiej, a wśród wymienionych zespołów jako jeden z najciekawszych wskazano grupę „Carrantuohill”

ze Śląska. Ze względu na bliskie sąsiedztwo i wieloletnie związki ze Śląskiem postanowiłem zaprosić właśnie tych chłopców z Rybnika i Żor.

Salę wypełniły ciasno ustawione krzesła, część publiczności przysłuchiwała się z sali sąsiedniej, tym, którzy się nie zmieścili, pozostała sień i obszerna klatka schodowa. Przy stole zasiedli Heaney, Barańczak i Sommer z Janem Kochanowskim i piszącym te słowa, w rogu za nami



Występ na jednym z największych festiwali w Irlandii, Cork, 1999 r.

rozłokował się „Carrantuohill” – jeszcze wówczas bez perkusji. Kilka muzycznych „wejść” śląskich muzyków przyjętych zostało z entuzjazmem przez publiczność, a co ważniejsze – przez samego Heaneya, któremu znajome dźwięki sprawiły wyraźną przyjemność. Chłopcy umiejętnie przeplatali skoczne *jigi* i *reele* z wolnymi, nastrojowymi melodiami, tworzącymi idealną oprawę do przywoływanych w wierszach Heaneya irlandzkich pejzaży, realiów jego wiejskiego dzieciństwa, obrazów stodół i młeczarni, opisów kopania torfu i zbierania jagód. Nie wiedziałem (ani nie marzyłem) jeszcze wówczas, że za kilka lat dokładnie takie pejzaże oglądać będziemy razem z muzykami „Carrantuohill” z wysokich klifów zachodniego wybrzeża Irlandii...

Nieformalna część wieczoru, w nieco mniejszym gronie, przeniesiona została do pokoi redakcyjnych na piętrze, gdzie muzycy mieli możliwość porozmawiania z poetą. Przy poczęstunku i winie „Carrantuohill” nadal przygrywał gościom, których część – jak publiczność na każdym koncercie tej grupy – nie była w stanie ustać spokojnie, tylko przyklaskując do rytmu poderwała się do tańca. Heaney dobrze zapamiętał ten wieczór – wspominał go jeszcze wiele lat później, przy okazji wyróżnienia i medalu, jaki wręczono mu w polskiej ambasadzie w Dublinie. Zdarzało mu się oczywiście występować przed znacznie większą widownią, twierdził jednak, że w niewielkim wnętrzu Dworku Łowczego odbiór jego poezji był – co wyraźnie czuł – wyjątkowo dobry. Wyznania tego nie podyktowała czysta kurtuazja, a do takiego właśnie wrażenia z pewnością przyczynili się „śląscy Celtowie.

* * *

Kolejne spotkanie z grupą „Carrantuohill” i Heaneyem nastąpiło również w Krakowie niespełna dwa lata później.

Postanowiliśmy zaprosić Marie Heaney, żonę Seamusa, i przygotować na jej przyjazd polskie wydanie napisanej przez nią książki *Za dziewiątą falą. Księga legend irlandzkich*.

Irlandzkie klimaty poezji Seamusa i legend spisanych przez Marie podsunęły nam nazwę „Krakowskie Spotkania z Poezją i Legendą”.

Na drewnianym podeście Seamus czytał wiersze, Marie – fragmenty swej *Księgi legend irlandzkich*. Po polsku prezentowali je Anna Dymna, Jerzy Treła i Jan Nowicki. Oprawę muzyczną tworzył oczywiście „Carrantuohill” – tym razem wsparty zespołem tanecznym „Comhlan”, prezentującym tradycyjne tańce irlandzkie. Pod czcigodnymi sklepieniami fruwały zielone spódnice, z boku stanął także kramik, w którym – ku zgorszeniu nielicznych ludzi nabożnych – gościom serwowano zimnego Guinnessa. „Carrantuohill” jak zwykle zachwyił i rozgrzał zziębniętą nieco publiczność swymi skocznymi rytmami. Heaney zrobił słuchaczom niespodziewany prezent – przeczytał wiersz Wisławy Szymborskiej przetłumaczony na angielski przez Josifa Brodskiego. W symboliczny sposób nasze spotkanie stało się zatem przynajmniej na chwilę wymarzonem przeze mnie Spotkaniem Noblistów. W mrocznych krużgankach długo nie milkły brawa dla muzyków, tancerzy, aktorów i irlandzkich gości. Potem był już tylko Guinness, chleb ze smalcem dostarczony w cateringu przez niezawodnego mecenasa artystów i sztuk wszelakich,

Jacka Łodzińskiego, oraz pamiątkowe zdjęcia z irlandzkimi gośćmi i zespołem.

* * *

Moja przyjaźń z grupą „Carrantuohill” zaczęła się zacieśniać. Chłopcy przysyłali mi swoje nowe płyty, informowali o nowych projektach, radzili się w różnych sprawach. Starałem się bywać na ich koncertach, gdy tylko grali w Krakowie, obserwowałem z satysfakcją, jak rozwijają się muzycznie, z jaką energią idą do przodu, koncertują, nagrywają.

Wiosną 1997 roku w porozumieniu z Jurkiem Owsiakiem, u którego na „Przystanku Woodstock” „Carrantuohill” regularnie występował, zrodził się plan odbycia podróży po Irlandii. Owsiak z dwoma operatorami nakręcić miał dla swojej telewizyjnej „Kręcioły” reportaż z Zielonej Wyspy, Tarantule – jak z właściwą sobie dezynwolturną językową przemianował ich Owsiak – mieli być bohaterami tego reportażu, koncertować w pubach, zwiedzać swoją przybraną ojczyznę, szukać inspiracji, a także starać się kupić dudy, o których marzyli od lat. Ja miałem być kronikarzem tej wyprawy. Wyruszyliśmy z Katowic wieczorem Fordem Transitem ozdobionym celtyckimi napisami „Carrantuohill – Irish and Celtic Music”.

Po dotarciu do Dublina, częściowo sponsorujące naszą wyprawę firmy Jameson Whiskey i Guinness zapraszają nas do zwiedzenia ich siedzib. W sobotę na pierwszy ogień idzie destylarnia Jamesona. Po przejściu hal z ogromnymi kadziami, zapoznaniu się z historią najslawniejszej irlandzkiej whiskey i nowoczesną linią produkcyjną, lądujemy w probierni, gdzie ubrany w tradycyjny uniform mistrz ceremonii zaprasza nas do stołów. Następnie przenosimy się do pubu po drugiej stronie ulicy, gdzie kontynuujemy degustację tych samych trunków, a także tradycyjnych irlandzkich potraw – które, szczerze mówiąc, słabo sobie przypominam.

Nazajutrz w podobny sposób zwiedzamy browar Guinnessa, po czym, już przed południem niebawale pokrzepieni na duchu, zaliczamy miejsca w Dublinie obowiązkowe: słynny budynek Głównego Urzędu Pocztowego, pod którym rozpoczęło się powstanie w 1916 roku, pomniki Jamesa Joyce’a i Molly Mallone, Trinity College z przepiękną Długą Salą mieszczącą 200 tysięcy beczennych starodruków, w tym mityczną Book of Kells. Potem Anne zabiera nas na drugi

brzeg Zatoki Dublińskiej, gdzie oglądamy znaną z *Ulyssesa* Martello Tower i schodzimy na plażę w Forty Foot Pool, gdzie mężczyźni tradycyjnie życzliwie kąpielili nago. Na tym brzegu Zatoki panuje mikroklimat, rosną tu palmy i różne egzotyczne rośliny. Zapewne z tych powodów, a także dla pięknych widoków na panoramę oddzielnego Zatoką Dublinia osiedlają się tu gwiazdy takie jak Demi Moore, Bruce Willis, Chris de Burgh, Def Leopard.

W Kinsale, w hrabstwie Cork, czeka na nas John Gately, który urodził się w tamtych stronach i pokaże nam miejsca, do których bez niego nie mielibyśmy najmniejszych szans trafić. Po drodze czeka nas wielka atrakcja – wyrastająca z płaskich równin Tipperary na wysokiej skale niewiarygodna twierdza Cashel, w V wieku odwiedzona przez św. Patryka i przez 1000 lat pozostająca symbolem władzy królewskiej i kościelnej. Z trudem udaje nam się opuścić wizyjne ruiny i w rezultacie, po kilku godzinach szaleńczej jazdy, spóźnimy się do Kinsale, gdzie, jak się okazuje, na „Carrantuohill” czeka w urzędzie miasta powiadomiona o naszym przyjeździe pani burmistrz wraz z grupą radnych. Odbywa się zaimprovizowana uroczystość na cześć „ambasadorów Irlandii w Polsce”. Wypchnięty na czoło naszej grupy, improwizując nieskładne przemówienie o tradycyjnej przyjaźni, pokrewieństwach i kulturowych więzach polsko-irlandzkich. Otrzymujemy wszyscy bordowe krawaty z herbem Kinsale – jednego z najpiękniejszych miasteczek irlandzkich, o malowniczych zaułkach i długich, burzliwych dziejach. To tutaj w 1601 roku klęska połączonych flot irlandzkiej i hiszpańskiej zakończyła okres celtyckiej świetności wyspy. Panujący tu od tego czasu Anglicy wzniesli w XVII wieku na morskim brzegu imponujące bastiony Fortu Karola, do 1922 roku używanego przez wojska brytyjskie, zaś w latach 60. będącego ulubionym miejscem spotkań hippisów.

W urzędzie miasta spotykamy się z Johnem, który odtąd będzie przez cztery dni naszym najwspanialszym przewodnikiem. Wędrowkę po kolorowych uliczkach Kinsale i wyprawę do Fortu Karola kończymy wieczorem w pubie „Spanyard”, gdzie „Carrantuohill” daje zaimprovizowany na poczekaniu koncert. Nazajutrz ruszamy przez Bandon i Killarney w kierunku miejsca szczególnego: najwyższego szczytu Irlandii – czyli Carrantuohill. To prawdziwa pielgrzymka do źródeł. Zostawiamy samochody na wiejskiej drodze i podchodzimy pod górę łąkami wśród ka-

miennych murków i przeraźliwie żółtych krzaków kwitnącego żarnowca. Szczyt niknie w chmurach i rezygnujemy ze zdobywania go, gdyż zajęłoby to resztę dnia. Wystarczy nam, że mogliśmy dotrzeć aż tutaj.

Późnym popołudniem docieramy do Dingle – pięknego rybackiego miasteczka na zachodnim wybrzeżu. Tuższe schronisko młodzieżowe stanie się naszą bazą wypadową na najbliższe trzy dni i dwie noce. Pierwszego wieczoru „Carrantuohill” gra w jednym z miejscowych pubów. Rychło dołączają się miejscowi muzycy, a wieść o występie polskich Celtów rozchodzi się po miasteczku. Po jakimś czasie w pubie panuje taki tłok, że z dużym trudem udaje się przechylić kufel. Wiązanki melodii irlandzkich przechodzących nieoczekiwanie w ognisty kawałek góralski wywołują prawdziwy entuzjizm zebranych. Przed zamknięciem pojawia się przed nami właściciel lokalu. – „Who is in charge here?” – pyta. – „Me” – odpowiadam, żeby nie komplikować sprawy. Za to, że zapełnił mi pub, wręcza mi pękata kopertę – odkrywamy z przyjemnością, że w środku jest 80 funtów. Na koniec doświadczamy czegoś, co robi na nas silne wrażenie. Kilka minut przed 23.00 od kontuaru odzywa się dzwonek obwieszczający ostatnią kolejkę. Okazuje się, że w całej Irlandii punktualnie o tej godzinie zamyka się wszystkie puby i jest to egzekwowane z bezwzględną skrupulatnością. Właściciel pubu, który złamałby ten przepis, traci koncesję.

Po powrocie do portu John zabiera nas w miejsca, w które bez niego nigdy byśmy nie trafili. W pewnym momencie skręcamy z asfaltowej szosy na kamienistą drogę i dłuższy czas jedziemy w kierunku górskiej doliny. Przejeżdżamy w bród rzekę i zostawiamy samochody na drugim brzegu. Ciszka, snujące się wśród wysokich skał mgły. Idę po kamieniach wzdłuż spływającego do rzeki strumienia, oddalam się od grupy. Po dłuższym marszu pod górę samochody i pozostali w dole chłopcy wyglądają jak niewielkie ciemne punkciki. Ogarnia mnie absolutna, niewiarygodna cisza. Nie słychać nawet ptaków. Wokół jedynie majestat wyniosłej pustki, takiej samej jak przed tysiącami lat. Kamienne, nie wiadomo przez kogo usypane stopy, mchy, trawy. Rozkoszuję się tą chwilą samotności i kompletnego wewnętrzznego wyciszenia. W końcu z ociąganiem schodzę w dół. Przy samochodach spotykamy miejscowych pasterzy z niewielkim czarno-białym pieskiem. John rozmawia z nimi w języku gaelickim. Okazuje się, że pie-

sek taki przedstawia wielką wartość. Miejscowi rolnicy za każdą owcę dostają od państwa sporą subwencję i hodowla jest dla nich w tej górskiej, nieurodzajnej okolicy głównym źródłem utrzymania. Twierdzą, że nie ma lepszego pasterza od tego wytrwałego i pojętnego stróża – dlatego w tych stronach lepiej ponoć przejechać dzieckiem niż takiego psa. Pasterze demonstrowują nam, co potrafi ich pomocnik. Jeden z nich wydaje gwizdkiem przeciągły świst. Piesek zrywa się i pędzi pod górę. Po chwili niknie w oddali. I wtedy dzieje się coś niezwyklego: nieruchome górskie zbocze wysoko, na granicy wzroku, ożywa. Okazuje się, że tam w górze pasie się niedostrzegalne dla niewprawnego oka ogromne stado owiec. Zaganiane przez psa, który jest już na ich wysokości, zaczyna posłusznie przemieszczać się na nowe pastwisko. Ponoć jeden taki pies jest w stanie sprawować opiekę nad wielkim stadem, zaganiać je na górę i sprowadzać w dół. Nasłuchawszy się ciekawych opowieści, żegnamy się z pasterzami i niechętnie opuszczamy mistyczną dolinę.

Resztę dnia zajmuje nam jazda krętą drogą nad samym brzegiem Atlantyku wzdłuż wysoko wyniesionych, kilkusetmetrowych klifów. Widoki niewiarygodne. Co jakiś czas zjeżdżamy w dół, na niewielkie, ukryte wśród skał plaże ze złotym piaskiem, skąd wspinać się można na wyszczerbione skały, bezustannie oblewane białą kipiłą. Po drugiej stronie drogi, nad naszymi głowami rozpostierają się łąki popręciane niezliczonymi kamiennymi murkami. Co jakiś czas mijamy niewielką wioskę, gdzie na rusztowaniach schną remontowane łodzie, których dna obciążane są krowią skórą. W tym zakątku Europy czas zatrzymał się nie wiadomo jak dawno temu. W tonącym w złocistej poświacie oceanie jak przed wiekami spoczywają skaliste wyspy – jedna, o konturach leżącego rycerza, do złudzenia przypomina przeniesiony tutaj przez tajemną moc Giewont. Wszystko to trwa pod powiekami, gdy nasyceni tym pięknem pijemy piwo i posilamy się po zachodzie słońca w przydrożnym pubie.

Następnego ranka pożegnanie z Dingle. Dziękuję górką drogą wśród jezior odwożymy Johna przez Tralee do Kinsale, serdecznie dziękujemy mu za poświęcony nam czas i ruszamy wzdłuż południowego wybrzeża w kierunku kolejnej destylarni Jamesona w Middleton, a po jej zwiedzeniu – już do portowego Rosslare, skąd promem odpływamy do Anglii. Żegnaj, cudowna, niezapomniana Irlandio! Muszę tu

jeszcze powrócić, przecież zaledwie Cię dotknąłem.

* * *

W pięć miesięcy po naszym powrocie z Irlandii, 4 października 1997 r., dokładnie w rok po koncercie u Dominikanów towarzyszącym wieczorowi Marie i Seamusa Heaneyów, „Carrantuohill” wystąpił w Krakowie na moje zaproszenie po raz trzeci. Tym razem okazję stanowiło „Spotkanie Poetów Wschodu i Zachodu”, organizowane przeze mnie w ramach Festiwalu „Kraków 2000” pod patronatem Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza – pary noblistów, jaką nie mogłoby poszczycić się żadne inne miasto. Irlandię reprezentował tym razem Paul Muldoon, najwybitniejszy obok Heaneya poeta, eseista, dramaturg i tłumacz irlandzki, wykładający *creative writing* na prestiżowym uniwersytecie w Princeton, USA. Zdumiewająco podobny do swego imiennika Paula McCartneya, Muldoon okazał się uroczym kompanem poetyckich biesiad, niezwykle miłym człowiekiem, ale przede wszystkim znakomitym poetą. Wystąpił na wspólnym wieczorze w porażającym surowym pięknym gotyckim kościele św. Katarzyny – razem z takimi twórcami jak Tomas Tranströmer, Jewgienij Riejn i Czesław Miłosz. Przed ołtarzem wzniesiono estradę, na której zasiedli poeci, po nich zaś zajęli miejsca muzycy. Ze względu na Muldoona oprawa była klasycznie celtycko-irlandzka. Gwiazdą wieczoru był najsłynniejszy irlandzki dudziarz, Liam O’Flynn, który wystąpił z należącymi do absolutnej czołówki irlandzkich muzyków organistą Rodem Mc Vey’em i gitarzystą Artyem McGlynnem. Mający w swoim dorobku nagrania z Enyą, Markiem Knopflerem i największymi gwiazdami trzej mistrzowie dali fantastyczny popis opanowania instrumentów, a solówki O’Flyna na dudach i małym fleciku whistle wprawiły publiczność w nastrój nieomal mistyczny. Co wspinała, równie gorąco publiczność ta przyjęła grupę „Carrantuohill”. Chłopcy, uskrzydleni obecnością irlandzkich mistrzów, wzniesli się na wyjątkowe wyżyny i grali jak natchnieni. Utkwił mi w pamięci widok opatulonego w ciepły płaszcz Miłosza, siedzącego obok Carol z nogami na wolnym krzeselku przed nim (z obawą przed zim-

skiem ciągnącym od kamiennej posadzki), wpatrzonego w rozświetloną scenę i z wyraźną przyjemnością chłonnego skoczne melodie grane przez Darka Sojkę na akordeonie, whistle i bodhranie, Maćka Paszka na skrzypcach, Zbyszka Seydę na mandolinie i buzuki, Bogdana Witę na gitarze i Adama Drewnioka na basie. Ten zachwyty Miłosza zaowocować miał niedługo niezwykłym zaproszeniem...

* * *

W kwietniu 1998 roku przyjaciel Miłosza i znawca jego twórczości, profesor Robert Faggen zorganizował w Claremont McKenna College, opodal Los Angeles czterodniowy „Czesław Miłosz Festival”. Zjechali się na niego najwybitniejsi amerykańscy poeci, krytycy i literaturoznawcy, wśród nich Helen Vendler, Jane Hirshfield, Robert Hass, Robert Pinsky, Leonard Nathan, a także wykładający na Harvardzie i Yale Seamus Heaney i Tomas Venclova. Równie silna była reprezentacja polska, z profesorami Janem Błotnickim i Aleksandrem Fiutem, Andrzejem Walickim, Adamem Zagajewskim, Bronisławem Majem, Adamem Michnikiem, Wojtkiem Karpińskim. Przez cztery dni od rana do wieczora w przeszklonej sali na tonącym w kwiatkach kampusie wygłaszano referaty, czytano wiersze, dyskutowano o poezji i najróżniejszych aspektach twórczości Miłosza. On sam, ze słuchawkami na uszach, w skupieniu wysłuchiwał wierszy i toczących się debat, samemu prawie się nie odzywając. Ostatniego wieczoru, wyraźnie wzruszony, uraczył nas wspaniałym zestawem wierszy. Wyznał potem, że tych kilka dni było dla niego znacznie przyjemniejszych niż noblowski tydzień w Sztokholmie. Z dala od zgiełku mediów, bez kamer i gąszczy mikrofonów, w stworzonej przez przyjaciół atmosferze życzliwości i podziwu dla Mistrza, równie ważnego dla nas, Polaków, jak i dla Amerykanów, spędziliśmy u stóp ośnieżonej góry wznoszącej się nad pobliskim Los Angeles piękne i ważne, wypełnione intensywnością i skupieniem chwile.

Na wyraźne życzenie Miłosza Bob Faggen zaprosił na Festiwal zapamiętany z Krakowa zespół „Carrantuohill”. Chłopcy przylecieli do Claremont późną nocą nocy i zanim powalił ich jet lag, zdążyli obudzić pół hotelu, kąpiąc się radośnie w ba-

senie położonym na wewnętrznym dziedzińcu „Claremont Inn”. Podczas przerwy w obradach dali plenerowy koncert na kampusie, podrywając do tańca na trawie studentów o wszystkich kolorach skóry. Po raz drugi zagrali w czasie pożegnalnego bankietu – serdecznie okłaskiwani, szczęśliwi i dumni, że mogli uczestniczyć w tym niezwykłym wydarzeniu.

* * *

Potem było jeszcze wiele spotkań i koncertów. Najbardziej utkwił mi w pamięci niezwykły, cudowny wieczór 15 stycznia 2005 roku w zasypanej śniegiem, rozświetlonej w ciemnościach Muzycznej Owczarni w Szczawnicy-Jaworkach. Chłopcy zagrali z jazzmanami: Urszulą Dudziak, Wojciechem Karolakiem, Tomaszem Szukalskim, Krzysztofem Ścierańskim, Markiem Radulim, Bernardem Maselim, Robertem Czechem. Irlandzkie melodie przechodziły w fantastyczne improwizacje. Drewniane ściany, pokryte plakatami i zdjęciami, niepowtarzalny klimat, świetna publiczność, fantastyczna forma wszystkich muzyków – to wszystko złożyło się na prawdziwe wydarzenie muzyczne. Po dłuższej przerwie Tarantule wydali mi się pełni tego samego ognia, co zawsze, ale jakby dojrzałsi, jeszcze bardziej perfekcyjnie zgrani, brzmiały ciekawiej. Irlandzkie melodie, rewelacyjnie zaaranżowane wspólnie z jazzowymi mistrzami, nabrały niecodziennej przestronności, poszerzone znakomitymi improwizacjami stworzyły muzyczną przestrzeń o wiele bardziej wielowymiarową i bogatą – zachowując jednocześnie tradycyjną żywiołowość i temperaturę. Kiedy dziś wychodzę z ich koncertu, wiem, że po dwudziestu sześciu latach grania muzyki celtyckiej i irlandzkiej zespół nie tylko osiągnął w niej prawdziwe mistrzostwo, ale też ma jeszcze w sobie duży potencjał, energię i potrzebę rozwoju. Potem jeszcze raz stanęliśmy z zespołem Carrantuohill na jednej scenie. W krakowskiej Mandze odbył się wieczór wspomnień po śmierci Seamusa Heaneya. Niemal dokładnie w dwadzieścia lat od chwili pierwszego spotkania z irlandzkim noblistą w Dworcu Łowczego w gronie żegnających go przyjaciół nie mogło zabraknąć wspaniałych, wiernych Ślązaków.

*) Mistrzu

– Ileż to lat „Carrantuohill” sprawa przyjemność miłośnikom muzyki celtyckiej w Polsce i poza jej granicami?

– Początek istnienia zespołu datujemy na rok 1987, czyli istniejemy w niezmiennym składzie już 27 lat.

– To jeden fenomen. Drugi to ten, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia znaleźli się na Śląsku młodzi ludzie, którzy zainteresowali się muzyką irlandzką, zupełnie wtedy w Polsce nieznaną.

– Nasze zainteresowanie muzyką celtycką wiąże się z filmem „Robin Hood” i przepiękną, nastrojową muzyką zespołu Clannad, jaka ten film ilustrowała. Fascynacja muzyką tego zespołu spowodowała, że zaczęliśmy szukać coraz głębiej i docieraliśmy w tych poszukiwaniach do twórczości artystów będących coraz bliżej źródeł muzyki celtyckiej. Tak właśnie dotarliśmy do muzyki zespołu „The Chieftains” i innych, a wtedy okazało się, że istnieją całe pokłady przepięknej muzyki, której w naszym kraju nikt nie zna. Przeszliśmy przez etap uczenia się, naśladownictwa, aż wreszcie w 1992 roku po raz pierwszy pojechaliśmy do Irlandii, do naszej wymarzonej Irlandii, gdzie wzięliśmy udział w warsztatach muzycznych organizowanych corocznie dla obcokrajowców w Sligo. Te warsztaty do dziś są prowadzone przez najwybitniejszych znawców i wykonawców muzyki irlandzkiej i ludzie z całego świata tam właśnie się zjeżdżają, by dotknąć, nauczyć się tej muzyki. Te warsztaty dały nam bardzo wiele. Można powiedzieć, że stały się taką wyrzutnią, która wyniosła nas do takiego poziomu, że wszyscy odczuliśmy, iż stała się nie tylko naszą pasją, ale także sposobem na życie i tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

– Trzecim fenomenem związanym z działalnością zespołu, jest fakt, iż po którymś z kolei pobycie w Irlandii zostaliście uznani przez tamtejszą publiczność za swoich i nie była to bynajmniej kurtuazja.

– Bywaliśmy tam wielokrotnie i zdarzały się nam sytuacje niezwykle miłe: koncertujemy gdzieś na południu kraju i podchodzi do nas człowiek, który mówi: – Wy to chyba musicie być gdzieś z północnej Irlandii, bo u nas na południu to się gra troszeczkę inaczej. – Nie przyszło mu do głowy, że jesteśmy z innego kraju. Dowodów, że nieźle nam to gra-

Z BOGDANEM WITĄ (Carrantuohill)
rozmawia WITOLD TURANT



Irlandzka muzyka, śląski temperament

nie muzyki celtyckiej wychodzi, mieliśmy naprawdę wiele. Nawet usłyszeliśmy kiedyś w Sligo, że kiedy się nas słucha, to chciałoby się połączyć oba regiony w jeden, który mógłby się nazywać Sligolesia. Myślę, że jest to sprawa naszego wczucia się w tę muzykę, jej nastrój i ten drugi jej „pokład”, emocjonalny. Wygląda na to, że nam się to udało. Czasami gramy za szybko, ale to chyba sprawa naszego polskiego śląskiego temperamentu.

– Kolor zielony, to kolor Irlandii. Nie jest więc przypadkiem, że wszystkie wasze materiały promocyjne utrzymane są w tej barwie.

– To prawda. Hasło „Śląsk – Zielona Wyspa” to także tytuł naszej największej produkcji koncertowej. Ale ta zieleń ma podwójne znaczenie. Chcemy pokazać, że Śląsk, jak się często uwa-

ża, to nie same odcienie szarości, ale także zieleń, która tu jest tak potrzebna i doceniana. Nie wszyscy uświadamiają sobie, że to drugi w kraju region pod względem terenów zielonych. Ponad 30% powierzchni Śląska, to są lasy, to jest zieleń. Nasza zielona muzyka wybitnie nadaje się do promowania zielonego Śląska. Stąd też w pierwszych dniach wiosny, w okolicach dnia św. Patryka organizujemy już od kilku lat w Zabrze imprezę będącą podsumowaniem różnych działań artystyczno-ekologicznych prowadzonych przez ekologów i przez nas w ciągu całego roku. Jest to rodzaj kampanii mającej na celu pokazanie znaczenia tej zieleni, już nie symbolicznej, a rzeczywistej, dla naszego regionu.

– Dziękuję bardzo za rozmowę.

RENATA PUTZLACHER

W KAWIARNI AVION, KTÓREJ NIE MA

(fragmenty)

PISANIE

To właśnie pisanie, nie blond warkoczki, które mi niebawem obcięto i nie perlisty śmiech dziecka, który wkrótce brzmiał dziwnie w domu, który na zawsze opuścił mój ukochany wujek; to pisanie, beztrioskie rymy, które zawsze miałam pod ręką i używałam ich w odpowiednich momentach; to właśnie pisanie pozwoliło mi zaistnieć jako istocie odrębnej, innej od tych wszystkich dzieci z osiedlowego podwórka, może ładniejszych, może bardziej skłonnych do szczęścia i do karami za winy niezawinione, na przykład brak języka w gębie w momentach, kiedy trzeba było wyartykułować po czesku to, co mi w duszy grało w innym języku. Przelewanie na papier tego wszystkiego, co wisiało w powietrzu i nade mną, było próbą oswojenia rzeczywistości i pogodzenia się z tym, czego zmienić nie mogłam. Pisanie – rytualne lizanie ran i jednocześnie kompres na rany przeze mnie zadane...

METAXU

Jestem Mohikanką. Moje indiańskie imię brzmi „Ta, Która Stoi Na Moście”. W rodzinnych opowieściach zawsze pojawia się jakiś most, zmieniały się tylko rzeki, most był zawsze, by można było na nim stać i wypatrywać, skąd przyjdą nasi albo obcy. W czasie wojny, a potem już nawet w międzyczasie, nasi często stawali się obcymi, jak to na pograniczu. Czasem wystarczyło stać na moście i zastanawiać się, jakie po zejściu na stały ląd zostanie się państwo. Granice, zwłaszcza te na rzekach, bywają płynne.

Most zawsze kojarzył mi się z zawieszeniem, z niedookreśleniem. Stojąc na środku mostu granicznego jesteś bezpaństwowcem, bo to jest miejsce dla tych, którzy lubią balansować pomiędzy. „Stoję na granicy dwóch światów, w żadnym nie czuję się u siebie.” To z Tomasza Manna.

Wsiadasz do pociągu, który ma cię zawieźć z miejscowości A do miejscowości B. Robisz wdech i twoje życie ulega pozornemu zatrzymaniu. Siedzisz i jednocześnie się poruszasz. Nie ma jedności czasu i miejsca. Podróż też jest zawieszeniem, niedookreśleniem. Kim jesteś w tym czasie? Mieszkańcem jakiego miasta? Obywatelem jakiego państwa? Bycie „pomiędzy”, *metaxu* – to z Simone Weil. Wreszcie przybywasz do celu i przychodzi pora na wydech. Może westchnienie ulgi. Nie ma już niepewności, jest stały ląd pod nogami.

Moja rodzina stanowczo zbyt wiele czasu spędzała na mostach i w pociągach. To jakiś nakaz? *Zew? Der Zwang.*

ONA

Ona przychodzi, siada na brzegu łóżka i z przekornym uśmiechem wyciąga sen spod moich pleców jak pomięte przecieradło. Noc nabrzmiewa, a my patrzymy na siebie tak, jakby chodziło o jakiś pojedynek. Widzę nasze twarze w lustrach... Jej marzy się to, co posiadam, a ja oddałabym jej większość tego wszystkiego za obietnicę, że wrócę tam, skąd przyszła i wszystko ponaprawiam. Wyprasuję całuny, przywołam pocałunki i radosny śmiech, pozacieram nieszczególne wrażenia.

PÁLAVA. SKĄD PRZYCHODZIMY I DOKĄD IDZIEMY?

W Cieszynie miałam taką trasę: dom – cmentarz – dom. Pytania zadawane wujkowi, potem wujkowi i dziadkowi, w końcu wujkowi, dziadkowi i babci. Gdzie spoczną moje kości?

Pálava jak pytanie i odpowiedź, początek i koniec. Kości łowców mamutów i ich paleolityczna Wenus z Věstonic, do której z biegiem lat upodabnia się każda kobieta, która nie ma sił lub ambicji, by walczyć z naturą i siłą grawitacji.

Pálava. Jak ostatnia podróż Achmatowej do Włoch, wśród winnic i białych skał. Jak lustro wody, na które lubił patrzeć Brodski. „Twój czar nade mną trwa...”

BONSAI

Była wierzbą płaczącą, przynudzającą.
I przyszedł los-ogrodnik z nożycami.
Poprzycinał, co się dało.

Teraz jest jak cool bonsai,
krzew modny.
Poukładany. Chłodny.

PÁLAVA. ZIMA

biały kościół nad wodami
dzwon zapomniał o swoim sercu
w tym zawieszeniu i ciszy
idziemy wśród skamieniałych winnic
które wyciągają ręce ku niebu

bezdumni jak Adam i Ewa
po sezonie
gdy zamknięto raj a jeszcze
nie otwarto świata

KRAJOBRAZY PO BITWIE

Od lat tam i z powrotem
przez pola Austerlitz
pociągiem samochodem
na przełaj na bosaka

by po latach spojrzeć
z dystansu na swój własny
krajobraz po bitwie
i pomyśleć z ulgą

Mogłam przecież jeździć
tam i z powrotem
przez pola Waterloo

ANNA, KTÓREJ NIE MA...

„ы выдумал меня. „акой на свете нет...
Анна Ахматова

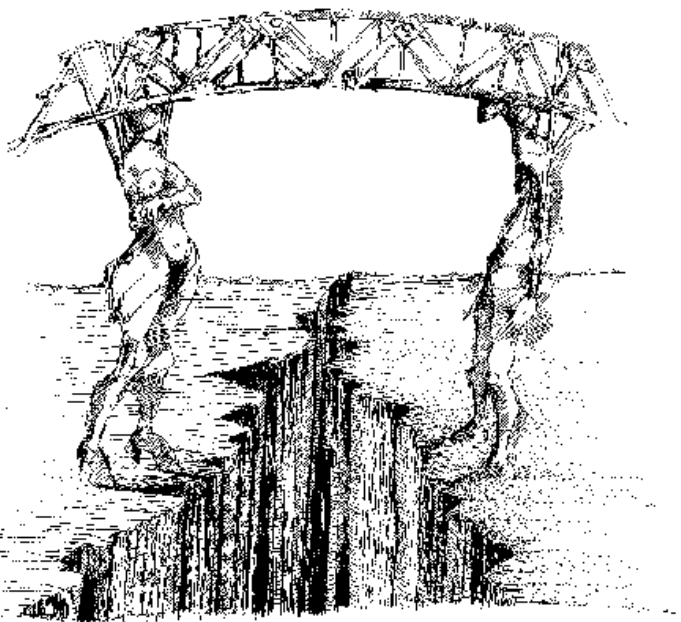
1. Anna w Komarowie

Czego mogę od ciebie oczekiwać,
Josifie? Że przyjdiesz, spojrzysz na portret
na ścianie, powiesz: „Modigliani”,
a ja będę zachodzić w głowę,
czy pomyślałeś to samo: „Tak, on już
nie żyje, a ona go poznała
w tamtej epoce, kiedy ją malował.”

Na jednym brzegu młodość, na drugim
ja, pomiędzy wieje wiatr, ten sam,
który zatrzasnął drzwi mojego domku
w Komarowie.

2. Anna jedzie po ostatnią nagrodę

Wolna. Gdzieś w dali przede mną majaczy
Taormina. Ktoś tam teraz piecze chleb,
bo pewnie zechcą mnie przywitać po słowiańsku.
Siedzę w przedziale pierwszej klasy, choć
w moim życiu najczęściej stałam na korytarzu,
gdzie wiało. Przyglądam się cyprysom, ktoś rzeźbił
te kształty, gdy znudziła mu się pospolitość
naszych drzew na północy. Pociąg mija Rovigo,
miejscość bez strzelistych wież i akweduktów.
W Italii mało jest miejsc, w których można
na chwilę zrezygnować z egzaltacji. Laureatka.
Przedśmiertne zaszczyty. Jadę do Taorminy,
a już myślę o powrocie. Tam czeka ktoś,
kto jeszcze nie wyemigrował. Rosja
to szczególna klatka i wkrótce oboje ją
opuścimy. Bella Italia, tu kiedyś się spotkamy,
Josifie, nad wodami.



Rys. Wojtek Łuka

3. Anna Wszechrosji

Zasnęła, trzeba schować tę butelkę
po wódce. Tego by nam historia literatury
nie wybaczyła. Reszty nie trzeba,
krytycy sami przypudrują jej nos.
Wbrew pozorom była kruchą kobietą
i ciążyła jej ta korona. Nawet bez tego
sztafażu potrzebne jej było moje ramię.
Kiedy tak szliśmy przez miasto,
czułem pomimo płaszcza jej puls.
To wraca w czasie bezsennych nocy
zamiast tykania zegara. Nasz czas,
choć już dawno odeszła.
Byłem giermkim królowej bez ziemi.
Dziś jestem tułaczem. Jej berło
turla się po kontynentach.

RENATA PUTZLACHER

W maju 1947 roku ks. Ewald Kasperczyk zaproponował parafianom w Turzy Śląskiej Matkę Bożą Fatimską na patronkę budowanego nowego kościoła. Pomimo stawianych przez peerelowskie władze trudności i stosowanych sankcji, już 13 października 1948 roku parafianie powitali w kościele obraz Matki Bożej Fatimskiej namalowany przez górala, artystę malarza z Rupienki koło Kamesznicy, (leżącej obecnie w Koniakowie w Gminie Istebna) Franciszka Worka – Wojarskiego. Miesiąc później, 14 listopada 1948 roku, bp Stanisław Adamski dokonał aktu poświęcenia kościoła. Tym faktem godnie uczczono 30. rocznicę objawień fatimskich. To, co wydarzyło się sześćdziesiąt pięć lat temu, zainspirowało Koło Związku Górośląskiego w Turzy Śląskiej do zorganizowania pielgrzymki, będącej zarazem spotkaniem górali ze Związku Podhalań Oddziałów Żywieckiego i Śląskiego ze Ślązakami. Łączy nas bowiem wiele. Jednak zagubieni w codziennych trudach życia, przytłoczeni teraźniejszością, nieraz nie zdajemy sobie z tego sprawy.

swojej ojcowizny”; rzucił w rozmowie obecnie już mieszkaniec naszej wioski. Takich miejsc w Beskidzie było więcej. A jest to ziemia od wieków zasiedlona przez ludzi wędrujących jej wzgórzami i dolinami, tu osiadłych czy szukających schronienia, wypasających bydło czy owce. Stąd mieszanka kultur. Bo tak jak na Górnym Śląsku gdzie wpływ miały kultury polska, czeska, niemiecka, żydowska, tak w górach, Beskidzie, rumuńska, węgierska, ukraińska, polska, czeska, słowacka, niemiecka i widoczne wpływy górali wołoskich. Powstała strawa jak bigos. Im więcej składników, tym lepsza.

Czy gdyby losy II wojny potoczyły się inaczej, polany Beskidu obecnie słyszałyby „Hej przez wójtowe pole skoce sarna... i czy by niejedną tak przebiegała nóżkami „kiebyk takie miała”? Czy helokanie, uchwycone w górskim obrazie przez Stanisława Hadynę radowałyby nasze uszy?

Niepokornych, nieposłusznych hitlerowskiej władzy górali z Żywieckiego, jak i mieszkańców Zamojskiego, z Zagłębia i innych terenów Polski, Niemcy wywozili i więzili w utworzonych i na naszej górośląskiej ziemi Polenlagrach. Znajdowały się one w Gorzyczkach, w Gorzycach, w byłej kopalni „Fryderyk”. Zabitych i zmarłych chowano na ich terenie byle gdzie, na przykład wrzucano ciała do szybu. Na miejscowym cmentarzu znajduje się po ekshumacji masowy grób oraz tablica upamiętniająca te ofiary. Jest też tablica na terenie byłego obozu.

Okoliczna ludność więźniów niby „wynajmowała” do pracy, do pomocy w gospodarstwie. Celem była jednak pomoc; dać odetchnąć, nakarmić, chociaż zdarzały się również nieliczne przypadki złego traktowania. Przyjmowanie więźnia do pomocy stanowiło dla mieszkańców pewne ryzyko. Gdyby więzień zbiegł, przyjmujący go do pomocy mógł w zamian za niego trafić do obozu za druty.

Przechodzący obok murów i płotu z drutem kolczastym obozu (choć mieli możliwość wyboru innej drogi), szli tam też i po to, by ulżyć niedoli więźniów. Zapytałem bliską mi osobę. „Jak pomagałaś, nie bałaś się?” Wzruszenie ramion. „Wysz, poprawiałach niby dziecko w wózeczku. Oczy na prawo, to na lewo, kaj jest strażnik w wieżycze..., i buch chlyb przez płot”.

Braterstwo

Tu, gdzie nasz dom...

Idąc ulicą, przechodząc obok siebie, pozdrawiamy się skinieniem głowy lub zdawkowym „cześć”. Szczęść Boże, czy „... będzie pochwalony” są już coraz rzadsze. Mieszkaniec od mieszkańca odgródzony szpalerem żywotników często nie wie, kim jest jego najbliższy sąsiad. Niegdyś, gdy z pól pieczołowicie zbieraliśmy Boże plony, a każdy kłos był na wagę złota, gdy pogoda nie rozpieszczała, nasze dłonie pomagając, wzajemnie się uzupełniały. Jadąc do pracy, szliśmy do tego samego autobusu. Był czas na rozmowę, bliższe poznanie. Obecnie, gdy wyjeżdżamy z posesji samochodem, uważamy na to, by tylko się nie stuknąć. Nadchodzi jednak taki czas, że zasłyszane słowo z sąsiedniego podwórka, piłka, która przeleciała nad żywopłotem czy jakieś inne zdarzenie spowodują, że zamieniamy zdanie. I okazuje się, że się znamy.

Wędrując po górskich ścieżkach, wypoczywając w góralskich izbach czy obozując w Rycerce, Ustroniu –

Nierodzimiu, w Jeleśni, Brennej, Bierach czy w innych górskich wioskach niewykluczone, że się spotkałiśmy. Oni znów pracowali w powstałych na naszej ziemi zakładach, kopalniach i u nas często zapuścili swoje korzenie.

I znów się znamy

Trudno gdzieś być i nie oprzeć się pokusie poznania tego miejsca. Bez niego wędrownka czy wycieczka nie byłaby pełna, straciłaby swój sens. Będąc tam (w górach), wędrując po beskidzkiej ziemi poznawaliśmy jej przeszłość. I wiemy. Nie dość, że przyroda surowa, ziemia do uprawy trudna, to jeszcze okresy zniewolenia; niemiecka okupacja. Rodzimych mieszkańców miało tam nie być. Więc ich wysiedlano. Stawiających opór rozstrzeliwano, chałupy palono, nieraz z ich mieszkańcami. Podczas pobytu w Rycerce, pokazano nam te miejsca.

„Mojego krewnego znalaziono w porzeczku. Siedział skulony... Spalony. Bo nie chciał oddać i opuścić



Takich osób było więcej

Jedne z przedwojennych harcerek z Turzy Śląskiej zalotnie zagadywały niemieckich wartowników, odwracając ich uwagę, gdy inne w tym czasie przerzucały bochenki chleba przez płot. Chleb upieczony rękami „Pana Wilusia” Wilhelma Majzla, co to pamięcią czasów Powstań Śląskich sięgał, w nich niejako uczestnicząc, powstańcze meldunki przenosząc. Zmarł mając 105 lat. Piekł go z otrzymanej na „lewo” mąki z „Henklinego młyna”, znajdującego się w Turzy Śląskiej. Tego młyna od niedawna już nie ma.

By oddać sprawiedliwość, pomagali zarówno Ślązacy, którzy mieli polską krew, jak i często i ci co czuli się Niemcami. Bo przecież aby mieć i chcieć pomóc, trzeba po prostu być człowiekiem! Podobnych przykładów i dowodów jest tak wiele, że nie sposób ich w tak krótkim wspomnieniu przytoczyć.

Młodemu człowiekowi trudno się skupić na czyjejś opowieści. A Starszy Pan, obok którego nie tylko ja często przechodziłem, gdy pracował na swoim kawałku ziemi, bardzo nam chciał coś przekazać. Teraz już wiem co. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku pracował w Rybniku. Ożenił się z mieszkanką Turzy Śląskiej i tu zamieszkał. Spacerując po okolicy, w tym

po wyrośniętym na „frydrychowskich” hałdach lesie, widząc płot z resztkami kolczastego drutu, przystanął jak wryty i stwierdził, „mnie tu więziono”. Ocalał. Przeżył. Pochodził z Nieledwi, obecnie miejscowości w Gminie Miłówka w powiecie żywieckim. Nazywał się Franciszek Wolny.

Ilu było w tym obozie więzionych mieszkańców Żywiecczyzny? Nie zdążyliśmy policzyć. Gdy nasi przodkowie dążyli (przed i w czasie Powstań Śląskich), do przyłączenia tej ziemi do Polski, pomagali im w tym „dziele” mieszkańcy gór. Z Beskidu Żywieckiego i Śląskiego doliczyliśmy się blisko trzystu powstańców.

Pierwsze Powstanie Śląskie rozpoczęło się w niedaleko nas w Gołkowicach – obecnie miejscowości w Gminie Godów. Powstańcy przyszli z Piotrowic, atakując tamtejszy pałac, gdzie stacjonował oddział Grenschutzu. Potężnym wybuchem dali znać o jego rozpoczęciu. Na początku powstania dowodził nimi Maksymilian Iksal pochodzący z Turzyczki, która wtedy była częścią Turzy.

Praca zwaną pracą u podstaw na terenie obecnej naszej gminy rozpoczęła się dużo wcześniej. Już w roku 1910 zarejestrowane były tylko na terenie Gorzyc trzy polskie biblioteki. W ramach Towarzystwa Czytelni Ludowych, istniały; Towarzystwo św. Jacka, teatr polski, polskie chóry...

W plebiscycie 1921 roku, za Polską głosowało 72 procent mieszkańców terenu obecnej gminy. W walkach zginęło ośmiu powstańców (w tym czterech z Turzy).

Wszędzie, zarówno w górach, jak i na naszej ziemi, podczas okupacji w latach 1939 – 1945 niemiecki najeźdźca mścił się za odwagę bycia Polakiem, za przywiązanie do Ojczyzny, do Polski, do swojej ziemi. Ta odwaga została przez wielu okupiona krwią i łzami. W naszej wiosce okupant mścił się również. Nazwiska zamordowanych (oraz poległych w III Powstaniu Śląskim), widnieją na tablicy zawieszanej na Domu Gromadzkim w Turzy Śląskiej. Natomiast na terenie obecnej Białorusi Niemcy zamordowali księdza salezjanina Władysława Wieczorka. Tablice to upamiętniające znajdują się na budynku hurtowni Państwa Gębów. Podobną umieszczono na cmentarzu w Turzy Śląskiej.

Niezabliźnione u wielu rany z tamtych lat, są obecnie coraz częściej zapomniane lub marginalizowane. Pozwolicie, że nie wymienię tych osób czy organizacji, dodając, że ich głównym celem jest negowanie wszystkiego co ma związek z polskością Górnośląska. Odnosi się też wrażenie, że młodemu pokoleniu mówi się o tym w mało przystępny i strawny sposób, lub nie mówi w ogóle.

Życie, niezależnie od powyższych wydarzeń, ma to do siebie, że toczyło i będzie toczyć się dalej. Lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia. Nie sposób policzyć ilu górników-górali wstawało o trzeciej nad ranem, schodząc górskimi ścieżkami w doliny, by udać się do pracy w śląskich kopalniach. Autobus za autobusem, jak gigantyczny wąż wioził ich w głuszy nocy krętymi drogami górskich wiosek do pracy w naszych zakładach. A my, by poznać tajniki górskiej przyrody i krajobrazu, przemycaliśmy się tymi samymi autobusami do nich. Chociażby w sobotę na grzyby, by w poniedziałek z powrotem pójść prosto do pracy. Przyjmowała nas tam serdecznie, i gościnnie.

Jadąc przez Cisiec wspominaliśmy i wspominamy legendarną już historię budowy kościoła, który stanął na przekór peerelowskiej władzy w przeciągu jednej nocy. Trudności z tym związane podobne do tych jakie miała Turza Śląska przy budowie swojej świątyni. Obydwa kościoły służą do dnia dzisiejszego.

To też był czas zniewolenia, ale i czas niepokornych... Gdyby nie owi niepokorni, a jakże wtedy, w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku solidarni, pomimo represji, uparli aż do roku 1989, możliwe by nam było spotkać się jak dziś? Ile z tej, jakże świeżej jeszcze historii pamięta młode pokolenie?

My, to znaczy pokolenie lat powojennych, urodzone, jak się mówi „po wojnie”, pamiętamy starsze góralki, w Turzy (akurat z Koszarawy), z przewieszonymi przez plecy i zawiązanymi na piersiach płachetkami, w których znajdował się wiklinowy kosz z rogolkami, warzechami, łyżkami i innym wystruganym z drewna sprzętem kuchennym, jak i nęcącymi nasze oczy i wyobraźnię zabawkami, z ptaszyskiem bijącym skrzydłami, wózkami drabiniastymi, kołyską... Nocowały w wielu z naszych domów, by następnego dnia pójść dalej... Bo nie było łatwo, ażyć z czegoś trzeba było.

Nie masz już kolorowych jarmarków, koników bujanych, motyli i ptaszków drewnianych. A w górach i na rozstajach ścieżek i dróg coraz mniej drewnianych świątych, kapliczek. Odnosi się wrażenie, że zarówno u nich, jak i u nas coraz bardziej „na bakier z stylową zabudową”. Nie musi być taka sama jak sto czy wiele lat temu, bo życie pędzi do przodu.

Lecz przecież u nas nie brak zdolnych architektów z artystycznym za-

cięciem, stylistów zdolnych do proponowania czegoś związanego z tradycyjnym budownictwem naszych terenów. To samo można powiedzieć o pięknych strojach górali, czy naszych śląskich. Ile one mają artystycznych inspiracji, jaki to potencjał dla projektantów mody. Aż żal patrzeć, jak to ginie i jaką, w porównaniu z nami wagę do tego problemu przywiązują w sąsiednich krajach.

Zmienia się mieszkanie gór, i u nas zmienia się okolica, wszędzie coraz mniej ustronnych zakątków, bo za chwilę (czego przykładem jest i Mount Everest), wszędzie będzie można dojechać nowoczesnymi drogami, helikopterem lub samolotem. Co i jak czynić, by pogodzić tradycję z nowoczesnością, by wchodząc w beskidzką przyrodę, tradycję, kulturę, nie zniszczyć jej uroku, majestatu i piękna? To samo dotyczy i górnośląskiej ziemi.

Ciekawe, ilu mieszkańców gór, Beskidu Śląskiego i Żywieckiego zamieszkało u nas, w Turzy Śląskiej, w naszej gminie i okolicy? Dużo? O tak. Chyba starczyłoby na „Oddział Zniżniatych Górali Turskich” a może i na więcej, biorąc pod uwagę gminę i ziemię wodzisławską. A ilu ich jest? Nie policzyliśmy. Bo to nie tak ważne.

Ważne, że tworzymy wspólnotę

Wszystko co nas łączy jednocześnie integruje. Mamy wiele cech wspólnych – chociażby podobne lub te same gwarowe wyrażenia, radość ze śpiewania i muzykowania, wytrwałość w dążeniu do celu, pracowitość, przywiązanie do ziemi i religii. Do wielkiej i małej Ojczyzny. Do ojcowizny. Do tradycji. Dlatego się spotykamy. Gwoli sprawiedliwości i prawdy. Wady też mamy. Tylko o nich trudniej się mówi...

Ani w górach ani w kopalni (na dole), nie wolno krzyczeć, gwizdać bez potrzeby. Bo jak ktoś pomocy będzie wołał, to wtedy głosu niebezpieczeństwa nie usłyszysz. W kopalni tego porządku pilnuje Skarbnik. W górach? Jest wiele legend, opowiadań z górskich i o górskich szczytach, dolinach, strażnikach tej ziemi... O zbójnikach tych dobrych i tych złych; „... a kierych tych złych ponoć ździebko było mniej”.

Łączą miejsca, do których pielgrzymujemy. A dużo ich i kościołów po-

święconych Matce Bożej w naszej i beskidzkiej krainie. W niedalekim Boguminie (Bohumin), Matka Boża Starobogumińska, w Gorzycach mała kapliczka z obrazem Matki Bożej, do której niegdyś pielgrzymowały tłumy. Pszów z Matką Bożą Uśmiechniętą, miasto Wodzisław Śląski Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, no i miejsce naszego spotkania, Turza Śląska z Matką Bożą Fatimską. A nie należy zapomnieć o sąsiedniej gminie Godów i drewnianym zabytkowym kościółku w Łaziskach, czy o studzience w Jankowicach.

W Beskidzie... Konkatedra Narodzenia NMP w Żywcu, dalej Beskidzki Szlak Maryjny i śladami Jana Pawła II, Sanktuarium Maryjne w Rajczy, jubileuszowy Krzyż na Będoszcze Wielkiej, kościół w Kamesznicy, Krzyż Milenijny z drogą krzyżową na Matyskę, nowa Golgota Beskidzka, Sanktuarium Maryjne na Jasnej Górze, krzyż papieski w Skoczowie, Sanktuarium Matki Bożej Rychwałdzkiej...

Zaskoczeniem dla wielu, było przypomnienie (choć wszyscy wiedzieli), że obraz Matki Bożej Fatimskiej znajdujący się w turskim kościele w Turzy Śląskiej, namalowany został przez artystę malarza Franciszka Warka-Wojarskiego z Rupienki k. Kamesznicy, teraz przynależnej do Konia-kowa w gminie Istebna. W tym roku (jak wspomniano na początku), przypada 65. rocznica konsekracji kościoła w Turzy Śląskiej, ta sama namalowania obrazu. Fakt ten zainspirował do zorganizowania spotkania. Do spotkania mieszkańca gór z nami mieszkańcami górnośląskiej, wodzisławskiej ziemi. Do wspólnego pielgrzymowania. Bo niezależnie czy to się komuś podoba czy nie, czy tego chce lub nie, religia łączy i wzmacnia wzajemne kontakty. A nie jest tajemnicą, że sztuka w większości religią stała.

No i... Europa od zarania chrześcijaństwem stoi, a Polska dwukrotnie tej tożsamości broniła. Pod Wiedniem i w walkach „cudu nad Wisłą”. Nie mamy się czego wstydzić.

O historii, przeszłości, zabytkach i tak dalej można bez końca. Bo ich wiele, jak i innych ciekawych spraw i u nas, i tam w Beskidzie, jak i patrząc w przyszłość, również tych do rozwiązania i „załatwienia”. Przedstawić wszystkiego nie sposób, a znów gdyby wszystko przedstawić, będziemy ciekawi, by znów przyjechać?

Oni do nas, my do nich?

„Dom Niemiecki” wybudowano na pamiątkę średniowiecznych „Deutscheshausów” jakie rycerze Zakonu Najświętszej Marii Panny, w języku Lutra i Schillera zwani Kreuzritterami, wznosili w licznych miejscowościach ówczesnej Europy. Były zajazdami z niemiecką obsługą prowadzonymi wedle niemieckiego obyczaju. Otwarte dla wszystkich, szczególne przywileje zapewniały rodakom. „Dużą popularność zdobył sobie „Deutscheshaus” w środkowo niemieckim Wetzlarze nad Lahnem, powszechnie znany dzięki Goethemu i jego powieści o cierpieniach młodego Wertera. Taki szyld często zawieszano nad wejściem do gospód i zajazdów. Te, które nosiły tę nazwę od kilku wieków, wcześniej z pewnością były w posiadaniu zakonu” – zapewnia znawca przedmiotu, niemiecki badacz Hartmut Boockmann. W Katowicach, u progu XX wieku, goście mieli do dyspozycji pokoje, apartamenty, sale bankietowe, restaurację z dancin-giem i kabaretem. Właścicielem czterokondygnacyjnego budynku wzniesionego przez Paula Frantziocha był Max Guttfeld. Aż do końca I wojny światowej odbywały się tam wystawne przyjęcia z udziałem miejscowych elit i dygnitarzy.

Katowicki „Deutscheshaus” otworzył podwoje w 1900 r., jego inauguracja zapoczątkowała wieloletnie manifestacje poprzedzające ogólnoniemieckie obchody 500-lecia bitwy pod Tannenbergiem, przez cesarskich mistyfikatorów przedstawianej jako powód do chwały krzyżackiego oręza i ofiara poniesiona wskutek podstępnych knońców polsko-litewskich barbarzyńców. Niecałe 2 lata wcześniej na Wilhelmsplatz (obecnie: plac Wolności) odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika dwu cesarzy z rodu Hohenzollernów: Wilhelma I Białobrodego zwanego „księciem kartaczy” i jego syna Fryderyka III. Ich spżżone figury dumnie spoglądały z wysokości czerwonego, marmurowego cokołu. Ojciec uchodził za dobroczyńcę Katowic. W 1865 r., jeszcze jako król pruski, przyznał im prawa miejskie. Chlubili się krzyżackim rodowodem. Marzyli o kolonialnym imperium pod rządami czarnego orła z czerwonym dziobem.

Inicjatorami budowy hotelu i monumentu byli aktywiści Verein zur Förderung des Deutschtums in der Ostmarken (Związku dla Umocnienia

Najwspanialszym pomnikiem jaki Niemcy z Katowic wystawili swoim pruskim protoplastom był „Deutscheshaus”. Górował nad ruchliwym skrzyżowaniem pięciu ulic. Jak potężne kulisy w monumentalnym przedstawieniu zamykał prospekt ulicy św. Jana. W całej okazałości był widoczny z okien wagonów kolei żelaznej przejeżdżających przez pobliski wiadukt. Miał budzić podziw podróżnych przybywających od strony Sosnowca – z państwa moskiewskich carów i przypominać o krzyżackim rodowodzie „bastionu niemieczyny” na rubieżach cesarstwa, każdemu, kto z Berlina lub Paryża jechał koleją na wschód.

Czarna legenda Kreuzritterów

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Niemieczyny w Marchii Wschodniej), wkrótce przemianowanego na Deutscher Ostmarkenverein. Przewodził im adwokat Hugo Sachs, zięć dr. Richarda Holtzego. Organizacja potocznie nazywana „hakatą” prócz Niemców skupiała również Żydów. Przed wybuchem „weltkriegu” liczyła około 400 członków. Ich tubą prasową była – drukowana w Katowicach – „Kattowitzer Zeitung”.

Zanim wybuchła wojna

A gresywna germanizacja ludności polskiej przez Prusaków rozpoczęła się w 1745 r. Zapoczątkował ją Fryderyk II Wielki po konkwiescie Śląska. Do ideologii wynaradawiania ludności ziem zaanektowanych nawiązywały kolejne pokolenia Prusaków i Niemców. W ostatniej dekadzie XIX wieku jej zwolennicy – „Bracia Zakonu” zrzeszyli się w All Deutscher Verband znanym jako Liga Wszechniemiecka lub Pangermańska. Kilkuset najbardziej zagorzałych jej aktywistów skupiało – na poły – zakonspirowane Towarzystwo „Thule” wspierające cesarskie starania o reaktywację pruskiego militarysty, rasistowskiego panowania nad światem, wyniszczenia Żydów i zniewolenia Słowian. Pielęgnowali kult Prus i ich władców. Głosili pochwałę za-

konu krzyżackiego i upowszechniali jego złotą legendę. Zachęcali do nienawiści wobec Polaków, dla Niemiec równie groźnych jak Żydzi. Jednym z ideologów agresywnego pangermanizmu był Heinrich Clas, głoszący, że „wojna to wskrzesiciel wszystkich zdrowych i mocnych sił w narodzie”.

W 1894 r. w Poznaniu, trzech tamtejsi junkrzy – Hansemann, Kennemann Tiedemann, urzeczeni ideałami pangermanizmu, zapoczątkowali działalność organizacji mającej na celu uprawianie antypolskiej propagandy, popieranie kolonizacyjnych inicjatyw rządu pruskiego, a szczególnie politykę rugowania ludności polskiej. Jej emisariusze rychno dotarli na Górny Śląsk i do Katowic, gdzie zwolenników znaleźli wśród ludzi z kręgu miejscowego establishmentu. Ich zawołanie kierowane do prawowiernych Niemców głosiło: „Stoicie naprzeciw Polaków – najgroźniejszego, najbardziej fanatycznego wroga dla niemieckiej egzystencji, niemieckiego honoru oraz niemieckiej reputacji!”

Na początku XX wieku do odkurzenia mitu wojującego Krzyżaka przyczynił się cesarz Wilhelm II. W 1902 r. podczas wizyty w Malborku wygłosił toast, który potem cytowano nie tylko w Krakowie czy Warszawie ale we wszystkich stolicach Europy:

„Stary zamek malborski to staro- dawna twierdza na Wschodzie, to źródło kultur krajów na wschód od Wisły – ma nadal pozostać strażnicą dążeń niemieckich. Teraz znów tak daleko doszło, że polska zuchwałość chce wystąpić przeciw niemieczyźnie, zmuszony więc jestem wezwać mój naród, aby strzegł swych skarbów narodowych. I tutaj w tym zamku malborskim wypowiadam nadzieję, że wszyscy bracia zakonu będą zawsze gotowi, gdy ich zawezwę, aby bronili niemieckiego zwyczaju i obyczaju.”

Z zapisków biskupa Gawliny

O zapomnianych historycznych postaciach i wydarzeniach, znamienitych dla stosunków śląsko-krzyżackich w średniowieczu przypominał ks. prałat Józef Gawlina, w latach 1929-1933 notariusz i kanonik katowickiej kapituły a potem Ojciec Kościoła i legendarny biskup połowy Wojska Polskiego, do ostatnich dni życia związany z armią generała Andersa. Był publicystą i historykiem, redaktorem „Gościa Niedzielnego”. Pisał na łamach prasy katolickiej i roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

Tam właśnie, w trzecim tomie z 1931 r. opublikował szkic historyczny zatytułowany „Zasługi Ślązaków około starej Polski”. Przypominał między innymi, że walcząc z Krzyżakami u boku Kazimierza Wielkiego dopomogli w odzyskaniu Pomorza a potem byli pełnomocnikami Ojca Świętego w procesach sądowych przeciw zakonnikom z Malborka. Na dzień 4 lutego 1338 r., stosownie do postanowienia Benedykta XII zawezwali mistrza i zakon przed sąd w Warszawie. W roli posła sądu papieskiego wystąpił ks. Mikołaj, proboszcz św. Krzyża w Opolu.

„Sprężyną akcji przeciwkrzyżackiej był ks. Bartold z Raciborza, magister praw i prokurator króla polskiego – pisze ks. Kanonik Gawlina. – Na podstawie wręczonych przez niego materiałów badali legaci papiescy przez półtora roku sprawę i świadków. Wyrok zapadł dnia 15 września 1339 r. w Warszawie. Jak z orzeczenia samego wynika, w głównej mierze do przeprowadzenia procesu przyczynił się „pełnomocnik króla polskiego Ks. Bartold z Raciborza, który stawiał się obecnie i żądał, abyśmy stanowczy wyrok wydali”. Sąd papieski potępił nieludzkie postępowanie Krzy-



Deutschehaus, lata międzywojenne. Pocztówka ze zbiorów Muzeum Historii Katowic.

żaków, ogłosił ich za wyklętych i pod karą zawieszenia w urzędzie kazał dziewięciu biskupom (m.in. również wrocławskiemu, lubuskiemu i chełmińskiemu) ogłosić ekskomunikację Krzyżaków. Ziemię Chełmińską i Dobrzyńską mieli Krzyżacy zwrócić Kazimierzowi.”

Portret zakonnika z mieczem

Krzyżak z czołobitnością przedstawiany przez oficjalną, pruską propagandę, w odczuciu Ślązaków nigdy nie zyskał sympatii. Nie mógł jej zdobyć, bo był bohaterem negatywnym polskiej literatury – co prawda zakazanej przez władzę ale wciąż obecnej i czytanej z potrzeby serca. W Katowicach po książki polskich autorów sięgali nie tylko Polacy ale także Niemcy.

Do Polaków na Śląsku obraz Krzyżaka dotarł wraz z dziełami Mickiewicza, Słowackiego i Kraszewskiego. Działo się to za sprawą ks. Damrota, Lompy, Miarki, Ligonia i wielu innych „budzieli ducha polskiego” zakochanych w polskiej książce. Ślązacy niemieckojęzyczni, najpierw poznawali go przez dramat romantycznego Eichendorffa lub powieści prusocentrycznego Freytaga. Jednak prawdziwą furorę zrobił za sprawą Sienkiewicza. Z jego wyobrażeniem tej postaci Niemcy zapoznali się dzięki renomowanemu wydawnictwu Benziger oferującemu swoje książki w Niemczech, Szwajcarii i USA, które „Krzyżaków” Sienkiewicza w tłumaczeniu Emmy i Rudolfiny Ettlinger, wydało już w 1901 r., a zatem niemal nazajutrz po ich krakowsko-warszawskiej książkowej premierze.

„W znanym z krzyżackiego usposobienia mieście Lipsku, gdzie jest główna siedziba szowinizmu niemieckiego i gdzie grasuje najszowinistyczniejsze ze wszystkich szowinistycznych Towarzystw, osławiony «Alldeutscher Verband», rozpoczęło pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Sienkiewiczowskich i że je rozpoczęto od tłumaczenia «Krzyżaków»” – już w maju 1901 r. informował warszawski „Tygodnik Ilustrowany”.

Do upowszechnienia czarnej legendy Krzyżaków przyczyniła się matejkowska „Bitwa pod Grunwaldem” namalowana w 1878 r. Ślązacy mogli ją oglądać w zagranicznym wtedy Krakowie ale także na wystawach w Berlinie i Poznaniu. Jako arcydzieło była pokazywana m. in. w Wiedniu, Mediolanie, Petersburgu, Moskwie, Budapeszcie a podczas Wystawy Powszechnej w Paryżu w 1878 r., Matejko został nagrodzony Wielkim Medalem Honorowym. Wśród publiczności kulturalnej Europy wzbudzała zaciekawienie i stwarzała atmosferę zainteresowania przekazem literacko-historycznym. Pisarskie komentarze do niej stanowiły książki Józefa Ignacego Kraszewskiego.

W gminnej mowie i pieśni

Jako niepochlebny epitet używany w języku potocznym, Krzyżak występował w drugiej połowie XIX wieku. Upowszechniały go między innymi procerstwa Wawrzyńca Hajdy (1844-1923). Wieszczy z Piekar zwany Śląskim Wernyhorą, z przejęciem słuchany przez Ślązaków oczekujących zmartwychwstania Polski, przepowiadał, że „bałwan krzyżackiej

przemocy” zostanie zdruzgotany i Legnie „u nóg Śląska”.

Joachim Glensk w „Czarnej księdze prasy śląskiej” ukazującej sekrety prokuratorskich napaści na dziennikarzy i prasę polskojęzyczną w rejencji opolskiej odnotował, że w 1906 r. przed Izbą Karną sądu w Bytomiu wytoczono proces za porównanie niemieckich celników do Krzyżaków. Tak więc epitet i wiążące się z nim skojarzenia również i wtedy były w powszechnym użyciu. W świadomości Niemców i Polaków miały takie samo – obraźliwe znaczenie. Ponadto, prokuratorzy, komisarze nadgraniczni i policjanci czyhali na inne jeszcze „dzieła zabronione”. Pod koniec roku 1908 Bronisławowi Koraszewskiemu wydającemu „Gazetę opolską” zarekwirowali 7 reprodukcji „Bitwy pod Grunwaldem” przysłanych z Wszechnicy Polskiej w Łwowie.

Ślązakom, którzy w niewłaściwym kontekście używali określeń „krzyżak” bądź „Grunwald” groziły sankcje z paragrafu 130 Kodeksu Karnego inkryminującego „podburzanie do gwałtów”.

A jednak ci, którzy na piersi dumnie nosili biało-niebieską wstążeczkę, emblemat Związku Śląskich Kół Śpiewackich, już co najmniej od 1910 r. znali melodię i słowa „Roty” napisanej przez Konopnicką. Najpierw jako wiersz ukazała się na łamach „Gwiazdki cieszyńskiej”. Początkowo częściej ją nucili niż śpiewali bo za to można było dostać kilka lat więzienia. Pełnym głosem prezentowali ją od 1918 r. „Krzyżacka zawierucha” – jako epitet i fragment tej pieśni – gościła na ustach gimnastyków, pływaków i lekkoatletów ze śląskich gniazd „Sokoła”, któremu patronował Henryk Sienkiewicz.

W 1939 r. hitlerowcy skonfiskowali tekst i partyturę hymnu. Chętnie prezentowali go jako przykład „antynieemieckich uprzedzeń” Polaków”.

Za i przeciw

„Krzyżacy” stali się nie tylko lekturą polskiej i niemieckiej inteligencji ale także ulubionym czytadłem ludu. Wielkonakładowy „Katolik”, w latach 1911-1912 opublikował powieść w ponad 150 odcinkach. Potem, pełny jej tekst udostępniły, ukazujące się w Opolu „Nowiny Codzienne”, pierwszy odcinek drukując 11 lutego 1917 r.



Widok dzisiejszy kamienicy

Wśród powstańców śląskich często słyszało się piosenkę śpiewaną na nutę „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”. Tu także Ślązacy uznali za stosowne wspomnieć o Krzyżakach.

*„Armaty pod Anną lud zdobył
roboczy,
Rękami czarnymi od młota.
Najeźdźców krwią wrażą obficie
kraj zboczy
I pierzchnie krzyżacka holota.”*

Gdy zbliżał się plebiscyt Augustyn Świder, w swoim miesięczniku „Orędzie Sokole” pisał o „krzyżackiej hydrze”, której łeb można urwać odpowiednio używając wyborczej karty do głosowania.

Jeszcze w latach I wojny światowej w Malborku, na Śląsku mieli też apologetów. Jednym z najbardziej znanych pozostał zniemczony duchowny ks. Paul Nieborowski, proboszcz z Rychtala. Ślązacy nazywali go „obroncą krzyżaków”.

* * *

Wczesną wiosną 1920 r. Deutscheshaus, zgodnie z decyzją niemieckich władz miasta, został oddany do dyspozycji Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego przystępującego do przeprowadzenia pamiętnego referendum. W jego biurach pracowali przedstawiciele polskich towarzystw, organizacji i samorządów lokalnych, przygotowujący akcję wyborczą. Podczas wypadków sierpniowych tamtego gorącego lata sie-

dziba Komisarjatu stała się obiektem zbrojnego napadu niemieckich szowinistów. Nie dawali za wygraną. Nie mogli się pogodzić z faktem, że „słowiańscy barbarzyńcy” beczeszczą pomnik krzyżackiej tradycji.

Ostrzelali i podpalili budynek, w którym zabarykadowali się polscy działacze plebiscytowi. Po sforsowaniu bram i okien okaleczyli dr. Henryka Jarczyka, szefa Komisarjatu. W pobliżu zdemolowali lokal polskojęzycznej „Gazety ludowej”. W trakcie tych zajęć gen. Jules Gravier, komisarz wojskowy Międzysojusznicy Komisji Rządzącej i Plebiscytowej zarządził wprowadzenie rygorów stanu wojennego.

Wizerunek Kreuzritterów, Zofia Kossak-Szczuczka utrwaliła w „Bursztynach”, wydanych w latach 30., gdy na Śląsku o Grunwaldzie mówiono i pisano w trakcie sypania Kópca Wyzwolenia w Piekarach. Dla Ślązaków stał się symboliczną urną, w której złożono ziemię z pól bitewnych upamiętniających męstwo polskiego oręza.

W tym czasie, nad Łabą i Sprewą, do nobilitacji prusackich i krzyżackich tradycji sposobili się naziści. Po wkroczeniu do Polski w 1939 r. urządzali regularne oblavy na ukrytą przez Polaków matejkowską „Bitwę pod Grunwaldem”. Joseph Goebbels, prawa ręka Hitlera, obiecywał 2 miliony marek za wskazanie kryjówek. Uśmiercił kilku polskich muzealników strzegących tajemnicy ale obrazu ukazującego kłęskę krzyżactwa nie zdobył.

Zeszyt w szkocką kratę

JOANNA KERN

Ten zeszyt był w domu od zawsze. Pamiętam go z dzieciństwa, leżał w kuchennym bifyju, w szafce z przyborami do szycia. W czarnych, upstrzonych białymi plamkami okładkach, z częściowo zapisanymi kartkami pożółkłyymi ze starości. Jako dzieci nie byliśmy zainteresowani jego treścią, czasami tylko po kryjomu wyrwaliśmy pustą kartkę do zabawy, chociaż ojciec zabronił nam go ruszać. Wiedzieliśmy, że zeszyt przywędrował wraz z ojcem ze Szkocji, tak samo jak kryształowa popielniczka z wygrawerowanym herbem i napisem Kosmos Sixta, a także szeroki skórzany wojskowy pas, który zawsze wisiał za drzwiami w kuchni i służył ojcu – w zależności od okoliczności – do ostrzenia brzytwy przed goleniem lub przemawiania nam dzieciom do rozsądku, gdy wszystkie inne metody zawiodły.

Ojciec zmarł w 1992 roku, wkrótce potem z kuchni zniknął stary bifyj, a z nim również i zeszyt. Odnalazł się po 20 latach, w piwnicy, wśród makulatury przeznaczonej do spalenia. I dopiero teraz, po tylu latach, po raz pierwszy przyjrzelśmy się dokładnie zeszytowi i jego zawartości. Są w nim notatki z kursu samochodowego w Szkocji, na pierwszej stronie pierwsza lekcja „Zasadnicze części samochodu”, prowadzona przez podporucznika Szydłowskiego, oznaczona jest datą 10.V.1945. Na tej samej stronie pieczęć 16th SUPPLY COY. czyli 16 Kompanii Zaopatrywania, która wchodziła w skład 16. Samodzielnej Brygady Pancerniej gen. Maczka, do której ojciec został wcielony po przybyciu do Szkocji. Następne strony to kolejne notatki z kursu z nazwiskami prowadzących, podporucznika Łabińskiego i porucznika Marka, pisane wyraźnym, czytelnym pismem, z rysunkami i opisami części samochodowych. Notatki te, pisane w języku polskim, kończą się datą 5 czerwca 1945 roku. Na kilku innych stronach podręczny słownik, wyrazy z języka angielskiego, często używane w języku potocznym, do porozumiewania się z miejscową ludnością. Jednakże najciekawsze wpisy w zeszycie to poezja emigracyjna, wiersze, które powstały wtedy w Szkocji, przepełnione tęsknotą za rodziną i ojczyzną. Nie posiadają dużej wartości artystycznej, ale jest w nich taki ładunek uczuciowy, że stanowią chociażby z tego względu bardzo ważny dokument tamtych czasów i warto się nimi zainteresować. Trudno dziś powiedzieć, kto był ich autorem. Czy była to jedna osoba, czy są one dziełem zbiorowym, czy też był nim nasz ojciec. Musiały krążyć wśród żołnierzy i ciekawym by było odnalezienie tych samych tekstów w innych dokumentach. Ostatnim wpisem w zeszycie są słowa pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino” z datą 28.VI.1946, która powstała w nocy z 17 na 18 maja 1944 roku w siedzibie 2 Korpusu Sił Zbrojnych w Campobasso we Włoszech, a jej autorem był przedwojenny śpiewak operowy i kompozytor piosenek, Feliks Konarski. Po raz pierwszy została wykonana 18 maja 1944 roku w kwaterze armii Andersa, po zdobyciu klasztoru na Monte Cassino. Później, wraz z żołnierzami Andersa, przywędrowała do Szkocji i stała się jedną z najpopularniejszych pieśni wojennych. I gdy jest się w maju we Włoszech, nie sposób nie przypomnieć sobie jej słów spoglądając na pola i stoki gór tonące w kwitnącej makowej czerwieni.

Pozostawiony w spadku zeszyt skłonił mnie do przesłедzenia biografii ojca, tak bardzo typowej dla wielu Ślązaków z jego pokolenia. Ta część życiorysu była zawsze skrzętnie ukrywana przed obcymi, także w rozmowach z kolegami w kopalni, bo mogła zaszkodzić w pracy, szczególnie już wtedy, gdy pracował na stanowisku sztygara. Służba w Wehrmachcie i u Maczka były na Śląsku faktami w życiorysie, którymi nie należało się chwalić. Po tamtych czasach pozostało w domu niewiele dokumentów – karta zameldowania z amerykańskiego obozu jenieckiego z dnia 15 marca 1945 roku, prawo jazdy w języku polskim i angielskim z datą 7 czerwca 1945 oraz dwa zdjęcia, w mundurze Wehrmachtu i mundurze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Franciszek Parma urodził się w 1917 roku w Moszczenicy, niedaleko czeskiej granicy, wtedy noszącej nazwę Moschczenitz, należącej od XIX wieku do powiatu pszczyńskiego. Wioska była za-

mieszkana w większości przez autochtonów, co miało później wpływ na wyniki przeprowadzonego w 1921 roku plebiscytu. Franciszek znał z domu tylko gwarę śląską, tak jak jego rodzice, Emil i Katarzyna z domu Ranoszek. Katarzyna spokrewniona była blisko z tymi Ranoszkami z Moszczenicy, którzy byli właścicielami młyna i cegielni, była kuzynką Rudolfa Ranoszka, profesora polskiej sumerologii, asyriologii i hetytologii, późniejszego profesora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego, kuzynką bohaterkich lotników RAF-u w II wojnie światowej. Gdy Franciszek rozpoczął w 1923 roku swoją edukację w polskiej już szkole powszechnej, jego nauczycielem był wujek Wiktor Ranoszek, brat Rudolfa. Moszczenica była dość biedną wioską, wtedy jeszcze nie było kopalni, ludzie utrzymywali się z roli i dorabiali w miejscowej cegielni Ranoszków, tak jak Emil, ojciec Franciszka. On sam w późniejszych latach pomagał w gospodarstwie ciotki Gertrudy Górnej, siostry Rudolfa i Wiktora. Kontakt z nią utrzymywał do jej śmierci w latach osiemdziesiątych, dzięki temu też zdażyłam poznać tę część rodziny. Odwiedzaliśmy ją w starym domu, który już nie istnieje, przy ulicy noszącej dzisiaj imię jej brata Rudolfa, tak samo jak moszczenicka szkoła.

Atmosfera, w której wzrastał Franciszek była typowa dla ówczesnego Śląska. Zakończenie wojny w 1918 roku nie przyniosło spodziewanych zmian, ta część Śląska pozostała w granicach Niemiec. Dzięki śląskiemu sołtysowi, którym był Jan Ranoszek, przynajmniej część mieszkańców Moszczenicy miała pracę w cegielni i młynie, inni utrzymywali się z roli. Już zimą 1918 – 1919 roku w Moszczenicy pojawili się działacze z Rybnika i zaczęli agitować za Polską. Zaczęto zakładać polskie organizacje, takie jak Towarzystwo Polek, chór Lutnia, Gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Większość członków „Sokoła” należała również do istniejącej od kwietnia 1919 roku komórki Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Wśród nich był Emil Parma, ojciec Franciszka. Gdy wybuchły powstania, brał w nich czynny udział. Rozbrajaniem żołnierzom Grenzschtuzu odbierano broń, która trafiała do słabiej uzbrojonych oddziałów powstańczych. I właśnie Emil był jednym z tych, który tę broń przewoził. W przebraniu kobiecym jeździł furmanką i dostarczał karabiny powstańcom. Najbardziej tragicznie skończyło się dla Moszczenicy I powstanie. Zginęło w nim siedmiu mieszkańców. Ci, którzy brali w nim udział, byli represjonowani ze strony Niemców. Ciągłe przeszukiwania domów i kilkudniowe areszty miały na celu zastraszenie i uspokojenie nastrojów. Nie ominęło to i rodziny Parmy. Aby uniknąć częstych aresztowań, Emil zbudował dla siebie schowek w domu. W pomieszczeniu, które służyło jako komora, wykopał w ziemi otwór, wymurował i zaopatrzył w klapę. Tam się chował, kiedy do domu zbliżali się żoł-

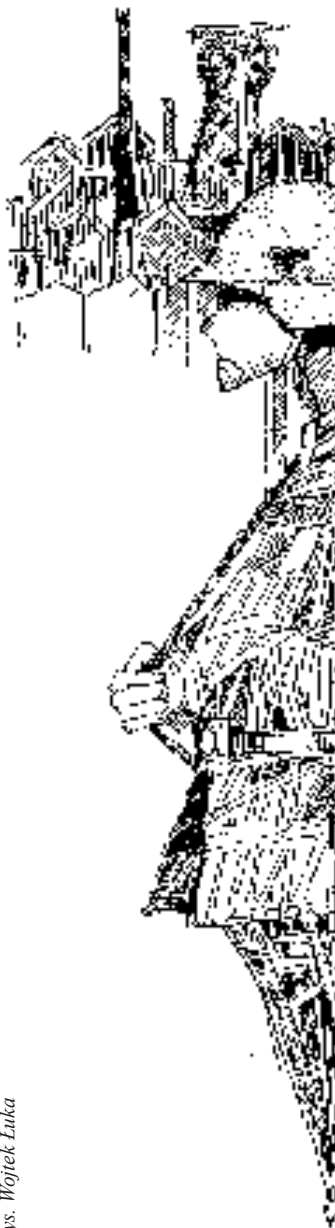
nierze Grenzschtuzu. Schowek ten przetrwał tak długo, jak długo stał dom i nigdy nie używano go do niczego innego. W 1920 w Moszczenicy wybuchł strajk szkolny, czego następstwem było wypędzenie wojsk Grenzschtuzu z pomieszczeń szkolnych i plebanii, gdzie kwaterowały od 1912 roku. W kwietniu 1921 roku w plebiscycie 80% głosów było za Polską, w maju powstańcy znów ruszyli do walki. W walkach o Jastrzębie oddział moszczenicki zdobywał budynek za budynkiem, potem brał jeszcze udział w walkach w Rybniku, Gozyczkach, Olzie i Nieboczowach. 13 lipca 1922 wieś została przejęta przez władze polskie. Stała się częścią województwa śląskiego, które posiadało uchwaloną jeszcze w 1920 roku autonomię, własny Sejm, budżet i inne przywileje.

Gdy w 1923 roku Franciszek poszedł do szkoły, była to już polska szkoła z polskimi nauczycielami. Okresu tego nie wspominał nigdy dobrze. Budynek szkolny był stary, zniszczony, z ciasnymi pomieszczeniami, które w dodatku sukcesywnie zamykano ze względu na bezpieczeństwo uczniów. Doszło do tego, że nauka w szkole odbywała się tylko 3 razy w tygodniu. Była wprawdzie w budowie nowa szkoła, jednakże ciągły brak pieniędzy w gminie opóźniał jej ukończenie. Tak więc swoją ośmioletnią edukację zakończył Franciszek jeszcze w starej szkole.

Do wybuchu wojny w 1939 roku przebywał w domu, pracował w cegielni u Ranoszka, w gospodarstwie ciotki i rodzinnym obejściu. Oprócz niego w domu było jeszcze dwóch braci i dwie siostry. W 1938 roku otrzymał wezwanie z Wojskowej Komendy Uzupelnień w Pszczynie do stawienia się przed Komisją Wojskową. Stało się to 4 czerwca 1938 roku w Radlinie. Otrzymał kategorię „A”. Do służby jednak nie został powołany. Gdy wybuchła wojna, podzielił los innych Ślązaków. Moszczenica znalazła się znów w granicach Niemiec, rodzinę wpisano na III Volkslistę, Franciszek był zdolny do pełnienia służby wojskowej, tak samo jak jego brat Józef.

Katowickie Wehrbezirkskomando (niemiecka Okręgowa Komisja Wojskowa) prowadziło ewidencję ludności województwa śląskiego pod kątem poboru do Wehrmachtu, w jej rejestrach figurowali również synowie byłego śląskiego powstańca. Przeszłość nie była ważna, byli znowu obywatelami Rzeszy, podlegali obowiązkowi służby wojskowej, którą określono dokładnymi przepisami już w maju 1935 roku, kiedy to w hitlerowskich Niemczech tworzone nową armię mającą podbić świat.

Wcielania do Wehrmachtu na Śląsku rozpoczęły się w 1940 roku i trwały do końca 1944. Franciszek skorzystał z przysługującego mu prawa, które odraczało służbę w wojsku,



Rys. Wojtek Łuka

jeżeli pracowało się w przemyśle lub na roli. W lipcu 1940 roku zatrudnił się więc u swojego wujka w powiecie miłkowskim, a po 9 miesiącach u innego, w powiecie rybnickim. W ten sposób udało mu się odwiec do października 1942 powołanie do wojska. W październiku musiał stawić się przed komisją poborową w Rybniku, a już 9 grudnia jako Franz Parma wyjeżdżał do Legnicy do koszar Wehrmachtu. Został wcielony do Zmotoryzowanego Batalionu Grenadierów 51 Pułku Piechoty, która wchodziła w skład 18 Dywizji Piechoty pod dowództwem generała Hermanna Hoth. Była to ta sama dywizja, która 1 września 1939 roku przekroczyła granice Polski od strony zachodniej, a w 1944 roku jej 51 Pułk Piechoty praktycznie przestał istnieć, zamknięty w kotle przez Rosjan w Bobrujsku nad Berezyną (Białoruś). Za tę akcję, nazwaną Operacją Bagration (Piotr Bagration – dowódca II armii rosyjskiej w wojnie napoleońskiej), jej dowódca, Konstanty Rokossowski, został awansowany do stopnia marszałka ZSRR.

Franz Parma miał jednak szczęście. Jako Ślązak i członek III grupy Niemieckiej Listy Narodowej nie cieszył się pełnym zaufaniem niemieckich władz, podlegał też specjalnym zarządzeniom. Ślązacy byli rozdzielani, wcielani pojedynczo lub po kilku do plutonu. Za łamanie dyscypliny, sabotaż i dezercję groziła kara śmierci. Za dezercję była również karana rodzina dezertera, najczęściej wywożono ich do obozu koncentracyjnego, dlatego ucieczki zdarzały się wtedy rzadko. Od 1943 roku powołanych do służby w Wehrmachcie Ślązaków, nazywanych kpiąco przez Niemców Beutegermanen (Beute – zdobycz), nie znających wcale lub tylko szczątkowo język niemiecki, kierowano do różnych formacji w Rzeszy i państwach okupowanych. Nim do tego doszło, przechodzili przeszkolenie w macierzystych jednostkach, Franz przechodził je w Legnicy. Podstawowe szkolenie z zakresu rodzajów i używania broni, marszu, zachowania w przypadku użycia broni chemicznej, obrony i ataku, pełnienia warty trwało od 8 do 12 tygodni i odbywało się w języku niemieckim. Później dochodziło jeszcze szczegółowe przeszkolenie związane z przydziałem do konkretnej grupy, w tym wypadku była to piechota, i tutaj musiał Franz opanować zasady walki we wszelkich możliwych sytuacjach, zasady budowania okopów, działania forpoczty i grupy zwiadowczej. Po okresie szkolenia i złożonej przysiędze otrzymał kilka dni urlopu. Odwiedził rodziców w Moszczenicy i skorzystał również z zaproszenia do odwiedzin kolegi z Kostuchny, który też jechał na urlop. W Kostuchnie poznał Marię, swoją przyszłą żonę. I to właśnie Maria odprowadzała go wtedy do koszar, pojechała z nim do Legnicy, nie wiedząc, czy się jeszcze kiedyś spotkają, czy Franz wróci żywy z wojny.

Latem 1943 roku, Franz wraz ze swoim oddziałem piechoty, został skierowany w głąb Niemiec. Z jego wspomnień wynikało, że jednostka stacjonowała najpierw na wsi koło Düsseldorfu, gdzie żołnierze nawiązali bardzo serdeczne stosunki z miejscową ludnością, pomagając w pracy na polu. Później, już w 1944, przeniesiono ich na przedmieścia Moers. Umacniali stanowiska artylerii, budowali okopy i zasieki, przygotowywali się do odparcia wojsk alianckich, które od momentu wylądowania 6 czerwca w Normandii nieubłaganie podążały w kierunku Północnej Nadrenii Westfalii. Ich zadaniem była przede wszystkim ochrona rafinerii i zakładów chemicznych, szczególnie narażonych na ataki bombowe. 8 listopada 1944 przeżył Franz najcięższe bombardowanie

miasta, do dzisiaj określane jako dies ater von Moers – czarny dzień Moers. Atak z powietrza rozpoczął się rano o godzinie 10, zginęło wielu pozostałych jeszcze w mieście mieszkańców, zniszczeniu uległy, oprócz prywatnych budynków, prawie wszystkie szkoły i instytucje państwowe oraz w 50 % zakłady chemiczne. Z tego względu podjęto decyzję o ich przeniesieniu na tereny mniej narażone na bombardowanie, tym bardziej że południowa część powiatu Moers była uważana za Luftschutzgebiet (teren ochrony przeciwlotniczej), gdzie od 1942 roku zbudowano ponad 1000 bunkrów. Bunkry te, zwane „Moerser Topf” (garnek), były wynalazkiem inżyniera budowlanka z Moers, Ludwiga Eberleina. Były to małe, murowane, wpuszczane w ziemię okrągłe bunkry, mieszczące od 10 do 20 osób. Stały się tak popularne, że Niemcy budowali je na terenie całej Rzeszy i w państwach okupowanych. Jeszcze teraz można je spotkać w różnych zakątkach Europy, również na Śląsku. Zakładów chemicznych nie udało się jednak uratować, ostatecznie zostały zniszczone 2 marca 1945 roku, w ostatnim nalocie bombowym na miasto. Pod ich gruzami zginęło 78 osób, w większości jeńcy wojenni i robotnicy przymusowi.

Pomimo strachu, który towarzyszył Franzowi w czasie bombardowań, powoli świtała nadzieja na zakończenie wojny. Przygasła nieco po klęsce aliantów w Arnhem. Zwycięstwo Niemców, ostatnie zresztą w tej wojnie, było drugoczące. Ale sam fakt, że wojska alianckie były oddalone zaledwie o 116 kilometrów i jak twierdzą świadkowie, odgłosy kanonady dało się słyszeć nawet w Moers, przepowiadał koniec III Rzeszy.

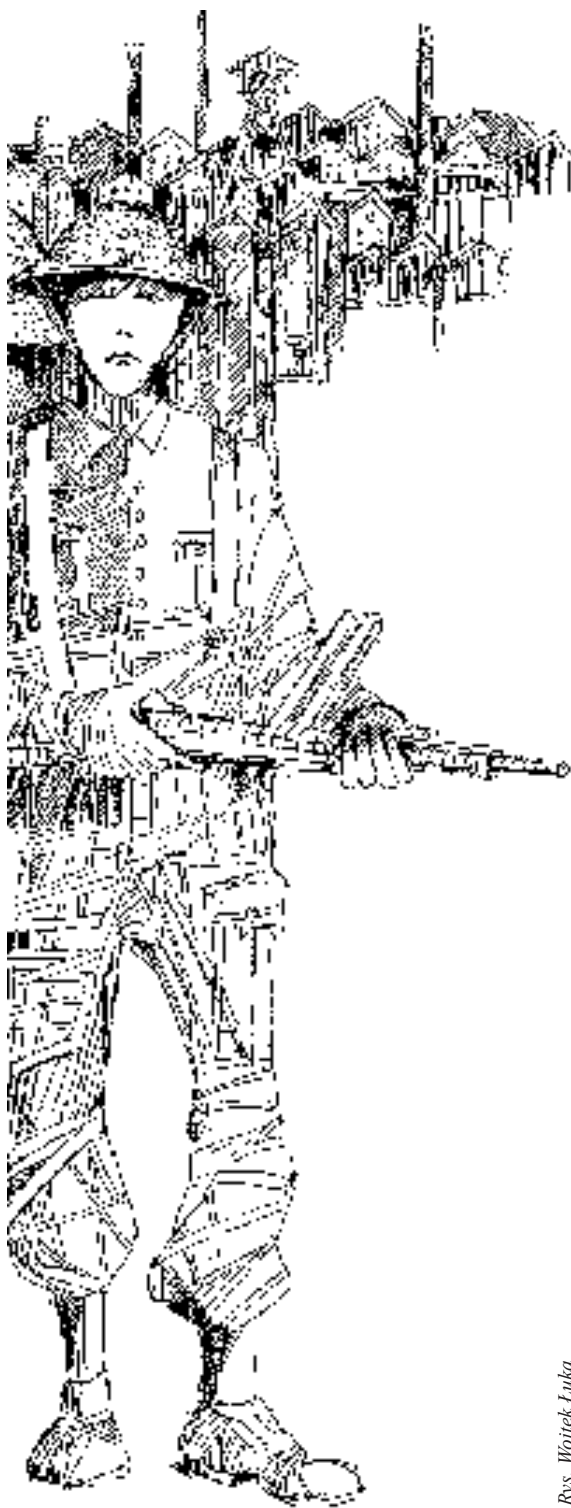
Zima 1944-1945 była długa i ciężka. Niskie temperatury, śnieg, śnieg z deszczem, zmienne wiadomości z frontów napawały niepokojem. Dopiero nowa ofensywa, pod nazwą „Veritable”, która rozpoczęła się 7 lutego 1945 roku i doprowadziła do całkowitego zniszczenia sąsiednich miast – Wesel i Jülich, otworzyła armii amerykańskiej drogę do Moers. Miasto było już bardzo zniszczone po nalotach bombowych, większość ludności ewakuowana wcześniej do Magdeburga i Dessau. Stacjonował tutaj tylko oddział piechoty Franza i oddział Volksturmu, składający się ze starych mężczyzn i bardzo młodych chłopców. Gdy Amerykanie zbliżali się od strony Krefeld i Mönchengladbach, Niemcom udało się jeszcze 3 marca wysadzić most na Renie. W tym dniu uciekły też władze miasta, na czele z nazistowskim burmistrzem Linde i członkami straży pożarnej, zabierając z sobą ważne dokumenty. W poprzedzającą noc przez miasto przeciągały w rozsypce oddziały Wehrmachtu pozostawiając po drodze sprawny sprzęt, usiłując dotrzeć do mostów prowadzących na drugą stronę Renu. W dzień ten obraz ucieczki wojska i bezsily jego komendantów stał się jeszcze bardziej widoczny, tym bardziej że razem z wojskiem na drugi brzeg usiłowała się dostać również ludność cywilna. Członkowie Volksturmu dołączyli do grup żołnierzy Wehrmachtu i również opuścili miasto.

4 marca, w deszczową niedzielę 1945 roku, o godzinie 7.30, do Moers wkroczyły pierwsze czołgi Amerykańskiej 84 Dywizji Piechoty. Posuwały się bardzo powoli, osłaniając z prawa i lewa idącą z nimi piechotę. W tym rejonie nie padł już żaden strzał. Jednocześnie do miasta weszły następne oddziały, zawsze poprzedzane dwoma pancernymi samochodami zwiadowczymi i tylko jeszcze we wschodniej stronie doszło do krótkiej strzelaniny. Pozostała w Moers ludność cywilna wywiesiła białe flagi. Wielu z żołnierzy Wehrmachtu, którzy ostatnie miesiące stacjo-

nowali w mieście, pochodziło, tak jak Franz, ze Śląska lub Pomorza. I to właśnie oni, po wspólnym porozumieniu, postanowili poprzedniego dnia zignorować rozkaz przeprawy na drugi brzeg Renu i ukryci w ruinach budynków oczekiwali Amerykanów. W tę niedzielę dla nich wojna się skończyła. Gdy w poniedziałek, 5 marca, przy przeczesywaniu miasta żołnierze alianccy dotarli do miejsca, w którym się ukrywali, wyszli z podniesionymi rękami oddając się dobrowolnie w niewolę Amerykanom.

5 marca piechota amerykańska zdobywa Rheinberg i tam właśnie powstaje jeden z największych tymczasowych obozów dla jeńców wojennych, zapamiętany jako najcięższy, z najwyższą kwotą umieralności. Tam też trafia Franz ze swoimi współtowarzyszami.

Obozy te tworzone wzdłuż zdobytego już zachodniego brzegu Renu. Potocznie nazywano je Rheinwiesenlager (obóz na łące nad Renem) lub Goldene Maile. Ucieczka z nich na drugi brzeg nie była możliwa, ponieważ wszystkie mosty w tym rejonie były zniszczone. Wytyczony teren, nadreńskie podmokłe łąki, otaczano drutem kolczastym, w jednym rogu budowano latrynę, na zewnątrz ustawiano strażę i obóz był gotowy do przyjęcia jeńców. Zwożono ich ze zdobywanych pobliskich miejscowości, żołnierzy razem z cywilami. Pierwsze dni nie dostawali nic do jedzenia i picia, chociaż magazyny wojskowe Wehrmachtu, które przejęli alianci, były dobrze zaopatrzone. Żołnierze niemieccy do 3 marca fasowali swoje żelazne porcje na dwa dni, w tym 200g sucharów, konserwę mięsną, żupę w proszku i zmieloną kawę. Gdy szli do niewoli, w plecakach nie było nawet tej części, którą nazywano skróconą żelazną porcją, spożywaną tylko z rozkazu w sytuacjach frontowych, gdy kuchnia nawet w nocy nie była w stanie dostarczyć jedzenia. Te dni wspominał później Franz najgorzej. Z głodu, tak jak inni, jadł trawę, męczyło go pragnienie, chociaż tylko 200 m dalej płynęła rzeka, do której nie można było się dostać. Spali na gołej ziemi, rękami wygrzebywali dziury, w których usiłovali się chociaż trochę ochronić przed zimnem. Często jednak w dzień przez obóz przejeżdżała koparka lub pojazd na gąsienicach i te prymi-



Rys. Wojtek Łuka

tywne schronienia zasypywano, nierzadko razem z ludźmi. Strażnicy strzelali bez ostrzeżenia przy każdym podejrzany ruchu, a czasami dla zabawy, poprzez druty, ślepo w tłum. Jeńców nie rejestrowano imiennie, notowano jedynie liczbę przybyłych w tym dniu do obozu.

Po kilku dniach wielu z nich, także Franza, załadowano na samochody ciężarowe i wywieziono do obozu na północy Francji. To nie była przyjemna podróż dla wycieńczonych ludzi. Kawalerski styl jazdy amerykańskich kierowców sprawiał, że nie wszyscy dojeżdżali żywi na miejsce. Franzowi się udało i 15 marca 1945 roku wypełnił oficjalnie swoją kartę meldunkową jako jeńiec wojenny. Kartę tę otrzymali pocztą rodzice w Moszczenicy. Nadzieja na lepsze warunki w nowym miejscu okazała się płonna. Tam też była tylko łąka otoczona drutem kolczastym i nic do jedzenia. Później wspominał, że gdy po trzech tygodniach opuścił obóz, na łące nie było ani jednego źdźbła trawy.

Na mocy porozumienia państw alianckich tysiące jeńców trafiło od 22 lutego 1945 do obozów we Francji, przede wszystkim ci z niewoli amerykańskiej i angielskiej. Francja potrzebowała ludzi do odbudowy kraju po zniszczeniach wojennych, a tych, których sama wzięła do niewoli, było za mało. Zgłosiła zapotrzebowanie na 1,7 miliona osób, do października 1945 we francuskich obozach

przebywało już 1 065 000. W pierwszych miesiącach panowały w nich warunki podobne do tych w Niemczech. Też były to łąki i pola ogrodzone drutem kolczastym, bez możliwości spania pod dachem, z niewystarczającym zaopatrzeniem w żywność. Dopiero pod naciskiem rządu amerykańskiego sytuacja w obozach uległa poprawie.

Na początku kwietnia 1945 roku w obozie pojawili się oficerowie polscy werbujący do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 5 kwietnia Franz zgłasza się u polskich oficerów i wyraża chęć wstąpienia do polskiego wojska, 6 kwietnia zostaje wstępnie przesłuchany i zarejestrowany przez porucznika Zygmunta Woytycha. Na kwestionariuszach do przesłuchiwania jeńców – Polaków, jedynym w języku polskim, drugim w języku angielskim,

wraca do swojego pierwotnego imienia – Franciszek. Nie znaleziono względem niego żadnych przeciwwskazań i zostaje umieszczony na liście do wyjazdu do Anglii. Jest jednym spośród 89 300 jeńców Wehrmachtu, którzy stanowili największą część uzupełnień polskiej armii na Zachodzie.

Już następnego dnia, wraz z innymi ochotnikami, znalazł się na statku płynącym do Edynburga. Jeszcze w zniszczonym, brudnym do granic możliwości niemieckim mundurze, niespokojny o przyszłość, coraz dalej od rodzimej Moszczenicy i narzeczonej Marii, ale z nadzieją na rychły koniec wojny i powrót do domu.

9 kwietnia 1945 statek przybił do portu w Szkocji, Franciszka skierowano do Obozu Rozdzielczego w Polkemmet, gdzie przebywał do 16 kwietnia. Obóz znajdował się na terenie wiejskiej posiadłości arystokratycznej rodziny Baillie, w budynkach urzędowało dowództwo, mieszkali żołnierze, urządzono szpital. Ostatni potomek z rodziny, sir Adrian Baillie, zmarł w 1947 roku i został pochowany w mauzoleum w parku. Od 1981 roku ogromny park o powierzchni 169 hektarów został oddany do użytku publicznego.

W Polkemmet Franciszka poddano szczegółowym przesłuchaniom i weryfikacji. Ta wypadła pozytywnie – ojciec powstaniec, ukończenie polskiej szkoły, znajomość języka polskiego, słaba znajomość, i tylko w mowie, języka niemieckiego jak również najniższy stopień wojskowy – zdecydowały o pozytywnej ocenie. 11 kwietnia zostaje zarejestrowany pod numerem 89 417 i uzyskuje stopień starszego szeregowca. 17 kwietnia rozkazem Nr. 90/45 pułkownika Golachowskiego, szefa Komendy Uzupełnień Nr. 1, zostaje „Przydzielony pod każ-

dym względem do 16. Samodz. Bryg. Panc.” W tym samym dniu – a jest wtorek – zgłosił się w 3 Pułku Pancernym, gdzie włączono go do 1. szwadronu. Stamtąd, rozkazem z 28 kwietnia jest „Przeniesiony pod każdym względem do 16. Kompanii Zaopatrywania 16. Samodzielnej Brygady Pancernej”, w której zgłosił się następnego dnia i został ujęty w stan ewidencyjny. 10 czerwca, wraz z innymi „wehrmachtowcami” składa uroczystą przysięgę. W 16. Kompanii Zaopatrywania, stacjonującej wtedy w Kelso, pozostał do 11 lipca 1946 roku. W dniu przysięgi 16. Samodzielna Brygada Pancerna wchodziła w skład 1. Korpusu Pancerno-Motorowego w Szkocji, jego dowódcą od 23 maja 1945 roku był generał Stanisław Maczek.

Pełniący w tym czasie obowiązki Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie gen. dyw. Władysław Anders powierzył gen. Maczkowi zadanie przegrupowania do Niemiec jak największej ilości polskiego wojska. Wraz z dowództwem i żołnierzami miał powrócić ze Szkocji i objąć dowodzenie nad całością polskich sił okupacyjnych w Niemczech. Żołnierze byli szkoleni pod tym właśnie kątem, także Franciszek. Plany te jednak nie doszły do skutku, generał wraz z żołnierzami pozostał w Szkocji.

Tymczasem w koszarach toczyło się normalne żołnierskie życie. Franciszek, ubrany już teraz w battledress i берет z orłem w koronie, nie musiał przechodzić podstawowego szkolenia, bo zaliczył je już w 1943 roku w Legnicy. Zamiast tego odbył kurs dla kierowców samochodowych, który trwał od 9 maja do 8 czerwca 1945. Zakończył się egzaminem z elektroniki samochodowej (30 pytań) i konserwacji pojazdów mechanicznych (10 pytań). Py-

tania te otrzymał jeszcze przed rozpoczęciem kursu wpięte do zeszytu przeznaczanego na notatki z lekcji. Zapisy prowadził bardzo starannie, najczęściej pisał najpierw ołówkiem, a po lekcjach poprawiał piórem. Notatki uzupełnione są dokładnymi rysunkami z mechaniki pojazdu. Po zdaniu egzaminu, jak później wspominał, jeździł wojskowym jeepem, przewoził oficerów lub meldunki pomiędzy koszarami. Często bywał w Glasgow i Edynburgu. Dla młodego człowieka z małej śląskiej wioski był to wielki świat. Na urloпах zwiedzał okolice, chodził z kolegami do miasteczka na potańcówki, relacje z miejscowymi ludźmi były znakomite. Niektórzy z jego kolegów poznali tam dziewczyny, poženili się i osiedli na stałe. Ale nie Franciszek. Tęsknił za domem, szczególnie za matką, z Marią nie widział się od wyjazdu z Legnicy, utrzymywali tylko korespondencję listowną. Pomimo zajęć, rozrywek, kolegów, poczucie obcości na szkockiej ziemi nie opuszczało go. Widać to wyraźnie w wierszach, które zapisywał na pu-



stych kartkach zeszytu z kursu samochodowego. Wszystkie mówią o tęsknocie za Ojczyzną, za bliskimi, nawet dziewczyny polskie w porównaniu z Angielkami jawią się mu jako istoty nieziemskiej wprost urody. I właśnie te dokładne szczegóły anatomiczne Angielek wyrzucała mu potem Maria przez wszystkie lata małżeństwa.

„Hej żołnierze, kto jest żwawy,
Marsz do miasta na zabawy;
Bo dziewczki ładne Pudrowane, i
Usta mają Malowane.
Są i panny jakich chcesz, że
Polaków lubią, to o tem wiesz.”

Wiersze te są na pewno ważnym dokumentem historycznym tamtych czasów, odzwierciedlają nastroje panujące wśród żołnierzy gen. Maczka. Z jednej strony niepewność jutra w opanowanej przez komunistów ojczyźnie, z drugiej ogromna chęć powrotu do domu, do rodziny. W jednym z nich pisze:

„A myśli nasze ciągle idą w te strony Rodzinne
Znaczkę pocztową na listy łzami kleimy, i
ślemy z tęsknoty do naszej kochanej krainy”
(pisownia oryg.)

Ten sam nastrój w wierszu „Na Obczyźnie”:

„My doczekamy, Bóg dopomoże,
Wiecznie nie będziem tu na obczyźnie.
Wrócimy do Polski naszej kochanej.
Bo umrzeć jest miło w swojej Ojczyźnie!” (pisownia oryg.)

Gdy w lipcu 1945 roku Wielka Brytania uznała Tymczasowy Rząd Narodowy w Polsce, a ten zażądał cofnięcia uznania rządu emigracyjnego, Polskie Siły Zbrojne przeszły pod dowództwo brytyjskie. Brytyjczycy z kolei postanowili w ciągu następnego roku je rozwiązać. Do Wielkiej Brytanii zaczęły przyjeżdżać polskie misje wojskowe, które agitowały wśród żołnierzy i kadry do powrotu do kraju. W marcu 1946 roku Brytyjczycy powołali Komitet do Spraw PSZ i zaczęli przygotowania do masowej repatriacji żołnierzy do Polski. Z 249 tys. żołnierzy PSZ do Polski wróciło 105 tys. Pozostali wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii, Ameryki Południowej lub osiedli na stałe w Wielkiej Brytanii. Również gen. Maczek, wielki autorytet dla żołnierzy, kochany przez nich i szanowany, nazywany „Bacą”, nie wrócił do Polski i osiedlił się w Edynburgu. Z tego powodu Polska pozbawiła go w 1946 roku obywatelstwa.

Na skutek przygotowań do repatriacji zaczęto przegrupowania oddziałów. Do Wielkiej Brytanii zaczęły napływać jednostki stacjonujące do tej pory w Europie, 16. Kompanię Zaopatrzenia przeniesiono od połowy stycznia 1946 do Wick, w północnej Szkocji. Franciszek wykonywał dalej swoje obowiązki kierowcy jeepa, a gdy przyszła na niego kolej, zgłosił się na listę do powrotu do Polski. W wierszu „Na Obczyźnie” pisze:

„Hej! Żołnierze posłuchajcie, już czas!!!
do Ojczyzny swej powracajcie.
Żegnam Was, z tego brzegu
bo Wy już jesteście na Okręcie,
a my jeszcze w szeregu.”

11 lipca 1946 roku, rozkazem dowódcy kompanii rotmistrza Wyganowskiego, został przeniesiony do obozu repatriacyjnego nr 100 w Prestonfield, 15 lipca 1946 zwolniony z Polskich Sił Zbrojnych poza krajem. Odchodząc z jednostki otrzymał gratyfikację wojenną i odprawę demobilizacyjną w wysokości 48 funtów. Oczekując na transport do Polski, ostatnie dni w Szkocji spędził ponownie w Polkemmet, w 94th Polish Repatriation Camp. Odpłynął w niedzielę 4 sierpnia 1946 roku, prawdopodobnie z Leith, statkiem „Clan Lamont”, na pokładzie którego 1604 polskich repatriantów wracało do kraju. W artykule prasowym z 5 sierpnia można było przeczytać, że pasażerów statku żegnały tłumy ludzi, niedzielni spacerowicze i przyjaciele odpływających do kraju żołnierzy.

Franciszek po powrocie do kraju zamieszkał u rodziców w Moszczenicy, ale przez następne 5 miesięcy bardzo często odwiedzał Marię. W styczniu w 1947 wzięli ślub, a w lutym następnego roku urodziła im się pierwsza córka. Potem przyszło na świat jeszcze troje dzieci, dwie kolejne córki i długo wyczekiwany syn. Zamieszkali w Kostuchnie, w domu rodziców Marii. Franciszek podjął pracę w kopalni Boże Dary i pracował na dole do emerytury. Zmarł w wieku 75 lat w 1992 roku, jego żona Maria w 2007. W domu po rodzicach zamieszkał syn z rodziną i to on właśnie odnalazł szkocki zeszyt, który skłonił nas, dzieci, do pójścia po śladach ojca.

Odtworzenie po tylu latach drogi młodego Ślązaka z Moszczenicy, małej wioski graniczącej z Jastrzębiem Zdrojem, od momentu wyjazdu w niemieckim mundurze na wojnę i powrotu z tej wojny w mundurze polskim, wymagało wielomiesięcznej, wręcz detektywistycznej pracy. Stało się to możliwe dzięki nawiązaniu kontaktu z brytyjskim Ministerstwem Obrony, przy którym działała polska sekcja do spraw żołnierzy służących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie (APC Polish Enquiries, Ministry of Defence). Dokumenty te zawierają daty i nazwy jednostek, w których żołnierz służył po wcieleniu go do polskiego wojska, nie zawierają natomiast żadnych nazw miejscowości, gdzie stacjonowały. Na podstawie otrzymanych z Anglii dokumentów, w ustaleniu szkockich nazw miejscowości dopomógł Robert Ostrycharz, historyk od lat zajmujący się tematyką poloników, syn polsko-szkockiego małżeństwa, urodzony w Szkocji i tam zamieszkały. Natomiast do odtworzenia okresu służby w Wehrmachcie posłużyły notatki w dokumentach angielskich, zapoznanie się z wojenną dokumentacją w archiwach miejskich Krefeld i Moers, jak również opracowania historyczne dokumentujące wydarzenia z końca wojny i wypowiedzi naocznych świadków. Zdjęcia pochodzą z prywatnych zbiorów rodzinnych oraz ze zbiorów osób, do których zwróciłam się drogą internetową o ich udostępnienie. Niemieckie archiwum w Berlinie (Deutsche Dienststelle WAST) przesłało tylko wiadomość o przejściu do niewoli i wstąpieniu do polskiego wojska.

W listopadzie otrzymałam jeszcze jedną przesyłkę z Anglii. Wysłana z Gloucester, z nadrukiem Ministry of Defence Medal Office, zawierała medal dla ojca za udział w wojnie i służbie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. 21 lat po jego śmierci. Powiedziałam mu o tym spacerując po łąkach nad Renem.

Krefeld, 22.12.2013

Najpierw pojawiły się oddziały francuskie, potem włoskie i brytyjskie. Jednostki francuskie obsadziły miasta górnośląskie w pierwszej dekadzie lutego 1920 roku. Nieco spóźnieni przybyli Włosi. Natomiast Brytyjczycy z przysłaniem wojska ociągali się, tłumacząc to niepewną sytuacją w Irlandii. Ponad dwa lata na Górnym Śląsku rządząli aliancy, którzy pilnowali plebiscytowego porządku.

Zatem Brytyjczycy pojawili się nad Odrą jako ostatni, na początku marca 1921 roku, dwa tygodnie przed plebiscytem wyznaczonym na 20 marca 1921 roku. Jednak cztery brytyjskie bataliony, złożone z niespełna 2 tysięcy żołnierzy, zaraz po plebiscytcie wycofano. Dzięki ich wyjazdowi możliwe były początkowe sukcesy trzeciego polskiego powstania. Dodajmy, że nie było w pierwszym brytyjskim rzucie żołnierzy z Irlandii, która zmierzała do niepodległości.

Po wybuchu powstania w maju 1921, Brytyjczycy pojawili się na Górnym Śląsku ponownie, tym razem na dłużej i w silniejszym składzie. Pod koniec maja i w czerwcu 1921 roku przysłali najpierw 6 batalionów, a we wrześniu dwa dodatkowe, w sumie niespełna 5 tysięcy żołnierzy, w tym szwadron huzarów i 4 czołgi. Na czele nowej ekspedycji stanął generał William Henecker, który założył siedzibę w Strzelcach Opolskich, a zamieszkał w pałacu w Turawie.

Jeśli wspomnimy bataliony brytyjskie, to dopowiedzmy, że były to tym razem głównie bataliony irlandzkie, które dowodził brytyjskie – z powodu toczącej się wtedy wojny w Irlandii – uznawało za niepewne. Dlatego wysyłano je tak chętnie do rozdzielania walczących na Górnym Śląsku.

Jeszcze w maju i czerwcu 1921 roku posłano pierwszy batalion Royal Irish Regiment, drugi batalion Leinster Regiment i drugi batalion Connaught Rangers, które wraz z trzema pozostałymi brytyjskimi batalionami starały się najpierw rozdzielić walczących ze sobą polskich i niemieckich powstańców, a potem ulokowały się w północnej części regionu.

Już po zakończeniu powstania, na początku września 1921 roku, Brytyjczy-



Godło pułkowe

Irlandczycy nad Odrą

cy przysłali dwa kolejne irlandzkie bataliony (pierwszy batalion Royal Munster Fusilliers i drugi batalion Royal Inniskilling Fusilliers), które ulokowały się w Opolu, Krapkowicach i w Tarnowskich Górach. Z ośmiu brytyjskich batalionów, które stacjonowały wtedy na Górnym Śląsku, aż pięć stanowiły bataliony irlandzkie.

Przeważnie miały one długie tradycje wojenne, nie tylko z niedawnej wojny światowej, ale i sięgające w czasy odleglejsze, w tym rozmaite misje kolonialne. Najczęściej pochodziły z Irlandii centralnej, katolickiej, ale nie wszystkie. Bo królewscy fizyliery (Royal Inniskilling Fusilliers) pochodzili z północnego, protestanckiego Ulsteru, a to znaczyło, że w procesie kształtowania się Irlandii opowiadali się za jego pozostaniem przy Wielkiej Brytanii, co istotnie nastąpiło.

Natomiast w tradycji wojennej drugiego batalionu Connaughts Rangers przechowały się wspomnienia zaciętych walk

podczas I wojny światowej, które przyniosły mu ogromne straty. To w tym oddziale narodziła się piosenka „Długa droga do Tipperary” (to miasteczko w południowej Irlandii), która zrobiła na wielkiej wojnie w kręgu anglosaskim niebywałą karierę. Ciekawe, czy żołnierze tego irlandzkiego batalionu śpiewali ją także w Bytomiu, Dąbrowce Wielkiej i w Szarleju, gdzie kwaterowali?

Bataliony irlandzkie stacjonowały ponadto głównie w północnej i zachodniej części Górnego Śląska: w Dobrodzieniu, Oleśnie, Opolu, Krapkowicach, Tarnowskich Górach i Tworogu. W tym okresie, od maja i czerwca, a zwłaszcza od września 1921 aż do wiosny 1922 roku, to właśnie Irlandczycy stanowili większość brytyjskiego kontyngentu górnośląskiego. Przebywali więc, wraz ze Szkotami ze słynnego batalionu Black Watch, najdłużej na naszej ziemi, chociaż słyszało się o nich mniej niż o żołnierzach ze Szkocji. Może i dlatego, że niektóre relacje myliły Irlandczyków ze Szkotami.

Z irlandzkimi żołnierzami dowódcy miewali problemy, bo zdarzało się, że fraternizowali się z polskimi powstańcami, zdarzały się przypadki dezercji. Z relacji z epoki wynika, że również oficerowie oddziałów irlandzkich porównywali sytuację na Górnym Śląsku do równie skomplikowanej sytuacji w Irlandii, a szczególnie w Irlandii Północnej, gdzie relacje irlandzko – brytyjskie i wewnętrzne irlandzkie były najbardziej powikłane.

W drugim tomie „Pamiętników powstańców śląskich”, wydanych w 1961 roku w Katowicach, znajdujemy wspomnienie byłego powstańca Wiktora Mrozka o tym, jak już w latach dwudziestych spotkał jednego z dezercerów irlandzkich w gmachu Sejmu Śląskiego w Katowicach. Jak się okazało, Irlandczyk został w Polsce, ożenił się w Sosnowcu i starał się o koncesję na handel domokrążny figurkami gipsowymi. Z relacji Mrozka wynika, że dezercerów z batalionów irlandzkich było więcej.

Niespełna roczna służba irlandzkich batalionów na Górnym Śląsku dobiegła do końca wiosną 1922 roku, gdy Brytyjczycy dokonali już uznania niepodległości Irlandii. Dlatego w kwietniu 1922 roku wszystkie irlandzkie bataliony wycofano z Górnego Śląska i rozformowano. Na ich miejsce przybyły wtedy rdzennie angielskie bataliony.

Zastanawiające, że ponad dwuletnia obecność francuskich, brytyjskich i włoskich żołnierzy pozostawiła tak niewiele śladów na Górnym Śląsku. Niewiele pozostało też śladów po Irlandczykach. Nieliczne wzmianki wspomnieniowe, nieliczne fotografie. Może trzeba poszukać informacji na temat, bo zapewne niektórzy z brytyjskich (irlandzkich) oficerów i żołnierzy pozostawili wspomnieniowe zapiski. Byłoby ciekawie przeczytać, jak żołnierze irlandzcy wspominali i oceniali tamte wypadki na Górnym Śląsku.

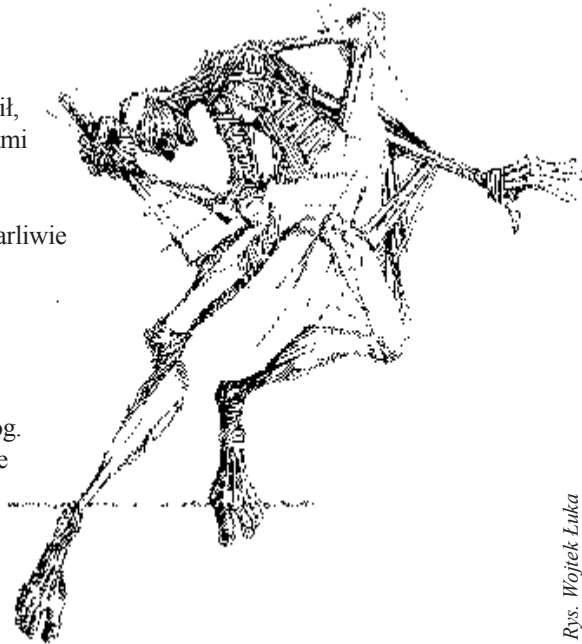


Connaught Rangers

SABINA WAWERLA-DŁUGOSZ

MARIAN I MOC

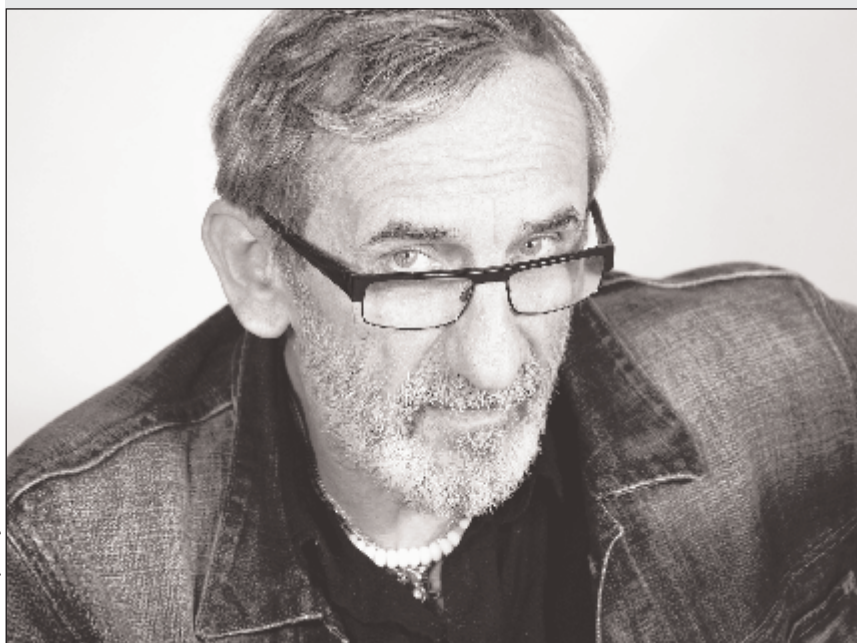
Słońce wystrzeliło z procy dnia. Duszno, ospale, leniwie
Odpowiedziały członki na takie zakusy, zaloty.
Patrzę na Mariana jak powłóczy nogami dzielnie przyjmując
na siebie kostkę brukową, jak balansuje próbując utrzymać
poważnie zachwianą wątrobę, w jako takim ładzie.
Utrzymać w ogóle.
Wieloletni kryzys i zmiany płynów ustrojowych, przyoblekły
Go w znaczny już grymas, Ręce rozdarte pomiędzy abolicją
A drzeniem nie dają ciału najmniejszej pewności.
Proceder zaprzestania potrzeb uczynił z Mariana więźnia
Nieprzewidzianych następstw, ofiarę bezwarunkowego układu sił,
Gdzie: Oni, to dla niego wszyscy i ja, i ty, schowani pod kapturami
Mobilnie dobrych zasad.
Jedyne, w co Marian wierzy, to naturalne składniki i destylacja.
Czysta przyjemność czerpana u źródła, więc modli się Marian żarliwie
Niekiedy przez tydzień bez przerwy i nieraz miewał olśnienia.
Teraz się boi. Wychodzi przed dom i obserwuje.
Prawie wszyscy go znają, więc nic nie zmienia.
Dzisiaj Marian nie był sam, nie dał rady, oparty na ramieniu
Współtowarzysza, dzielili powszedni chleb-wodę życia.
Moc była z nimi. Pokonali pół rynku, dwie ławki i zacieniony róg.
To dobry wynik, dystansujący przeciwników o jakieś kilkanaście
Procent wzwyż i choć trudno uznać to za fart, udało się, znów
Wykręcili, co mogli z dnia.
Jutro stężeje krew. Jutro mięsień zatamuje ruch.
Jutro będzie znów. Jeśli Marian da.



Rys. Wojtek Łutka

WYCIĄGNIJ MNIE Z GŁOWY

Wyciągnij mnie z głowy – mówi trzyletni Ksawery rozłożony na
kuchennej posadzce, przeglądając się w szybce piekarnika.
To wystarczy by doszło do dezintegracji istoty schematu i wywrócenia
Do góry nogami kilku zapijaczonych lat, co oznacza, że nie wszystko
Było fikcją i spokojnie można przystąpić do rozwinięcia uspiętej akcji.
Patrzą na mnie obumarłe kadry i wywołują niekończące się flesze. Aż ciepło
Od takiego przyspieszenia, głowa wpadła w szkwiał i śnieg oblepił ekran.
To jest możliwe i właśnie teraz oglądalność maksymalnie wzrosła, teraz, kiedy
Nie widać już nic. Nie pytaj jak to się dzieje, to jest i już, piękna możliwość jak
Pierwsza ujrzana zorza, zagarnia cię, wchłania, je po kawałku, mlasku mlask!
Ten sfatygowany efekt motyla dotarł w końcu zza siedmiu mórz i trzech lat.
Nie mogło być inaczej, już wiem, człowiek składa się ze słów i włosów łonowych,
Gruczołów zachwyty i zniewolenia, z wszystkiego, czego by chciał i wszystkiego
Czego nie ma. Kość z Odysei nie była mitem, dotarła aż tutaj bez udziału Kubricka
Otworzyła się częstując szpikiem, jakbyś przez miliony lat nie mógł jeść. Smacznego.
Ostatnia, pierwsza wieczerza bez niestrawności i wzdęć, spożyta do syta, tańczy
W umyśle jak spóźniony gość.
Nie wyciągaj mnie z głowy, chcę podróżować, patrzeć, wdychać, smakować dopiero, co odkryty łąd.



Teatr bez makijażu

– W tym roku minie 25 lat od transformacji ustrojowej, to ćwierćwiecze w warunkach demokratycznej wolności słowa ale także bezlitośnie obowiązujących praw wolnego rynku. W jakiej kondycji postrzega pan teatr Anno Domini 2014?

– Teatr ma teraz do spełnienia potężną misję. Pytanie – przeciwko czemu lub o co ma walczyć? – zdaje się być zużyte. Przed 1989 r. wszystko, każde przemyczone słowo, które testowało ówczesną władzę było witane z uznaniem, poparciem i zrozumieniem. W tamtych czasach teatr przekraczał ramy sztuki, wywołując często brzemienne w skutkach wydarzenia. Pojawiało się wówczas mnóstwo znakomych przedstawień, znakomych także pod względem artystycznym, wystarczy wspomnieć „Dziady” Dejmowski czy „Dziady” Konrada Swinarskiego, choć dziś już mało kto wspomina ich niebywały walor artystyczny. Czasy walki o polską podmiotowość mamy za sobą (może pozornie). Myślę jednak, że zachłyśnięcie się

europiejskością, wprężenie, często bezkrytyczne, w mentalność i kulturę zachodnią, doprowadziło do wielu niepokojących efektów i sprawiło, że żyjemy w czasach wyjątkowego relatywizmu i degrengolady wartości. Teatr nie może obojętnie się temu przyglądać. Zapewniając widzom godzinę, dwie oderwania od niezbyt miłej rzeczywistości, musi jednak gwarantować, że to jest ucieczka do czegoś wartościowego, nawet jeśli ma tylko bawić, musi to robić w sposób najdoskonalszy, wysoce estetyczny, wyrafinowany... Właśnie teraz teatr powinien występować w obronie wartości ludzkich, humanistycznych.

– Powinien, ale czy na pewno to robi?

– Zauważam niebezpieczną tendencję w teatrze – odwracania się od wartości. Oczywiście ta demoniczna skłonność nie wszystkimi zawładnęła, ale sam fakt, że pojawiają się takie przypadki jest już niepokojący. Wszelka powierzchowność czy chęć tworzenia pewnego typu fototapety powoduje, że teatr powoli traci swoją funkcję wywo-

ływania refleksji, wzbudzania wysublimowanych uczuć. Zaczyna bazować na bardzo płytkich i miłych emocjach. I takie zabiegi mnie boją. Czasami zadaję sobie pytanie – czy ja przypadkiem nie jestem produktem innego postrzegania teatru, teatru, który siłą rzeczy musi odejść...

– Jest pan profesjonalistą, lata doświadczeń w tym zawodzie nie powinny skłaniać pana do takich pytań.

– Bagaż zawodowych doświadczeń jest tu raczej obciążeniem. Moje wyobrażenie o teatrze zrodziło się w okresie młodości, a to przecież dla każdego czas mityczny. Wszystkie wartości, które wówczas wyznawaliśmy bazują na owej magii młodzieńczego odczuwania i postrzegania świata. Myślę jednak, że bez względu na kontekst historyczny, różniące nas doświadczenia, rodzaje wrażliwości, odmienne przecież w każdym pokoleniu, niezależnie także od poszukiwań nowych form (wszak teatr musi to robić zawsze) nie może on zatracić swojej najważniejszej powinności. Podstawowym pierwiastkiem, decydującym o rozwoju cywilizacji jest... dobro! I właśnie dobro powinno być bardzo wyraźnie wyakcentowane i egzemplifikowane w teatrze. Można je wyeksponować nawet poprzez ujawnianie jego przeciwieństwa. Jeśli jednak utknijemy wyłącznie w kręgu zła, powierzchowności, niezrozumienia, zabawy formą, zapomniemy, że teatr musi pozostać przede wszystkim ostoją humanizmu. Jego zadaniem, podobnie jak literatury, jest wzbogacać. Jeśli sięgam po moje ulubione powieści, pierwsze z brzegu, na przykład „Czarodziejską górę” Manna, „Sto lat samotności” Márqueza czy „Imię róży” Eco – wiem po co czytamy te książki, co mnie w nich wzrusza... ale po lekturze „Malowanego ptaka” Kosińskiego zadaję sobie pytanie – po co takie powieści powstają? Podobnie jest z teatrem. Czemu służą przedstawienia, które mówią o niczym a na dodatek są obrzydliwe, złe? Manifestują zasadę, że jedyne co warto jest w życiu robić, to burzyć, nie uznając żadnych wartości. Takiego teatru nie lubię.

– Większość publiczności także, nerwowe wręcz poszukiwanie nowych, oryginalnych form prowadzi często do absurdu, powoduje, że teatr zaczyna się izolować.

– To prawda, takimi poczynaniami trochę się zaskorupia. Niestety bywały edycje „Interpretacji”, w których pojawiały się nic nie znaczące przedstawienia. Patrząc na nie trudno było oprzeć się wrażeniu, że ludzie teatru zaczynają zjadać własny ogon. Zbiór obrazków, które nic nie łączy, reżyser tłumaczył chęcią sprzedania dna

najdeńszego swojej osobowości. Z tego jednak nadal nic nie wynika. Rozumiem intencję, ale wciąż nie jestem w stanie zgłębić tej niezwyklej natury. Nazwijmy więc takie przedsięwzięcie po imieniu, to jest zwyczajny humbug. Na szczęście fala młodych reżyserów, którzy wnieśli nowy powiew przyniosła także wybitne przedstawienia. Jednym z nich jest na pewno „Krum” Levina, wyreżyserowany przez Krzysztofa Warlikowskiego. To znakomity spektakl.

– **Trochę mnie pan podniósł na duchu, aktor od ponad 40 lat nie schodzący ze sceny, doktor, wykładowca a przyznaje, że czegoś nie jest w stanie pojąć... Kiedy patrzę na obraz, w którym niczego nie dostrzegam, kiedy wychodzę ze spektaklu i czuję pustkę, mam obawy, czy mogę o tym głośno powiedzieć.**

– Język teatru pozostaje niezmiennie ten sam. Niestety często się zdarza, że przekaz ze sceny traci klarowność. Doświadczenie, zawodowość nie ma tu nic do rzeczy. Teatr ma poruszać. I nie jest ważne tworzywo. Można grać żywy, współczesny teatr, poruszający żyjących „tu i teraz” tekstem Moliera czy Szekspira. Znacomie robią to Rosjanie, którzy potrafią tak zagrać, że nie jest to ramota i zabytek. Z wszelkimi eksperymentami, które są tylko manipulacją bez uzasadnienia i żadnego przesłania teatru sobie poradzi, ponieważ on zawsze wygra. Albo da komuś mocno po nosie, albo przestanie przemawiać i wówczas widzowie zaczynają się buntować. Swoboda wypowiedzi nie może usprawiedliwiać wszystkiego.

– **Istnieje w teatrze granica wolności?**

– Niewątpliwie tak. Teatr nie jest wyłącznie dziedziną sztuki, jest także zjawiskiem społecznym, w pewnych okresach nawet bardzo masowym. Cięży na nim ogromna odpowiedzialność. Zawsze „coś” musi być dla „czegoś”. Można pisać wiersze do szuflady, można komponować muzykę do szuflady, ale teatru tak robić się nie da, ponieważ zawsze tworzy się go dla ludzi. I to w końcu widzowie decydują, jakiego teatru oczekują. Oczywiście umiejętne podsuwanie różnorodnych propozycji buduje ich apetyt, ale spektakularne formy sprzeciwu są sygnałem ostatecznym i nie można ich lekceważyć. Nie obawiamy się jednak, teatr przetrwa wszystko. Boję się tylko, że owe hochsztaplerskie zabawy spowodują daleko idące spustoszenie i młode pokolenie aktorów może już nie wiedzieć, co to znaczy grać tak, aby widzowie zapominali o Bożym świecie i chcieli, aby ten spektakl nigdy się nie skończył.



Za rolę Kaliguli Jerzy Glybina otrzymał Złotą Maskę (Albert Camus „Kaligula” reż. Jerzy Zegalski, 1988).

– **Wiele takich spektakli pan pamięta?**

– Z pewnością kilka. Pamiętam „Wesela Figara” de Beaumarchais’go, ramota. Wystawiał go Teatr Satyry z Moskwy. Znacomita obsada. Mironow w roli Figara, Suchariowska w roli Marceliny. Kiedy Figaro zaczął mówić (zwykle pomijany przez reżyserów, jako nie pasujący do komedii) monolog o Hiszpanii, sprawił, że spektakl nagle zaczął żyć zupełnie nowym obrazem, przeobraził się w wielki teatr polityczny. Niezwykle przedstawienie, wspaniali aktorzy, niezapomniane przeżycie. Po co jednak szukać aż tak daleko, tu w Teatrze Śląskim nieraz przeżyłem podobne uczucie. Ogromnie poruszył mnie spektakl Villqista „Beztlencowcy”, „Trzy po trzy” Rudka Zioly wg Aleksandra Fredry, „Krzęsla” Ionesco i zapewniam, że nie tylko dlatego, że grała w nich moja żona (Bogumiła Murzyńska otrzymała za tę rolę „Złotą Maskę”, 1996, *przyp. red.*), to było niesamowite przedstawienie.

– **Zagłada pan czasem na sąsiednie sceny?**

– To oczywiście, jeśli tylko czas na to pozwala. Z ogromnym wzruszeniem wspominam „Ślady” Szajny w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, z przyjemnością obejrzałem ostatnio „Korzeńca” w Teatrze Zagłębia i mimo że nie jestem zwolennikiem szpikowania przedstawiień multimedialnymi ozdobnikami, w tym spektaklu nie przeszkadzały mi, były zasadne i odpowiednio dozowane...

– **Powiedział pan, że teatr powinien być piewą dobra, dodajmy może jeszcze – świątynią piękna?**

– Niewątpliwie tak, ale pamiętajmy, scena dysponuje tak różnorodną paletą środków, że może także przewrotnie pięć-

Fot. z prywatnych zbiorów J. Glybina

Jerzy Glybina, aktor Teatru Śląskiego od 1975 r. (z przerwą w latach 1977–1979, Teatr Polski w Bielsku-Białej). Urodził się we Lwowie, gdzie spędził wczesną młodość i lata szkolne, był tam także aktorem Polskiego Teatru Ludowego. W 1975 r. ukończył PWST im. Ludwika Solskiego w Krakowie (doktorat 2003). Zagrał około 90 ról, z których za najważniejsze uważa: Oliwera w *Jak Wam się podoba* i Demetriusza w *Śnie nocny letniej Szekspira*, Andrzeja Kosceckiego w *Popiele i diamentie* J. Andrzejewskiego, Alcesta w *Mizantropie* Moliera, Venticellego w *Amadeuszu* Shaffera, Klaudiusza w *Hamlecie*, Zamachowce w *Królu IV S. Grochowiaka*, Judasza w *Żegnaj, Judaszu* I. Iredyńskiego, Kaligulę w *Caliguli* A. Camusa (Złota Maska 1989), *Sexualne zło* wg K. Weilla, Iwana w *Braciach Karamazow* F. Dostojewskiego (nagroda Leny Starke Śląskiego oddziału ZASP), dr. Gruna w *Wariacie i zakonnicy* Witkacego, Dyrektora Filharmonii w *Rzeźni* Sławomira Mrożka, Perfekcjonistę w *Glennie* Younga, Pozza w *Czekając na Godota* S. Becketta, Reżysera w *Wyzwoleniu* S. Wyspiańskiego, Ojca w *Przemianie* F. Kafki, Jakuba w *Play – Schulz, sanatorium pod Klepsydrą* B. Schulza (Złota Maska 2004, nagroda Leny Starke), George’a w przedstawieniu *Tajemniczy Mr. Love* K. Leecha, George’a w *Kto się boi Virginii Woolf?* E. Albee’go (Złota Maska 2004), Regimentarza w *Śnie srebrnym* Salomei J. Słowackiego, Pijaka w *Domu przeznaczonym do wyburzenia* J. Rykały, Jana w *Push up 1-3. Ostatnie piętro* R. Schimmelpfenniga, Paneloux w *Dżumie* A. Camusa, Stańczyka w *Weselu* S. Wyspiańskiego, Szambelana w *Iwonie, Księżniczce Burgunda* W. Gombrowicza (wyróżnienie na Festiwalu Gombrowiczowskim w Radomiu 2010), Poloniusza w *Hamlecie* W. Szekspira. Współpracował z wybitnymi polskimi reżyserami, zagrał również kilkanaście ról i epizodów filmowych. Wykładowca Akademii Muzycznej w Katowicach i Studium Aktorskiego przy Teatrze Śląskim. Ścisłe współpracuje z Uniwersytetem Śląskim i Uniwersytetem Ekonomicznym w Katowicach.

nując brzydotę i tandetę owo piękno eksponować. W tym momencie nie sposób jednak nie odwołać się do współczesnych kryteriów piękna. Tu nastąpiła wręcz eksplozja przewartościowania. Kiedyś twórczość Dürrenmatta, dzieła quattrocento, muzyka Wagnera to była sztuka przez duże „S”, teatr także był i nadal powinien być tej dużej „S” świątynią. Tymczasem coraz silniej postępuje rozchwianie wartości, nowe wzorce estetyczne próbują przyćmić a wręcz wyeliminować dzieła niepodważalnej wielkości. Stawianie obok El Greca Andy Warhola, czy eksponowanie każdego obrazu tasytów (chwała Jacksonowi Pollockowi) w najlepszych galeriach świata tylko dlatego, że jest nowy – budzi sprzeciw, zmusza do głębokiej refleksji, rodzi pytanie – jaki jest świat, w którym żyjemy? Takie przewartościowywanie się wielu estetyk może prowadzić do ślepego zaułka. Teatr także nie



Jerzy Głybin w roli Perfekcjonisty w „Glennie” Younga (reż. Tadeusza Bradeckiego, 2001).

– **Jak w tej skolowanej rzeczywistości odnajduje się młódziez, naszpikowana dosyć chaotyczną wiedzą, jak reaguje na spektakle teatralne? Tradycja przedpołudniowych przedstawień nie zanikła.**

– Nie przeczę, że trudno mówić o głębokich przeżyciach artystycznych o dziesiątej rano. O tej porze nie powinno się grać, niemniej jednak pamiętam siebie, kiedy jako bardzo młody człowiek byłem prowadzany do teatru na poranne spektakle. Aktorzy pocili się i robili co mogli, aby mnie zająć i muszę przyznać, że nie zawsze dawałem się wciągnąć w to, co działo się na scenie. A jednak to „coś” do mnie przeniknęło i zafascynowało, nie mam wątpliwości, że magią teatru zaraziłem się właśnie wtedy. Dlatego uważam, że te spektakle są niebawale potrzebne. Z uporem jednak powtórzę – to muszą być bardzo dobre, frapujące wydarzenia społeczne, mówiące o czymś. To ważne, aby młodych nie zniechęcić do teatru.

– **Wielu twórców „przebiera” klasykę we współczesny kostium, aby udowodnić nieprzemijalność pewnych zachowań, podobieństwo uczuć, konfliktów wewnętrznych... czy to nie nazbyt łopatologiczny zabieg?**

– Posłużę się przykładem filmowym, niezwykle ekranizacją szekspirowskiego „Tytusa Andronikusa” (reż. J. Taymor, 1999 r., *przyp. red.*), przejrzystym współczesnieniem, podkreślającym ponadczasowość tematu i sztuki. Problem nie leży w kostiumie, ale w jakości inscenizacji. Nie ma znaczenia w jakiej scenografii, czy w jakim stopniu wierności wobec tworzywa literackiego budowany jest spektakl, ponieważ najważniejsi w nim są ludzie, aktorzy i to, co mają do powiedzenia widzom. Słowo pozostaje ponad wszystkim.

– **Jest pan wykładowcą na Akademii Muzycznej w Katowicach i w Studium Aktorskim przy Teatrze Śląskim. Coraz częściej pojawiają się pytania, czy szkół wyższych kształcących przyszłych aktorów nie jest zbyt dużo?**

– Jest tyle szkół, ilu jest chętnych, to podstawowe prawo wolnego rynku. Do szkoły krakowskiej startuje tysiąc pięćset osób, a miejsc jest zaledwie dwadzieścia pięć. Wszystkim, którzy chcą uczyć się rzemiosła, chcą obcować ze sztuką, realizować swoje marzenia, trzeba dać szansę. Wielu z nich dopnie swego, ale są w pełni świadomi, że nie jest to łatwe zadanie. Nasi wychowankowie realizują się w różnych dziedzinach, jedni trafiają na sceny zawodowe, inni do telewizyjnych tasiemców a są i tacy, którzy otwierają własne małe teatry, co widać na przykładzie Teatru Żelaznego na stacji w Ligocie. Ten zawód

ciągłe ma swoją magię. Jeśli ją poczują, kiedy znajdują się na scenie – cóż bowiem osiemnastolatek może wcześniej wiedzieć o magii teatru – może będą z nich aktorzy. Gorzej z tymi, którzy oczekują wyłącznie sławy, splendoru i fortuny.

– **Brak zajęć w szkole z plastyki, muzyki, powierzchniowa znajomość literatury, bazowanie na streszczeniach itp. to nie napawa optymizmem.**

– Nie demonizowałbym tego zjawiska, choć niepokój jest zasadny. Zaletą młodości jest jednak przekora. Podstawowym zadaniem na zajęciach, które prowadzę jest nauczyć warsztatu. To byłoby jednak za mało, korzystam z okazji i, szczególnie na zajęciach w Studium Aktorskim, próbuję ocalić coś, co – z ogromną stratą dla wszystkich, nie tylko dla teatru – odchodzi w niebyt. To umiejętność mówienia wierszem, rozumienie metafory.

To niezwykle ważne nie tylko w kategoriach zawodu aktora. To zrozumiałe, że „Pana Tadeusza” nie czyta się tak, jak Joanny Chmielewskiej, ale język Mickiewicza jest potoczysty, wiersz napisany tak, jak się oddycha. Staram się przywrócić młodym ludziom Mickiewicza, Leśmiana, lirykę angielską (wspaniałego Jonha Donne’a), rosyjską. Poezja sublimuje, pozwala oderwać się od świata materialnego, w którym żyjemy... to przykre, że coraz mniej ludzi po nią sięga.

– **Może kiedyś znużą ich rachunki bankowe, wyniki na giełdzie...**

– ... kiedy spostrzegą jak jałowe jest życie upływające wyłącznie na gonitwie za podnoszeniem bytu ekonomicznego – wierzę, że wtedy na pewno powrócą do poezji, teatru, dobrej literatury, wzruszeń, głębokich emocji... Żyjemy w okresie przejściowym, w którym rządzi chaos i wyścig do dóbr materialnych. Przyjdzie jednak moment opamiętania, choć może trzeba będzie dotrzeć do jakiegoś dna, ale później można już tylko piąć się w górę.

– **Zbliża się Międzynarodowy Dzień Teatru, proszę więc przyjąć najlepsze życzenia: wypełnionej po brzegi widowni, długich kolejek do kas biletowych, wspaniałych wydarzeń teatralnych, spektakli, które pozwalają zapomnieć o Bożym świecie i dużo satysfakcji a także wszelkiej osobistej pomyślności.**

Fot. z prywatnych zbiorów J. Głybina

• Samuel Noah o migracji

W połowie minionego wieku Samuel Noah Eisenstadt, izraelski socjolog, założył, że na decyzję o migracji składają się trzy etapy. Pierwszy, to budowanie motywacji do migracji. Pojawia się poczucie braku bezpieczeństwa i nieodpowiedniości wynikających z warunków w jakich żyje potencjalny emigrant. Wówczas powstaje pytanie o świat, w którym te problemy można rozwiązać. Opuszczenie miejsca dotychczasowego pobytu jest rodzajem ryzyka i głębokiego lęku. Stąd decyzji o emigracji nie podejmuje się *ad hoc*, ale narasta ona wraz z pogłębiającym się uczuciem nieodpowiedniości. Od nowego miejsca pobytu oczekuje się poprawy warunków życia w szerokim tego słowa znaczeniu. Po wtóre, drugim etapem jest sama migracja. Motywowani chęcią opuszczenia kraju znajdują się w nowym środowisku społeczno-kulturowym. W tym momencie przybysze rezygnują z dotychczasowego zakorzenienia i uczą się na nowo życia w zmienionych warunkach społeczno-kulturowych. I po trzecie wreszcie, rozpoczyna się długofalowy proces włączania migrantów do społeczeństwa przyjmującego.

• Hindusi w Dolinie Krzemowej

W ostatnich dekadach doszło po raz kolejny do masowych migracji, a zjawisko wędrowek, emigracji i imigracji dotyczy obecnie takiej liczby krajów, jak nigdy przedtem. Charakterystyczną cechą współczesnych przemieszczeń jest fakt, iż, w przeciwieństwie do migracji przełomu XIX i XX wieku, nie wędrują wyłącznie ludzie o niskich kwalifikacjach, znajdujący zatrudnienie w przemyśle i tradycyjnych usługach. Dzisiaj coraz częściej spotykamy migrujących, którzy posiadają wysokie kwalifikacje i kompetencje. W kraju docelowym otrzymują pracę, gwarantującą wysoki prestiż społeczny i stosowne dochody. Znakoitym tutaj przykładem są hinduscy programiści zatrudniani w legendarnej Dolinie Krzemowej w USA. Rządziej do Indii trafiają specjaliści amerykańscy, choć ich obecność w państwie M.K. Gandhiego nie jest wcale marginalna.

• Bojaźń nielegalnych

Wśród światowej masy emigrantów odnotowujemy z jednej strony



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Dlaczego Polacy zaczęli migrować? (II)

tych, którzy opuszczają dotychczasowe miejsce swojego pobytu dobrowolnie. Jest to ich suwerenna oraz mniej lub bardziej racjonalna decyzja. Z drugiej strony Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców, podaje liczbę 20 milionów osób, skazanych na tułaczkę i banicję. Regiony, w których odsetek takich osób jest największy, to Azja (8,8 mln), Europa (4,8 mln), Afryka (4,1 mln), Ameryka Północna (1 mln), Ameryka Łacińska i Karaiby (0,8 mln) oraz kraje Oceanii (80 tys.). Godnym podkreślenia jest fakt, iż obok migracji legalnej występuje wciąż szeroki wachlarz migracji nielegalnych. Ich uczestnikom towarzyszy lęk i niepokój, a urzędnicy imigracyjni bywają wobec tej grupy nierzadko agresywni. Imigranci sta-

nowią bowiem masową, zazwyczaj tanią, siłę roboczą, która postrzegana jest jako bezwzględne zagrożenie dla miejscowego rynku pracy.

• Świat bez granic?

Długiej historii migracji towarzyszy pytanie o motywy podjęcia takiej decyzji. Odpowiedź jest wielowątkowa ponieważ wieloczynnikowa jest motywacja zachęcająca ludzi do wyjazdów. Współcześnie stracił na znaczeniu motyw zdobycia cudzego terytorium – podbój czy kolonizacja. W okresie powstawania społeczeństw nazywanych dzisiaj imigracyjnymi, takich jak Stany Zjednoczone, Kanada czy Australia, ten motyw był dominujący. Współcześnie jednak granice państwowe tracą na znaczeniu, a nawet ulegają politycznej atrofii. Zmieniają się zatem motywy wędrowek ludzi. Najczęściej przyczyny migracji mają podłoże ekonomiczne, rodzinne oraz te związane z konfliktami lokalnymi i światowymi czyli buntami, rewoltami i wojnami.

• Pożegnanie ojczyzny prywatnej?

Migracyjna rewolucja najnowszej daty zmienia współczesny świat nie tylko w skali globalnej, ale także w społecznościach lokalnych, które od zawsze były, obok rodziny, podstawowym elementem struktury społecznej. Dotyka to w szczególności regiony o niskim poziomie rozwoju cywilizacyjnego i wysokiej stopie bezrobocia. Migrują w takich przypadkach, przede wszystkim, ludzie młodzi poszukujący lepszych warunków własnej egzystencji. Osoby o wysokich kwalifikacjach i charakteryzujący się wysokim kapitałem społeczno-kulturowym. Tak wygląda również współczesna emigracja Polaków. Z Ojczyzną żegnają się ludzie młodzi, którzy na rodzimym rynku pracy nie znajdują pracy dającej im możliwość normalnego życia. Wprawdzie za granicą wykonują nierzadko pracę poniżej posiadanych kwalifikacji, ale lepiej płatną niż w RP. Jak zawsze w takich przypadkach prawdziwe jest twierdzenie, że *najpierw trzeba żyć, a dopiero później filozofować*.

Felieton powstał
we współpracy
z dr hab. Anną Śliz,
profesor

Uniwersytetu Opolskiego

Czerwona nitka Stachury

Edward Stachura
2 stycznia 1976 r. zanotował
w dzienniku: „W moim świecie
pięknie pracowałem
kilka dni.”

(podkreślenie M.B.)

W naszym świecie
Stachura też dość długo
przebywał, w różnych
jego stronach i przejawach.

W naszym, czyli tym,
od którego Stachura,
najpierw powoli,
a potem mocno
przyspieszając,
zacznie się,
ku tragicznemu
końcowi, oddalać.



Edward Stachura w nieodłącznym szaliku

Gdyby ktoś chciał przewędrować po śladach tego pisarza, który swoją „Całą jaskrawością” tyłu ludziom skutecznie zwracał głowę w dobrą stronę, to niechybnie trafi i na Górny Śląsk. Część śladów, poodciskanych w pamięci osób, z którymi, jak to on mówił, można się zabliznić, zatarta już bezpowrotnie, można nawet powiedzieć: zrównana z ziemią. Śp. Andrzej Pawłowski, którego na początku lat siedemdziesiątych poznałem na jakiejś kilkudniowej imprezie środowisk młodolite-rackich, to tylko jeden przykład. Andrzej, fanatyk koni, ambasador Stachury w Katowicach na Mariackiej, jego wypróbowany przyjaciel.

Kto może, niech żyje – mawiał Stachura.

Henryk Wańiek, czyli pełna talentów dzielnica Katowic, od 1980 r. usytuowana 25 kilometrów od Warszawy; stołeczni na razie mówią na nią Brwinów. Wańiek raz kiedyś wystartował do wspomnień o Stachurze, ale ruszył na hamulcu. Tekst w gazecie zaczął tak: „Ale jak tu wywołać tego ducha, który z upływem lat zmienia się coraz bardziej w zadrukowany papier? Ducha kogoś, kto dla

mnie duchem był jeszcze za życia. Nasza znajomość była intensywna i krótka. Odbyliśmy kilka żarliwych rozmów. Jego twórczość znamłem wyrywkowo.”

Stachurze zależało na zawarciu znajomości z Henrykiem Wańkiem, bo wciąż nie ustawał w wyszukaniu alchemików. „Na pewno znanie Henryka Wańkę. Chętnie bym go poznał” – pisał (ze złą końcówką fleksyjną sugerującą jakiegoś Iwana) w liście do swych śląskich znajomych. Wańiek w tamtych czasach jeszcze nie był tak aktywny pisarsko, rozgłos zyskiwał jako malarz surrealista, Stachura musiał na niego trafić, bo też go, tak jak Wańka, wciągała ezoteryka, filozofia i religia Dalekiego Wschodu, i wciąż czegoś z nadzieją szukał.

Zahaczając o Katowice Stachura nie mógł ominąć redakcji „Poglądów” i nie pogadać z Tadeuszem Kijonką, z którym znali się od dość dawna. Redakcja „Poglądów” mieściła się bodaj na siódmym piętrze gmachu prasowego na Młyńskiej 1. Po jednym z odwiedzin Stachura notuje: „Przepiękny wieczór na ul. Młyńskiej i na ulicach Katowic obspypywanych drobnym śniegiem.”

Feliks Netz ze Stachurą osobiście poznał się w Budapeszcie, w tamtejszym Ośrodku Kultury Polskiej. Wyszło właśnie wtedy węgierskie tłumaczenie „Siekierzady”, autor budził wśród Węgrów spore zainteresowanie, na kiermaszu sprzedawał prawie pięćdziesiąt egzemplarzy, tłumacz Istvan Kovacs serdecznie opiekował się Polakiem. Ale to już nie był ten promienny, niezniszczalny Sted. W poświęconym Stachurze „Epitafium”, wydrukowanym w katowickim „Wieczorze”, Feliks Netz przywołuje jeden z dwu węgierskich pobytów autora „Siekierzady”: „Na spotkaniu przeważali Węgrzy, studenci polonistyki. Znali jego utwory, to był ich autor! Chcieli dowiedzieć się odeń wiele rzeczy, pytali, ale on nie był gadatliwy, odpowiadał monosylabami. Za to zaśpiewał im kilka swoich piosenek. Był na tym spotkaniu, ale jakby go nie było. Po spotkaniu pogadałmy dłużej, na koniec powiedział: – Pozdrów Tadeka Kijonkę i do zobaczenia w Katowicach. Uśmiechnął się pięknie, przewiesił przez ramię gitarę i odszedł.”

Na mapie wędrówek Stachury przyłaski dobrej nadziei oznaczone były nie tylko na-

zwiskami pisarzy, malarzy czy wybitnych, choć niekiedy dla otoczenia uciążliwych, reprezentantów najtrudniejszej ze sztuk, sztuki życia po swojemu: dziwaków, nawiedzeńców, odmieńców, których chorzy na zwyrodnieniowy przerost normalności nazywają psycholami.

Ludzi z pozaartystycznych branż Stachura poznawał także przy okazji spotkań autorskich, za którymi nie przepadał. Za pieniędzmi zresztą też nie za bardzo, ale niekiedy bez dorobienia paru złotych budżet mu się nie domykał i wiało nędzą.

Wiele jego autorskich spotkań miało swe dalsze ciągi w prywatnych mieszkaniach. Zapraszającym pisarza był najczęściej znajomy, który pośredniczył w organizowaniu płatnego występu w klubie, szkole, bibliotece czy domu kultury, albo gospodarz spotkania, jeśli miał taką ochotę i warunki. Takich „swoich ludzi” miał Stachura w całej Polsce. M.in. w Bytomiu, w osobach Marii i Andrzeja Keyhów.

Ona – nauczycielka w szkole baletowej, on pracownik bytomskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej. Sami zauroczeni prozą Stachury i zaintrygowani autorem, a i znajomi od pewnego czasu naciskali Andrzeja: zaproścież wreszcie tego Stachurę i do nas.

Spotkanie zorganizowano pod koniec 1975 roku, w okolicach Barbórki. Po spotkaniu Keyhowie zaprosili Stachurę na nocleg do domu, bo miejsc w hotelu nie było.

Rozmowa przy smacznej kolacji, następny kieliszczyk, gitara, z którą Stachura się nie rozstawał... Ściany obszerne, przedwojennego mieszkania (zajmowanego w tamtych latach także przez dwoje artystów malarzy – matkę Andrzeja, Annę, i jej męża, Zygmunta Lisa) wypełnione książkami i obrazami różnych autorów.

Obrazy autorstwa Marii Keyhy są wykonywane techniką polegającą na wyszywaniu na podkładzie z aksamitu. Misterna robota, żadne tam szabloni wypełniane włóczkowymi krzyżykami. Te spod igły obrazy to dla pani Marii rodzaj wyszywanego pamiętnika utrwalającego nastroje, zdarzenia, marzenia, sny. Niekiedy gotowe już prace po pewnym czasie i z różnych przyczyn dostawały „doszywkę”. Tak było z czarodziejską łąką, darszoną przez autorkę szczególnym sentymentem.

Wisiała sobie ta łąka spokojnie, aż tu pani Maria spostrzeża, że tym od niedawna przez nią zacytywanym książkom Edwarda Stachury nie przeszkadza odłożenie ich na regał, dalej się w jej głowie czytają, nawet kiedy przymknąć oczy. I wtedy postanowiła dohaftować u dołu łąki sylwetkę mężczyzny w takiej, jak chadzał Stachura, kurtce dugłasówce, z szyją osłoniętą długim, białym szalikiem.

Stachura długo stał przed tą łąką, jakby chciał przypomnieć sobie nazwy wymyślonych przez Marię roślin porastających obraz, a potem cicho powiedział:

– Na jawie w każdym szaliku mam czerwoną nitkę.

Kiedy mi Maria Keyha o tych odwiedzinach Stachury z lat siedemdziesiątych i czerwonej nitce opowiada w 2013 roku, pierwsza myśl mej głowy, nasiąkniętej płynącym z niektórych mediów patriotycznym zatroskaniem, jest automatyczna: ta czerwona nitka na białym szaliku to przecież barwy narodowe. Ale dowiaduję się od pani Marii, że nitka była jednak w intencji prywatnej, po-



Andrzej Keyha

nadnarodowej: Stachura, który z szalikami nie rozstawał się nawet latem, do każdego swego prawdziwego szalika, bez względu na jego kolor, wszywa własnoręcznie kawałek takiej właśnie nitki, wyłącznie czerwonej, aby go strzegła przed złymi mocami. Musi koniecznie być czerwona, bo tylko taki kolor dawał nitce czarodziejską siłę.

Pani Maria oczywiście dodała czerwoną nitkę szalikowi na czarodziejskiej łące.

Szalik, ulubiony detal stroju Stachury. Tylko podczas srogoż zim opatał się szalem starannie, a jakby dla jakiejś równowagi, ale nieracjonalnej – której przejawów w jego biografii jest sporo – czapki często nie nakładał nawet w siarczysty mróz. W umiarkowanych porach roku nosił szalik trochę tak, jakby to był mocno rozluźniony krawat, choć o krawatach, a ściślej: o ich użytkownikach, wyrażał się z kilometrowym dystansem. Niekiedy, gdy żył, zartowali, że chyba sypia także w szaliku, a inni, kiedy życie sobie odebrał, kiwali ze smutkiem głową: nosił te szaliczki tak, jak jakąś ozdobną pętlę, z którą od dawna oswajał szyję.

Motyw szalika pojawia się w jednym z kolejnych listów do Keyhów, jest nawiązaniem do otrzymanego z Bytomia rysunku:

„Na rysunek najbardziej podobał mi się szalik. Bardzo długodługi, ale kłopot w tym, że wszędzie trzeba by targać za sobą pazia, czy jakieś inne pachole, który by, czy które by ten szal dzierżyło jak welon panny młodej. Kiedyś we Francji dziecięciami będąc, trzymałem welon pewnej panny na jej ślubie i tak się przejąłem swoją rolą, że laziłem za nią wszędzie i nie chciałem go puścić. Muszę wziąć Matkę na spytki, żeby mi opowiedziała dokładnie, jak to było, jeżeli będzie pamiętała.” (list z 22 marca 1976 r.)

Okazało się podczas tej wizyty w Bytomiu, że teść pani Marii, profesor Zygmunt Lis i Stachura mają wspólnego znajomego: to mieszkający w Toruniu malarz Bogdan Kraśniewski. Po jednej z wystaw prac Kraśniewskiego Stachura zanotował w dzienniku: „Coś mi się w tym podoba, co robi Bogdan. Duża autentyczna groza z tego bije.” Za autentyzm artystycznie przetworzonej grozy cenę płaci niekiedy nie tylko nabywca obrazu. W jednym z listów do Keyhów Stachura poprosi o pomoc: „Jadąc wolniutko z samej północy na same południe zatrzymałem się m. in. w Toruniu, gdzie widzia-

łem się z Bogdanem Kraśniewskim i opowiedziałem Mu moje zachwycające odwiedziny w domu Państwa. I tak dalej. Ale rzecz nie w tym. Otóż Kraśniewski przeżywa ostry tzw. kryzys i gdyby Pan Zygmunt napisał do niego kilka słów, to na pewno by to Bogdanowi nie zaszkodziło. Myślę oczywiście, że by pomogło”.

Andrzej Keyha podejmuje się pośrednictwa w zorganizowaniu Stachurze kolejnego śląskiego spotkania, tym razem w obrosłym potem legendą studenckim klubie „Kocyneder” w Chorzowie. Na tym spotkaniu poznali wreszcie Stachurę, nekający Keyhów telefonami o termin wizyty pisarza, dwaj studenci medycyny, Jerzy Derkacz i Zbigniew Zyska. W listach Stachury do Bytomia będą i dla nich słane pozdrowienia.

Tych listów, nigdzie dotąd niepublikowanych, jest kilkanaście. Dokładnej liczby nie będę ryzykował, bo Keyhów obszerne mieszkanie w przedwojennej kamienicy, jak większość mieszkań ludzi z artystycznej branży, jest z gatunku tych, co to inwentaryzacja zawartości trwałaby ze sto lat, a może i dłużej, bo przy niektórych przedmiotach inwentaryzator trwałoby czas na ochłonięcie z zachwytem.

A w listach, jak w życiu pozapapierowym, niezły mix: wrażenia Stachury na temat pożyczanych u Keyhów kolejnych części sagi o Muminkach, podniebne wyprawy w przelotwie zamyśleń i refleksji, a niżej, przelatujący przez głowę huk roboty i warkot prozaicznych kłopotów:

„Teraz myślę, to znaczy pomyślało mi się niedawno, czy wyprodukowanie pojęć: życia i śmierci i krańcowe przeciwstawienie sobie tych pojęć – nie odwiódło nas być może od innej drogi: nie-tak-tragicznej. Nie wiem.” (list z 8 marca 1976 r.)

„Dodało mi odwagi powtórzenie oferty naprawienia dzinsów i zrobiłem paczkę i wysłałem do tego jeszcze koszulę, którą nabyłem kiedyś w Oslo za całe 120 koron, czyli za połowę sumy zarobionej za występ w „Club 7”. Ona – koszula ma przetarte rękawy na łokciach i gdyby było możliwe naszycie jakichś owalnych łąt, to bardzo bym się cieszył.

Przeczytałem „Opowiadania z doliny Muminków” i jeszcze więcej byłem zachwycony niż „Zimą Muminków”. Wstrząsający są Haftinatowie (powinno być: Hatifnato-

wie – dop. M.B.), co to nigdy nie śpią, nic nie mówią, ciągle patrzą w horyzont i tańczą pod muzykę piorunów. A Włóczykij, kiedy układa nową piosenkę, no to zupełnie, zupełnie, jak taki jeden facet, znany Wam nieco i mnie znany nieco więcej. Zdziwił mnie też „niejaki Edward”, który zdobywa I nagrodę za tłuczenie porcelany (historia o starym Paszczaku który przecina bilety wstępu do cyrku i czeka na emeryturę). (list z 9 stycznia 1976 r.)

W niektórych wyprawach po Polsce towarzyszył Stachurze Janusz Anderman. Umawia się z nim na dworcu PKP w Katowicach, a o planach informuje listem z 15 października 1976 r.: „Stamtąd skoczymy tu i tam, a potem do Państwa Keyhów i Zygmunta Lisa do Bytomia (adres Ci dajem; tel. (...)) jeden jest do domu, drugi do Biblioteki, gdzie pracuje Andrzej Keyha – tłumacz tekstów Dylana, nie wiem, który jest który.”

Kolejna wizyta Stachury u Keyhów, jej ślad w dzienniku pisarza: „W Bytomiu rozmawiamy. Trochę pijemy. Przez pół godziny byłem pijany (nie spałem całą noc i nie jadłem dużo). Potem mi przeszło. Rozmowa jak zwy-

kle u Keyhów, bardzo ciekawa. Mówiłem nie-dużo. Więcej słuchałem. Spałem potem 12 godzin.”

Po następnej wizycie ślad w dzienniku jest niepokojąco głęboki, zostawiony przez coś ciężkiego: „Afera w Bytomiu”.

– Dawna sprawa, proszę nie podawać nazwisk – mówi pani Maria opowiadając mi przebieg zdarzenia. Otóż podczas tamtej feralnej wizyty kolega towarzyszący Stachurze, też pisarz, uparł się nakłonić przyjaciela Keyhów do picia. A ten ciągle nie i nie. Pogarszającej się dykcji namawiacz używał coraz głośniejsze, był uparty, także w przyspieszaniu tempa konsumpcji, a przyszedł już w stanie wskazującym. I jak to z przynapi-tym bywa – nawet sen nie jest takiemu w stanie zatkać ust. W końcu natręt sięgnął po epitety jak z prozy Himilsbacha, niepijący odpowiedział w podobnie wytwornej poetyce... Wyrwany z drzemki Stachura, który tam był, ale jakby nie całkowicie, poproszony przez gospodynię o pomoc – niewiele mógł i potrafił zdziałać.

Bardzo to potem Stachurę męczyło. Choć list z przeprosinami ma w pewnym momencie dość dziwną, ale chyba popularną argu-

mentację, z której wynika, że jedno z praw życiowych brzmi: trzeźwemu biada.

„Kochani,

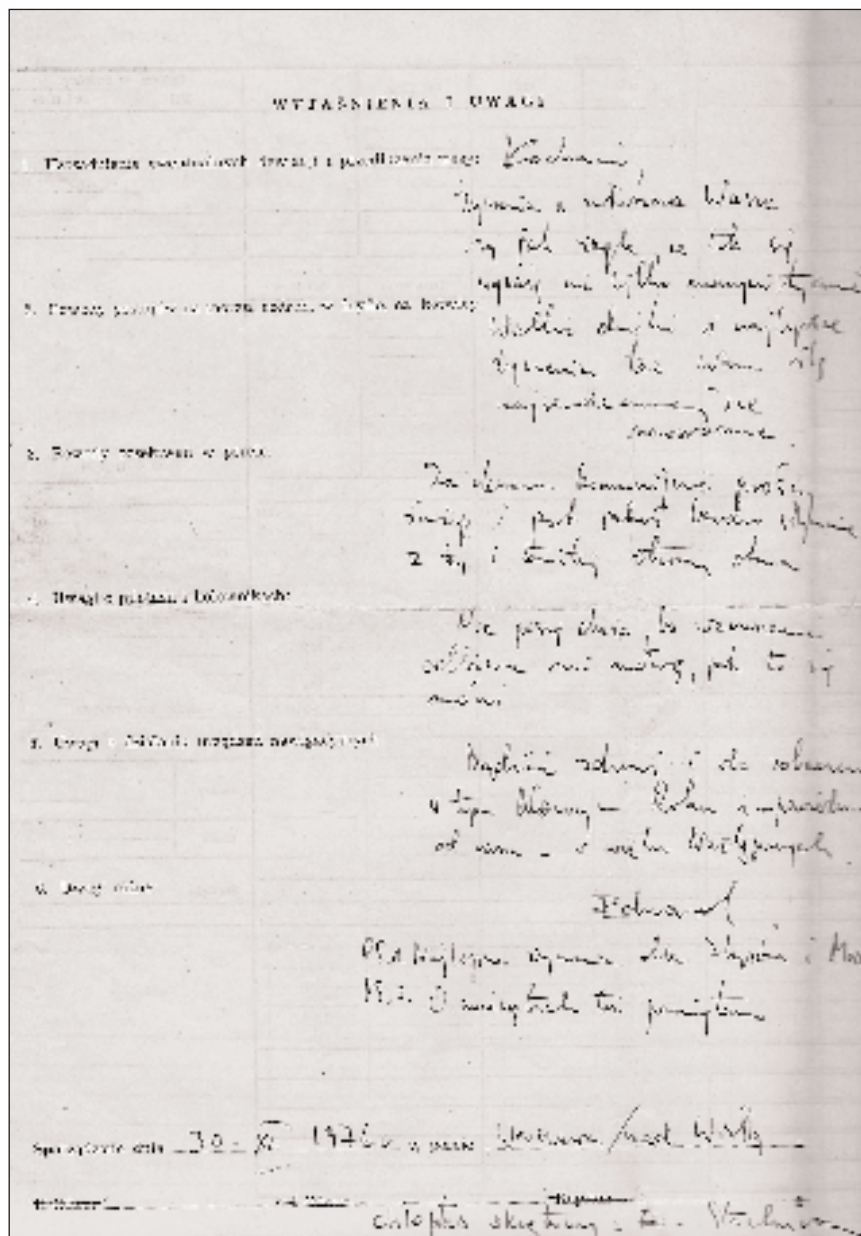
Tak mi przykro. I nie mam żalu do nikogo, tylko do siebie niebogo. Że nie potrafiłem opanować tak prostej w końcu sytuacji. Ale czy można zrobić coś mądrego, kiedy się ma w czubie. Wódka jest mądra bardzo krótko, potem beznadziejnie głupia. Wiem o tym bardzo dobrze od dawna i dlatego bardzo rzadko teraz piję. Tylko w dobrej kompanii, wśród przyjaciół. U was na przykład.

Nie ulega wątpliwości, że panowie A. i L. nie przypadli sobie do gustu, nie zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Mówiłaś mi, Mańka, w przedpokoju, że pan A. był agresywny wobec pana L., ale to już do mnie nie docierało. Usłyszałem Twoje słowa długo potem, nazajutrz wieczorem. I oczywiście wierzę Ci, że tak było. Co można było zrobić? To samo, tylko spokojnie. Wyprowadzić pana A. (żeby nie dopuścić do mordobicia pomiędzy nim a panem L.), a nie tworzyć z nim wspólnego frontu, jak mówią stratedzy wojskowości. Co do pana L. to mógł być reagować mniej ostro na zaczepki pana A. Powinien był być mądrzejszy z tej prostej przyczyny, że był trzeźwy, czego nie można powiedzieć o panu A. Największą niesprawiedliwością w tej aferze jest to, że ofiarami jej padli nie panowie A. i L., lecz my wszyscy: Wy, Zbyszek, Max i ja. Jak by nie było bardzo Was przepraszam.” (list z 28 października 1976 r.)

Incydent nie popsul przyjaznych relacji Keyhów ze Stachurą. Nadal wymieniali świąteczne kartki z życzeniami, Stachura cieszył się, że za kolejną wizytą pożyczyci następane Muminki, informował, że materiał na laty do reperowanej koszuli trzeba odebrać od Andrzeja Pawłowskiego w Katowicach, dziękował za włóczkowego Paszczaka od Marii, oferował pomoc w wydrukowaniu tekstów Boba Dylana tłumaczonych przez Andrzeja Keyhę, sondował zainteresowanie jednego z warszawskich wydawnictw Andrzeja przekładami prozy Jacka Kerouac'a. Sprezentował Keyhom zaklęcia Indian i dołączył do nich komentarz: „To są takie zaklęcia, które mają pomagać człowiekowi zasnąć, a to nie jest takie nieraz proste: zasnąć wdzięcznie i śnić pięknie. Gdyby ktoś z Waszych przyjaciół, czy znajomych miał takie trudności, to możecie mu to podrzucić. Ja sobie powiesiłem te zaklęcia przy łóżku. Bo z tych dwu rzeczy: w każdej chwili i w każdym miejscu móc pracować i w każdej chwili i w każdym miejscu móc zasnąć – to ja umiem niestety tylko tą pierwszą.” (podkreślenie Stachury).

Zasnąć bali się natomiast, stojący na całodobowej warcie przy szopie z pryncypiami ustrojowymi, funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Jeden z nich miał w tzw. opiece, bardzo przez czytelników cenioną, dobrze zorganizowaną i dysponującą szeroką ofertą usług Miejską Bibliotekę Publiczną w Bytomiu – tę, w której pracował Keyha. Doposażenie bytomskiej biblioteki w opiekuna nie wynikało z jakiegoś jej nagłego ideologicznego zaślabnięcia, to była norma, bo cenzura cenzurą, ale rękę na pulsie obywateli, a zwłaszcza tych, którzy odczuwają zgnębłą niekiedy chęć czytania, trzymać nie zawadzi.

Stachura nie był, oczywiście, jedynym pisarzem zaproszonym do bytomskiej księżni-



List do Marii i Andrzeja Keyhów na okrętowym formularzu

cy. Bywali tu zresztą nie tylko pisarze, ale także przedstawiciele innych dyscyplin artystycznych. Andrzej Keyha miał w zasadzie wolną rękę w doborze bibliotecznych gości, bo pani dyrektor, Jadwiga Rubiniec-Dachów, miała zaufanie do kompetencji swego pracownika.

Andrzej Keyha nie chce się chwalić swoimi ówczesnymi kłopotami, bagatelizująco macha ręką. Zdarzenie mogło więc na przykład wyglądać tak:

Któregoś dnia, zaproszony do dyrektorskiego gabinetu, zastał tam także pana, który siedział z boku pochłonięty lekturą jakiegoś nudnego bibliotecznego biuletynu. Pani dyrektor zapytała Andrzeja o kilka bieżących spraw, Keyha odpowiedział co, jak i kiedy, i wstał, bo odnosił wrażenie, że przeszkadza gościowi, który przyszedł do dyrektorki z jakąś swoją ważną sprawą. Ale wtedy pan gość odłożył nudny biuletyn, pani dyrektor przeprosiła panów, że na chwilę musi ich zostawić i wyszła.

Pan zaczął jak jakaś biblioteczna szyszka z wojewódzkiego co najmniej drzewa wiadomości. Że placówka bytomska dba nie tylko o katalogi, ale także o czytelników, że dobrze robi dokładając wysiłków, aby nie sprowadzać działalności do wypożyczania książek, świetnie, że zaprasza różnych gości, którzy wpisują się, prawda, nie tylko do księgi pamiątkowej, ale także w umysły uczestników spotkań, może biblioteka powinna to jakoś utrwalać, filmować, nagrywać chociaż, fundusze na odpowiedni sprzęt jakieś się przecież znajdują...

Keyhę coś tknęło, słucha dalej. Pan ubolewa, że cenne myśli i refleksje, których z pewnością nie brak, zwłaszcza podczas dysput po oficjalnym spotkaniu w bibliotece, już w węższym, elitarnym gronie przyjaciół państwa, to znaczy waszym, państwa Keyhów, mam na myśli pana, panie magistrze, pana szanowną współmałżonkę, państwa Lisów oczywiście też jako współmieszkańców, jakieś koszty ponosicie państwo z prywatnej puli środków, żeby godnie podjąć i zainstalować każdemu gościowi dobre wrażenie z Bytomia u nas tu.

Pan dokłuczył wreszcie do puenty, której Keyha już zaczął się domyślać. Czekał na nią nie bez obaw, bo wiedział, że z tymi panami nie ma żartów. I kiedy padła wreszcie ta propozycja, żeby Keyha nagrywał pobyty bibliotecznych gości w jego prywatnym mieszkaniu, utrwałał, jak podkreślał monologując oficer, bezcenny dla historyka materiał, archiwizował te ulotne chwile swobodnej rozmowy luminarzy na pamiątkę ich pobytu, choćby dla wzbogacenia bibliotecznych zbiorów audiowizualnych, i kiedy Keyha stanowczo odmówił, pan – z tym samym zyczliwym uśmiechem, choć już trochę innym tonem – bagatelizował ofertę.

– Gdybyśmy mieli pilną potrzebę niektórych z tych pana gości, zapraszanych do biblioteki, mieć na uchu nie tylko w bibliotece, ale i po spotkaniu, już zaproszonych do państwa domu, i nie moglibyśmy żyć bez wiedzy o tym, jakie też tam oni, przy kieliszku, nieraz do bladego świtu, wygadują różne mądrości, to miałby pan już dawno mieszkanie udekorowane operacyjnie. Gości radzę dobierać starannie. Nie twierdzimy, że co drugi przez pana ściągany do Bytomia to jakiś polityczny dywersant. Ludzie



Maria Keyha

i bez takich wizyt mają w głowach namacalne wystarczająco.

Pan, nie gubiąc sympatycznego uśmiechu, zerknął na swoje buty, przeniósł wzrok na Keyhę, podziękował za interesującą rozmowę, radził się zastanowić i życzył powodzenia.

Ponownie panowie spojrzeli na siebie w stanie wojennym. Andrzej Keyha, jako działacz „Solidarności”, po 13 grudnia 1981 r. zaangażował się w pomoc internowanym i ich rodzinom. Bezpieka robi u Keyhów „kocioł”. Jednym z czekających w zasadzce na kuriera jest ów sympatyczny pan, poznany kiedyś w gabinecie pani dyrektor. Andrzej Keyha zostaje internowany na ponad rok. Po powrocie do domu mieszkanie Keyhów staje się skrzynką kontaktową i przechowalnią nielegalnych wydawnictw, czasopism, ulotek i kaset.

Wśród ocalałych kaset jedna ma wyjątkową wartość. W 1976 r., po wieczorze autorskim w Chorzowie, strudzony Stachura odpoczywał u Keyhów w bytomskim domu. Zrelaksowany, już syty pod względem jadła i napitku, w przyjaznym otoczeniu, w odpowiedzi na prośby, żeby przeczytał coś swojego, zaproponował, że zacytuje – „jeśli oczywiście szanowni p...państwo wyrażą mi zgodę” – swój, nie psujący nastroju biesiadny, poemat „Kropka nad ypsylonem”. Keyha przytomnie pokazał palcem na stojącą w kącie skrzynię magnetofonu, Stachura skinął głową. I tym sposobem jest u Keyhów taki rarytas.

Kiedy powiedziałem panu Andrzejowi, że nagranie ze Stachurą recytującym „Kropkę nad ypsylonem” ma też Muzeum Literatury w Warszawie (sygnatura M. 09821), zaczęliśmy się zastanawiać, czy to aby – wcale nie przypadkiem – nie jest czasem przejaw roboty didżejów z SB, którzy Andrzejową taśmę-matkę, pod nieobecność domowników, puszczali sobie w celach służbowych i jakaś kolejna wersja wersji trafiła aż do muzealnych zbiorów. Najprościej byłoby porównać nagranie bytomskie z warszawskim. Ba! Tylko gdzie, mówi pan Andrzej, znaleźć tak szybko odpowiedni sprzęt, bo ten nasz gdzieś przepadł? Odpowiedni dla taśmy obsługiwanej wtedy przez ówczesne cudo audiotekniki: szpulowy, czteroseczkowy, aż

siedem i pół kilograma ważący magnetofon ZK 147 z Unity-ZRK.

No i jest drugie pytanie, ważniejsze, którego zasadność poznałem na własnej, cierpnącej wtedy skórze. Miałem, przywiezione z Olsztyna w roku 1985, przegrane tam na kaseciaka – dzięki uprzejmości dysponentów i pośrednictwu Tadeusza Burnewicza – fragmenty spotkania Stachury. Słychać było na nagraniu, że jest już w innym świecie, wie wszystko. Czterodniowy maraton w olsztyńskiej „Pracowni” odbywał się w styczniu 1978 roku, na dwa i pół miesiąca przed samobójczym wejściem w drogę elektrowozowi pod Bednarami. Gdzie Stachura był tak naprawdę wtedy, w tej olsztyńskiej sali? Na wielkiej gorze – jak sam mówił, u wierchołka stanu mistycznego – jak chcą jedni, czy u wejścia do czarnej jamy, z cierpliwie czającą się tam od dość dawna chorobą?

Nieuzwaną przeze mnie przez prawie trzydzieści lat kasetę z olsztyńskim głosem Stachury włożyłem, w związku z przygotowaniem się do tej książki, w kasetowy magnetofon, żeby sobie przypomnieć także tamto.

Kaseta z olsztyńskim nagraniem, na całej swej długości i obu ścieżkach, zademonstrowała jedynie lekko zaszumiłą ciszę, przy akompaniamencie której długo chciało mi się wyc.

Uspokoiło mnie trochę, kiedy się dowiedziałem, że i to zdarzenie, z kawałkiem nagraniem na mojej taśmie, jest w posiadaniu warszawskiego muzeum: aż cztery kasety, każda po 90 minut (sygnatury: M.O1823 – 26).

Trzeba więc koniecznie sprawdzić, czy taśma u państwa Keyhów odezwie się głosem Stachury, a jest tam na niej (powinno być!) także spory kawał rozmowy po jego recytacji.

Oby nie było jak z moją taśmą. Strasznie źle się słucha nagrania, na którym głos Stachury czas zamienił w ciszę.

(Fragment książki
o Edwardzie Stachurze
przygotowywanej
dla Wydawnictwa ISKRY)

Historia fortuny hrabiny zaczęła się pewnej lipcowej nocy roku pańskiego 1848, kiedy to w pokoju jednego z najstarszych i najlepszych hoteli „Zur goldenen Gans” przy Junkerstr. 29 w miejscowości Breslau, schorowany potentat przemysłowy z Górnego Śląska, w obecności swego przyjaciela prawnika Maksymiliana Schefflera, spisał sensacyjny testament, w którym swój olbrzymi majątek przypisał sześćioletniej pólserocie, bawiącej się w pokoju obok.

Joanna z Goduli

KRYSTIAN GAŁUSZKA



Dziewczyna z harfą – odrestaurowana rzeźba z palacu w Kopicach

Tak mogłaby brzmieć kolejna baśń spisana przez Grimmów, baśń w której można by odnaleźć opowieść o Kopciuszku, który jako piękna i niewinna córka służącej, zaskarbił sobie względy bestii, zakochując się później w pięknym jak z obrazka księciu, z którym żyła długo i szczęśliwie. Aż do śmierci. Jednak to nie baśń, a prawdziwa historia przyszłej żony Hansa Ulryka Schaffgotcha, Johanny Gryczik von Schomberg-Godulla, pani na Kopicach, największej bizneswoman, jaką wydała ziemia śląska.

Wracamy zatem do przypowieści. Dwa dni po tym znamienym wydarzeniu dla małej dziewczynki, jej bajkowy dobroczyńca zmarł, a ona nieświadoma niczego, została posiadaczką jednej z większych fortun w kontynentalnej Europie. Bulwarowa prasa okrzyknęła ją zaraz Śląskim Kopciuszkiem. Szacuje się, iż wielkość fortuny, którą odziedziczyła, wynosiła ok. 1,6 proc. budżetu ówczesnego państwa pruskiego. Co tłumacząc na dzisiejsze realia, czyli licząc 1,6 proc. ze współczesnego budżetu Niemiec daje kwotę ok. 4 mld euro.

Jak to mawiają, cudów nie ma. Dlaczego więc Karol Godula cały majątek ofiarował obcej dziewczynce? Pierwszym skojarzeniem jest to, iż była jego nieślubną córką. Niestety żadne źródła nie potwierdzają tego faktu. Jedyną poszlaką – poza odziedziczonym spadkiem oczywiście – jest opinia o jakoby złym prowadzeniu się jej matki. Z drugiej strony istnieje niepotwierdzona źródłowo legenda mówiąca o tym, że w niewyjaśnio-

nych okolicznościach Karol Godula doznał poważnej kontuzji, z powodu której utykał na jedną nogę i miał oszpeconą twarz. Prawdopodobnie było to też przyczyną tego, że nie mógł mieć dzieci.

Jakkolwiek było, przyjmijmy dość rozpowszechnioną następującą wersję: Joasia Gryczik, która urodziła się 29 kwietnia 1842 roku w Poremby obok Rudy Śląskiej, znalazła się w domu Karola Goduli w następujący sposób – jej matka Antonina, po śmierci swego męża Jana, komornika pracującego w zakładach cynkowych Goduli, poprosiła gospodynię przemysłowca panią Emilię Lukas o opiekę nad córką. Kiedy Joasia znalazła się w domu Króla Cynku uwiodła go do tego stopnia, że nie tylko znalazła tam opiekę, ale nawet dla jej potrzeb został specjalnie zatrudniony domowy nauczyciel M. Kulanka.

W kwietniu 1848 roku ciężko chory Diabeł z Rudy udał się na leczenie do Wrocławia, zabierając ze sobą Joasię. Po trzech miesiącach walki z chorobą zmarł, wcześniej dokonując swego sensacyjnego zapisu w testamencie. Wykonawcą jego ostatniej woli został przyjaciel, doradca i prawnik – wspomniany Maksymilian Scheffler. W testamencie widniał zapis, że gdyby Joanna Gryczik zmarła bezpotomnie, to cały majątek miały odziedziczyć dzieci sióstr Goduli. Po ogłoszeniu treści tegoż kontrowersyjnego dokumentu, testament stał się prawdziwą sensacją. Spadkobiercy Goduli próbowali obalić jego testament, a gdy to się nie udało, jawnie ślali groźby pod ad-

resem dziewczyny. Obawiając się o jej bezpieczeństwo opiekunowie za zgodą sądu umieścili ją w klasztorze Urszulanek we Wrocławiu. Po opuszczeniu klasztoru Joanna zamieszkała w domu Maksymiliana Schefflera, który rozpoczął starania o uzyskanie dla niej tytułu szlacheckiego, co zakończyło się sukcesem. Z rąk króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV otrzymała tytuł szlachecki i nazwisko Gryczik von Schomberg-Godulla oraz herb, na którego tarczy widać: skrzyżowane – pyrlík (ciężki młot do rozbijania brył węgla) i żelazko (krótki kłof do rozbijania bloków węgla) wcięte w błękitną tarczę na złotym polu (barwy Górnego Śląska). Co ciekawe, tytuł szlachecki w swoim drugim członie nie wskazywał na miejscowość Godula, bo takiej jeszcze nie było lecz na osobę Karola Goduli, dzięki któremu Joasia dysponowała tak wielkim majątkiem. Zatem jeżeli nie była córką krwi Króla Cynku, to na pewno była jego córką serca.

W wieku 16 lat szlachcianka Johanna poślubiła Reischgrafa Hansa Ulryka von Schaffgotcha, który pochodził ze starego śląskiego rodu szlacheckiego. Ten potomek piastowskiej księżniczki Barbary Agnieszki, poza nazwiskiem nie miał wiele do zaoferowania. Cały majątek odziedziczył jego stryj Karol Gotard III wolny pan stanowy Cieplic. Początki rodziny tak zasłużonej dla Śląska przedstawiały się następująco. W XIII w. jeden z przodków rodu, Siboth Schaff otrzymał od Bolesława Rogatki, księcia legnickiego, zamek Stara Kamienica. Z kolei jego potomek

Gotsch I Starszy, ok. 1360 r. dostał od księżnej Agnieszki, wdowy po Bolku II świdnicko-jaworskim, zamek Chojnik wraz z przyległymi ziemiami. Jego syn Gocz II otrzymał w 1399 r. w dzierżawę zamek Gryf, który kilkanaście lat później przeszedł na dziedziczną własność jego rodziny. Ze względu na zaślubi obu Goczów dla rodziny, kolejne pokolenia rodu zaczęły używać ich imienia jako przydomka i tak powstało nazwisko Schaffgotsch.

Starym zwyczajem ślub Joanny i Hansa Ulryka odbył się w poniedziałek. Było to 15 listopada roku pańskiego 1858 w kościele parafialnym Najświętszej Maryi Panny w Bytomiu. Natomiast uroczysta Msza święta celebrowana przez biskupa z Brna Antoniego Ernesta Schaffgotscha w asyście proboszcza bytomskiego ks. Józefa Szafranaka, kanonika Alojzego Ficka z Piekara Śląskich i myśłowickiego proboszcza ks. Markieckiego odbyła się w niedzielę i zgromadziła tak wielki tłum gości, że zabrakło miejsc zarezerwowanych w kościele. Wieczorem w Dzień Pański pochód złożony z pięciuset robotników, prowadzony przez orkiestrę i urzędników – pracowników hut i kopalń należących do Joanny, urządzili młodą owację i złożyli im dary i życzenia.

Zaraz po ślubie państwo młodzi zamieszkali w zamku w Szombierkach, który niestety nie dotrwał do naszych czasów, albowiem został zniszczony zaraz po II wojnie światowej przez waleczną Armię Czerwoną i rozebrany przez władze Bytomia. Na miejscu zamku wybudowano przedszkole, które istnieje do dnia dzisiejszego.

Jednak na swą siedzibę rodową górnośląska linia Schaffgotschów wybrała Kopicce. W 1863 r. przebudowano XVIII-wieczny pałac. Autorem nowego projektu był działający i mieszkający we Wrocławiu architekt Carl Lüdecke. Jednak końcowym wykonawcą był Carl Heidenreich, ten sam, który później zaprojektował kościół w Goduli (obecnie dzielnica Rudy Śląskiej). Zgodnie z sugestiami fundatorów efektem końcowym przedsięwzięcia było założenie parkowo-rezydencjonalne, w którego skład wchodził pałac wraz z kaplicą, park, grobla, sztuczne ruiny, niewielka świątynia Diany, pawilon chiński i pawilon gotycki. W ten sposób w pierwszej połowie XIX w. powstała jedna z najwspanialszych rezydencji na Śląsku. Państwo Schaffgotschowie dożyli w nim w obfitości i szczęściu późnej starości. Hrabina zmarła w Kopicach dnia 21 czerwca, natomiast jej pogrzeb odbył się 27 czerwca w roku 1910. Jej mąż zmarł pięć lat później.



Herb w Kopicach – herb do dziś znajdujący się w kopickim pałacu

Zostali pochowani w mauzoleum przy kościele.

Joanna Schaffgotsch nigdy nie przepisała majątku swemu mężowi. Niczym rodzona córka Goduli sama kierowała jednym z największych concernów przemysłowych w ówczesnej Europie, dobierając odpowiednich doradców, zatrudniając dyrektorów, czy też decydując o sprzedaży, zakupie lub otwieraniu nowych zakładów przemysłowych. To ona inicjowała budowę szkół, kościołów i innych obiektów użyteczności publicznej, służących ludziom zamieszkałym w jej dobrach i pracującym w jej zakładach pracy. Jak się szacuje, pomnożyła ona siedmiokrotnie odziedziczony majątek, wyrastając na niebywałego formatu kobietę, która stała się wzorem do naśladowania dla potomnych. Kobieta, która w historii górnośląskiego przemysłu była i jest gwiazdą najjaśniejszą.

Niestety. Przepiękne imperium, które zbudowała, legło w gruzach. Symbolem totalnej katastrofy były i są losy pałacu w Kopicach. Ostatnim dziedzicem górnośląskiej fortuny oraz panem na zamku w Kopicach był od 1943 r. Hans Ulryk, prawnuk Joanny. Z powodu zbliżającego się frontu w roku 1945 w pośpiechu wyjechał wraz z całą rodziną z pałacu, do którego już nie wrócił, nie tylko on, ale nikt z jego rodu. Cały majątek rozsiarty po Górnym i Dolnym Śląsku – folwarki, dwory, huty, kopalnie, pałace, przepały, jak przepały świat, w którym żyli.



Joanna Gryzik w Kopicach – oryginalne usytuowanie rzeźby harfistki

Kiedy do pałacu weszli żołnierze Czerwonej Armii, wyglądał on jakby mieszkali w nim jeszcze Schaffgotschowie. Zostały zabytkowe meble, ogromna biblioteka, myśliwskie trofea, kolekcja zbroi. Kiedy zdobywcy opuszczali swą zdobycz, budowla płonąła. Następnie przyszli pierwsi szabrownicy, po ich wyjściu, perła architektury płonąła znowu. Potem przyszli wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, osiedlając się we wsi. Oni też lubili fajerwerki. Ostatni raz pałac znalazł się we władaniu ognia w 1956 r., wtedy to runął dach i zawaliły się wszystkie kondygnacje. Kiedy z pałacu zostały jedy-

nie kikuty murów, nowi mieszkańcy zabrali się za mauzoleum mieszczące się obok kościoła, w którym pochowana była para hrabiowska. Czaszki służyły nowym mieszkańcom Kopic do gry w piłkę. Co bardziej zabawowi tańczyli z kościotrupami hrabiny Joanny i hrabiego Hansa Ulryka wokół ogniska, zmieniając kilka nocy z rzędu w makabryczne balety. Jedynie Kopciuszek nie gubił już swojego bucika, a zaczarowana karetka nie zjawiała się przed północą, aby odwiedzić ją do domu.

Szczątki po Schaffgotschach znalazły schronienie we wspólnym grobie mieszczącym się blisko wejścia do kopickiego kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego.

Pamięć po hrabinie jednak nie znikła. W sto lat po jej śmierci otrzymała w Rudzie Śląskiej swoją ulicę (aczkolwiek nazwa nie jest pełna, gdyż choć mieszkańcy miasta wiedzą o kim mowa, to na planie istnieje tylko ul. Joanny, a nie ul. Joanny Schaffgotsch). Została także patronką rudzkiej szkoły podstawowej. Nad jej niebywale bogatą historią pochylali się historycy, dziennikarze i artyści. Ostatnio odrestaurowano tzw. rzeźbę harfistki, do której pozowała sama hrabina. Posąg został zabrany z ciągle popadającego w ruinę pałacu w Kopicach, którego ostatnim właścicielem została chorzowska firma *Zarmen*. Obecnie – wykutą w kamieniu podobiznę hrabiny – można podziwiać na wzgórzu uniwersyteckim w Opolu. Choć jej doczesne szczątki nie za-

znały spokoju, to należy pamiętać, iż nadal w jej intencji odprawiane są msze święte – szczególnie w kościołach, których była fundatorką.

Od jej narodzin upłynęło 171 lat. Jednak ciągle przypomnienie w potocznej świadomości jej imienia wydaje się być naturalne, gdyż jej jakże zasłużona postać powinna znaleźć należne miejsce w pantonie wielkich budowniczych Śląska, do których Joanna z Goduli z całą pewnością należała.

Zdjęcia: K. Gatuszka

„Piątkowy wieczór.
Miasto zaczyna tętnić swoim drugim, nocnym życiem.
Zapada ciemność, w której może się zacząć i skończyć wszystko.
Wśród tysięcy światła rodzi się nadzieja.
Warszawa nocą. Warsaw by Night.”

Noc na Ziemi

NATALIA KORYNCKA-GRUZ, autorka „Amoku”, po latach przerwy wraca na plan zdjęciowy. Jej najnowszy film, „Warsaw by Night”, opowiada historię czterech kobiet, których losy skrzyżują się pewnej nocy w jednym z warszawskich klubów. Na swojej drodze spotkają różnych ludzi, ale towarzyszyć im będzie zawsze ten sam taksówkarz. W obsadzie znajdują się między innymi Izabela Kuna, Joanna Kulig, Stanisława Celińska, Marta Mazurek oraz Roma Gąsiorowska. Ostatni klaps padł 12 listopada 2013 r., premiera zaplanowana jest natomiast na jesień tego roku.

Z reżyserką „Warsaw by Night” i odtwórczynią jednej z głównych ról, **IZABELĄ KUNĄ**, o Warszawie, ludzkich ludziach i o tym, jak to jest mieć scenarzystę za męża rozmawia **MARTA BAŁAGA**.

Izabela Kuna: Ja się w Warszawie nigdy nie zakochałam, kiedy tu przyjechałam dwadzieścia lat temu Warszawa mi się nie podobała. Byłam przerażona i zasmucona, z tym miastem kojarzyło mi się wszystko to, co złe. Nie umiałam sobie tutaj znaleźć miejsca. Dopiero od kilku lat mogę powiedzieć, że lubię to miasto. Bardzo. Coraz bardziej mi się podoba i cieszę się, że w tym filmie opowiadamy o ludziach, którzy tu mieszkają.

MB: Co jakiś czas słyszymy, że powstaje „prawdziwy” film o jakimś polskim mieście, zwykle chodzi właśnie o Warszawę. Ostateczny rezultat okazuje się często przesadnie wygładzony, wszystko jest trochę zbyt czyste, zbyt ładne. Swoim filmem chce pani od tego odejść.

NK-G: Staramy się jakoś, staramy się szukać wnętrza, które są prawdziwe, wchodzimy do prawdziwych mieszkań, staramy się też scenograficznie oddać to, co mamy w 2013 roku. Nie sposób jest opowiedzieć wszystkiego, więc siłą rzeczy jest to wybiórcze, ale bardzo bym chciała żebyśmy oglądając film mogli sobie powiedzieć: aha, to jest właśnie czas, w którym żyjemy, tak to wygląda, tak mniej więcej to funkcjonuje. Oczywiście przy założeniu, że nie robimy dokumentu tylko jednak film fabularny (śmiech).

MB: Czy takie podejście znajdzie swoje odzwierciedlenie także w bohaterach filmu?

IK: Moja postać pracuje w muzeum sztuki współczesnej, ma na co dzień do czynienia ze sztuką. Ma męża, ma córkę, ma siostrę i ma też swoje pragnienia, do których się nie przyznaje. Myślę, że jest wrażliwą osobą jak na tę Warszawę. Może się okazać, że zbyt wrażliwą (śmiech). Jak każdą z bohaterek spotyka ją nieoczekiwana historia, ale dzięki temu dowiaduje się o sobie rzeczy, których w normalnym kontekście nigdy by nie poznała. Myślę, że te historie opowiadają o takich właśnie przypadkach, nieprzewidywanych wydarzeniach, które mówią nam, jacy jesteśmy. Albo jacy bywamy. Trochę jak w moim zawodzie. Bardzo lubię ten zawód, bo jest oparty na słabościach. I ten film też te słabości obnaża, ale jest to... ładne. Lubię takie rzeczy, lubię, gdy człowiek okazuje swoje słabości.

MB: Gdy jest obnażony?

IK: Tak. Trudno jest mi mówić o rzeczach, które robię. Interesuje

Zdjęcia: Jacek Drygala



Natalia Koryncka-Gruz

Marta Bałaga: W „Warsaw by Night” mamy wprowadzić klub, w którym przecinają się drogi bohaterów, ale to raczej sama Warszawa stanowi pełnoprawną bohaterkę filmu. Skąd pojawił się pomysł, aby na stolicę spojrzeć inaczej niż zwykle?

Natalia Koryncka-Gruz: To wypłynęło właściwie z mojej potrzeby, jestem warszawianką i bardzo lubię Warszawę. „Amok”, film na temat gieldy, który zrobiłam lata temu też był w pewnym sensie filmem o mieście.

Ja mam w sercu takie miejskie tropy. Po prostu to lubię. Sama dużo chodzę po mieście, może nie aż tyle po klubach, co mój syn, ale podoba mi się to, że miasto się zmienia, jestem szczęśliwa, kiedy widzę, że są jakieś nowe miejsca, że ludzie siedzą na ulicach, że to wszystko gdzieś zaczyna tak pulsować. Myślę, że nadeszła pora, żeby taki film powstał. My akurat skupiliśmy się na centrum, ale Warszawa ma wiele bardzo, bardzo fajnych miejsc. Nie sposób jednak w jednym filmie wszystkiego pokazać.

mnie prawda, nie interesuje mnie czy postać jest dobra czy zła, nie bronię jej. Dla mnie ma być ona prawdziwa, bez względu na to, czy jest głupia czy mądra, czy robi coś brzydkiego czy złego. Nie ma to dla mnie znaczenia.

MB: Jak ta prawda przejawia się w postaci Igi?

IK: Przekonałam się o tym na ekranie. Pracowałam z Joasią Kulig, z którą się znamy i którą uwielbiam. Jej sposób pracy bardzo mi się podoba, to, co proponuje jest niezwykle. Spotkałam się już z Lechem Lichotą, z Agatą Kuleszą – to są ważni dla mnie ludzie, z którymi już wcześniej gdzieś się spotkałam w pracy i w życiu. Nie jest to dla mnie bez znaczenia. Nie ma nic banalniejszego, ale też nic piękniejszego niż opowiedzenie prostej historii o miłości. Każdy z nas chce być kochany, każdy chce być akceptowany, piękny i żyć wiecznie.

MB: Czy w filmie pojawiają się miejsca, z którymi jest pani w jakiś sposób związana?

NK-G: Wychowałam się na Powiślu. Dla mnie światem dzieciństwa i młodości jest właśnie Powiśle i plac Trzech Krzyży. Początkowo chciałam, żebyśmy kręcili właśnie tam, ale z drugiej strony chciałam pokazać przeszklony klub, żeby miasto „wchodziło” do środka. Kiedy w kwietniu powstało miejsce, w którym teraz rozmawiamy, wiedzieliśmy, że nie ma już odwrotu. Rozśmieszyło mnie też to, że w tym samym budynku kręciliśmy przed laty „Amok”, wróciliśmy jak bumerang na ten sam dziedziniec.

MB: Przeznaczenie?

NK-G: Było to bardzo zabawne (śmiech). Dla mnie miejscem mojego życia jest plac Trzech Krzyży, mieszkam na Górnolaskiej. W ogóle całe Powiśle. Lubię mosty, rzekę, zawsze staram się żeby bohaterowie jeździli po jakimś moście (śmiech). Z jedną bohaterką wyszliśmy też na Pragę, chciałam pokazać, że tam też rodzi się nowe życie.

MB: Nie będzie więc w pani filmie tak zwanego „efektu Woody’ego Allena”? Podążania szlakami turystycznymi?

NK-G: (Śmiech) Sama nie wiem. Mam nadzieję, że będzie to jednak coś innego... Kiedy jest się w trakcie kręcenia filmu to czasami poszukujemy dróg. Ja nie mam jeszcze gotowych recept, po prostu codziennie szukam na nowo. Wydaje mi się, że mam jakąś tonację tego wszystkiego, ale codziennie coś mnie zaskaku-

je. A to mnie zaskoczy aktor, który zagra świetnie, ale inaczej niż oczekiwałam, a to mnie zaskoczy miejsce. Teraz to jest taka... przygoda. Szczerze mówiąc najbardziej lubię zdjęcia. To okres, kiedy wszystko może się przytrafić.

MB: To ciekawe, ostatnio rozmawiałam z reżyserem, który powiedział, że to dla niego najtrudniejszy etap.

NK-G: Ja to uwielbiam. Dla mnie w robieniu filmów tak naprawdę esencją są właśnie zdjęcia. Poszukiwanie pieniędzy to koszmar, a potem po prostu obrabia się to, co powstało. Ten etap jest natomiast bardzo twórczy; coś może się udać, coś może się nie udać, coś się dzieje. Jest to naprawdę fantastyczne.

MB: Pragnie się pani trochę tym filmem pobawić, muzyka ma na przykład wyróżniać konkretnych bohaterów. Czy tak samo będzie ze zdjęciami?

NK-G: Mamy dwóch operatorów, bo od początku założyłam, że będą dwie różne konwencje. Muszę przyznać, że sama jestem ciekawa rezultatów. Jeden z nich to Michał Sobociński, który debiutuje tym filmem, jest bardzo młody i proponuje ciekawe rozwiązania. Ze Zdzisławem Najdą robiłam „Amok” i wiele innych filmów, dobrze się znamy.

MB: To interesujące podejście.

NK-G: Tak, jestem bardzo ciekawa, w jakim stopniu te zdjęcia będą odmienne. Trudność polega na tym, że jest to film nocny. Najbardziej bałam się zrobić film, który będzie ciemny, dołujący, trudny do wytrzymania. Na razie poprzez wybór tego obiektu i przez to, że przyjeśliśmy musztardową kolorystykę wszystko wydaje się dość... ciepłe. Ale jak będzie na końcu, czy widz wytrzyma tę noc? Nie wiem.

MB: Po raz pierwszy w karierze zdecydowała się pani na film epizodyczny.

NK-G: Wszyscy mi to odradzali, ja też bym odradzała. Widz lubi mieć jednego bohatera, z którym podróżuje przez cały film. Trudno jest mu się co dwadzieścia minut przedstawiać na bycie z inną osobą. Chociaż z drugiej strony w Internecie, na facebooku ciągle skaczemy i to nam nie przeszkadza. W filmie widz lubi być jednak w tym samym towarzystwie. Lubię Altmana, Jarmuschę, „Babel”, lubię taki rodzaj kina. Wiem jednak, że dla dystrybutora stanowi to problem.

MB: Czyli postawiła pani na eksperyment. I do tego jeszcze na historię o kobietach.

NK-G: Muszę przyznać, że to akurat był przypadek. W pierwszej wersji scenariusza, który napisał Marek Modzelewski, dwie bohaterki były kobietami, bohaterami pozostałych historii byli natomiast mężczyźni. Potem pojawił się norweski koproducent, już się niestety wycofał, ale wcześniej zapytał, dlaczego nie są to historie czterech kobiet. Pomyśleliśmy, że skoro jest tak mało ról dla kobiet, tak mało dobrze skonstruowanych postaci to warto zrobić film o kobietach. Odwróciliśmy role i okazało się, że jest lepiej, że przez to, że bohaterkami są cztery kobiety w różnym wieku, film opowiada o upływie czasu. O tym, że czas płynie, że czas ucieka, że w tym czasie jesteśmy uwikłani w jakieś sytuacje emocjonalne. Bohaterem jest i miasto, i te kobiety, i czas.

MB: Czy właśnie to zainteresowało panią w tym filmie?

IK: Nie, zainteresowała mnie sama historia. Miała ona pewnie różne wersje. Marek Modzelewski jest moim mężem, w związku z tym interesuje mnie scenarzysta, jest to bardziej prozaiczne (śmiech). Z Na-



Izabela Kuna w scenie z filmu „Warsaw by Night”

talią pracowałam już wcześniej. Mówiąc w skrócie przeczytałam tę historię już trzy lata temu i bardzo mi się podobała, ale nie dlatego, że opowiada o kobietach, choć to też jest bardzo interesujące. Raczej dlatego, że wydaje mi się, że mówi prawdę.

MB: Prawdę o stosunkach między ludzkich?

IK: Tak, o relacjach pomiędzy zwykłymi ludźmi. Często człowiek, który mieszka w takim mieście jak Warszawa, z takimi pięknymi neonomami i ulicami, ekskluzywnymi butikami jest tak samo samotny jak ktoś niemający pieniędzy i borykający się z bólowymi nas wszystkich problemami. Mnie interesuje prawda o człowieku, w jakiegokolwiek konfiguracji, mieście czy miejscu. To mnie w tym filmie najbardziej zainteresowało.

MB: Bohaterki „Warsaw by Night” bez względu na wiek wciąż udają.

NK-G: Bez względu na wiek udają i poszukują. Przebieg każdej z tych historii jest taki, że bohaterka jest uwięziona przez jakąś swoją emocje, są to emocje różnego typu, na ogół jednak związane z uczuciami, jak to emocje (śmiech). Pod koniec wreszcie się uwalnia. Dotykamy strefy, którą rzadko się w kinie porusza. To, co zainteresowało mnie w scenariuszu to sposób, w jaki ludzie wchodzą ze sobą w relacje. Oprócz tego, że same bohaterki są interesujące, interesuje mnie też to, jak wchodzą w relacje z innymi ludźmi. To jest opowieść o związkach. Związkach różnego typu. Wczoraj kręciliśmy scenę rozgrywaną się pomiędzy dwoma kobietami, które grają Iza Kuna i Joasia Kulig. To, co się między nimi działo było szalenie ciekawe, dużo mówi o ludzkich poszukiwaniach, jak daleko sięgają.

MB: Do filmu udało się zaangażować gwiazdorską obsadę. Jak dużo swobody zostawia pani aktorom?

NK-G: Sporo. Uważam, że w momencie, kiedy wybieram aktora, obdarzam go pewnego rodzaju zaufaniem. Jeśli ma się dobrą obsadę, jeśli ma się właściwie obsadzonego aktora, to warto zapewnić mu jak największą wolność, bo może wnieść coś zupełnie nowego. Nie wierzę w to, że można go ustawić za pomocą tresury... choć są różne szkoły. Ja uważam, że aktor powinien mieć maksymalną wolność.

MB: Także, jeśli chodzi o interpretację scenariusza? Czy dopuszcza pani ewentualne zmiany?

NK-G: Tylko pod warunkiem, że nie jest to jakaś kompletna głupota. Jeśli są sensowne, jeśli odbywają się w ramach konwencji, w której pracuję – jestem na nie otwarta. Jest to dla mnie ciekawe, bo co mi z tego, że narzucę komuś swój punkt widzenia.

IK: Często mówię reżyserom, że uważam, że moja bohaterka by czegoś nie powiedziała.

MB: Czy jest to związane też z tym, że pani pisze? (Izabela Kuna jest blogerką, felietonistką i autorką książki „Klara” – przypis autorki)

IK: Nie z tym, że piszę, ale z tym, że staram się o tej postaci myśleć i mówić. Bardzo zwracam uwagę na język, często się wracam na ten temat kłócąc. Akurat tu nie było takiej potrzeby, może dlatego, że napisał to mój mąż (śmiech). Nie wypadalo.

Zrezygnowałam już z pracy w teatrze w sztukach mojego męża, powiedziałam sobie, że nie będę tego robić i jestem konsekwentna. Kino jest jednak trochę innym językiem, ale myślę, że był to taki eksperyment. Ja mam swój świat i swoją wizję na temat tego, co chciałabym zrobić, on ma swoją. W domu można opowiadać sobie o przyjemniejszych rzeczach niż o pracy (śmiech).

MB: Scenariusz musiał więc panią naprawdę zainteresować, skoro zdecydowała się pani na zmianę reguł.

IK: To bardzo fajna historia. Mam nadzieję, że Marek będzie dalej pisał i że ktoś będzie robił filmy na podstawie jego scenariuszy, ale ja już się na to nie zdecyduję. To mnie bardzo dużo kosztuje. Mam nadzieję, że jesteśmy takimi dość zwyczajnymi ludźmi i mamy duży dystans do tego, co dzieje i do tego, co robimy. Dajemy sobie radę, żeby o tym nie mówić, ale to jest jego scenariusz, więc siłą rzeczy gdy wraca do domu, chciałby o tym porozmawiać a ja zawsze jestem niezadowolona. To jest dla mnie duży stres, jestem już za stara na takie historie.

MB: Czy taki rodzaj podejścia odpowiada pani jako aktorce?

IK: Z tym bywa różnie. Czasem pracowałam z reżyserami, którzy wrzeszczeli, darli się na mnie, a potem się okazywało, że mieli rację. A potem z tymi, co nic nie mówili i też mieli rację (śmiech). Ja w ogó-

le jestem raczej osobą narzekającą i wiecznie niezadowoloną z tego, co robię. Mogę jednak powiedzieć, że ponieważ ekipa składa się w większości z ludzi, z którymi już się znamy, atmosfera pracy jest naprawdę cudowna. Ewa Kowalewska, charakteryzatorka, jest od wielu lat moją przyjaciółką, wcześniej pracowałam już z operatorem i z Natalią (przy serialu „Barwy szczęścia” – przypis autorki). Wczoraj dostałam propozycję od studentów, z której niestety muszę zrezygnować, bo oni oczywiście mają termin na już. I zaczęłam sobie wtedy myśleć, że ta wolność... ja lubię mieć jasno określone zadanie. Albo zupełny brak wolności, albo pełną wolność. Nie mam jednak ulubionych typów, bo ostatecznie zawsze to zweryfikuje pani albo ktoś, kto przyjdzie film zobaczyć.

MB: Przez długi czas pracowała pani na planie serialu („Barwy szczęścia” – przypis autorki), ostatni film, „Pieńko niebo”, powstał dla telewizji w 2004 roku. Czym spowodowana była tak długa przerwa?

NK-G: To moja wina. Robiłam teatry telewizji, tego typu rzeczy. Nie mogę powiedzieć, że to po prostu zbieg okoliczności, trochę w tym mojej winy. Czegoś szukałam, właściwie nie wiadomo czego i tak się błąkałam po świecie (śmiech).

MB: Postanowiła pani przypomnieć o sobie dość ambitnym projektem.

NK-G: No właśnie. „Warsaw by Night” nie idzie po linii tego, co dotychczas robiłam. W naturalny sposób brałam się zawsze za tematy społeczne, a tu weszłam w strefę, która jest... trudna. Trudna, bo można łatwo przechylić się w stronę komedii romantycznej albo niedobrego sentymentalizmu. Może właśnie dlatego jest ciekawa. Ciekawi mnie jak będzie (śmiech). Teraz sobie obiecuję, że zaraz zrobię następny film, ale nigdy nie wiadomo jak to się potoczy. Chcę żeby to był film o ludziach, nie o męczennikach, nie o bohaterach, ale o ludzkich ludziach. Dla mnie najciekawszy jest właśnie ludzki charakter. Jeżeli uda się dobrze opisać ludzki charakter to jest to naprawdę wielki sukces. Wielki. Nie ma tego dużo w literaturze, nie ma tego dużo w filmie.

MB: Ale zawsze się próbuje.

NK-G: No ja próbuję (śmiech). Proszę trzymać kciuki.

Do jakiej kategorii gramatycznej należy *sypanie*? – Przeciętnie obeznany z gramatyką użytkownik polszczyzny odpowie, że to rzeczownik utworzony od czasownika *sypać* – tak jak *ładowanie* od *ładować*, *hamowanie* od *hamować*, *kłamanie* od *kłamać*, *kochanie* od *kochać* itd., itp. Tymczasem Pan Stefan Kaczmarczyk z Wieszowy, zdobywca III miejsca w konkursie gwarowym „Po naszymu, czyli po śląsku” w roku 2012, pisze, że w rejonie Tarnowskich Gór, Gliwic, Olesna *sypanie* było leksykalnym odpowiednikiem *spichrza*, *spichlerza* (z niemieckiego *Speicher* – z łacińskiego *spicarium* od *spica* „kłos”) – „budyńku przeznaczonego do składania i przechowywania zapasów zboża”, a więc odczasownikowym rzeczownikiem-nazwą miejsca (*nomen loci*). Do listu Korespondent dołączył zdjęcia sypań w Oleśnie i w Pławniowicach oraz swój wspomnieniowy komentarz: „Na sypaniu w Wieszowie wysypywaliśmy ziarno z miecha na podłogę, żeby je dosuszyć. Usypywaliśmy wysokie przyzmy z wysuszonego ziarna. Przez dziury w podłodze sypaliśmy ziarno na niższe piętro. Łopatą sypaliśmy ziarno z przyzmy do miecha”. Dopowiada jeszcze Pan Stefan Kaczmarczyk, że odpowiednikiem jego *sypań* są na Spiszu, na Łemkowszczyźnie, w Beskidzie Niskim *sypańce*, a w Czechach – *sypki*.

Nie mogę nie dodać, że *sypać* to kontynuant prasłowiańskiej postaci *sypati* z jeszcze dawniejszej *suti* pochodzącej. Bo też i odmiana *suję*, *sujesz*, *suję* jest prymarna, co dla Ślązaków jest oczywiste, bo przecież do dziś posługują się oni na co dzień konstrukcjami typu „Musisz tak suć tyn piasek do łócz?” czy „Ida z kibłym wysuć hasie”.

A jakie charakterystyczne formy pojawiły się w czasie ostatniego gwarowego konkursu?

Bardzo wyraziste były postacie z *nosowym a* – charakterystyczne dla Opolszczyzny, przechowujące fonetyczny stan z wieku XIV, kiedy nie było – jak pierwotnie i jak dzisiaj – *e nosowego* i *o nosowego*, lecz tylko to *nosowe a*: *miol* na *orandziu* „miał na podorędziu”, *gansior*, „gęsior”, *czuwajka* na *gansi* „ochota na gęsi”, *danga* „dęga – tęcza” (dlatego np. *św. Jan Kanty*, bo dzisiejsze małopolskie *Kęty* w XIV stuleciu były *Kantami*).

Można też było wychwycić charakterystyczne dla Opolszczyzny *powia wo* – „powiem wam” – z odnosowionym wygłosem, jak i obecne w wielu częściach Śląska formy *strzoda* „środa” (por. nazwę miejscową *Strzybnica* czy nazwisko *Strzybny* – od *strzybny* „srebrny”), *swada* „zwada” (z pierwotnym bezdźwięcznym przedrostkiem *s-* tyl-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Sypanie i sucie

ko w gwarach śląskich się utrzymującym) oraz *zdradło* „lustro” (por. *sowizdrzał* – niem. *Eulenspiegel*: *Eule* „sowa” + *Spiegel* „lustro”).

Pierwotne brzmienia z *ir//yr* utrzymują też *świyrk*, *świyrcek*, *siekiyra* – w języku ogólnym zamienione na *świerk*, *świercek*, *siekiera* (tak jak *śmirć*, *cirpieć*, *cirń*, *wirzba*, *zmirzk*, *pastyrz* czy *sirce* mają dziś postacie *śmierć*, *cierpieć*, *cierni*, *wierzba*, *zmirzch*, *pastierz*, *serce*).

Rejestruję też zawsze ze słowotwórczą przyjemnością postacie gwarowe różniące się od standardowych odmiennymi częstkami morfologicznymi: *kroczać*, *kroczały* – „kroczyć, kroczyły”, *świycaty* – „świecać”, *cerzyczka* (od *cery* „córki”) – „cóciczka”, *wczasny* – „wczesny”, *wrazidlaty* (od *wrazić*) – „wścibski”, *kuzynio* – „kuzyni”, *zeżyli* – „przeżyli”, *pominyła* – „prze-

minęła”, *zochciyty* – „chciany”, *zochciwywny* – „chcący, mający zachcianki”, *łoszklivy* – „nieszczerzy”, „niepewny, brzydki”, *zaprzoć* „pokochać”, *zabrany* „bogaty”, „dobrze zbudowany”.

Równie atrakcyjne są typowo śląskie wyrazy i ich połączenia: *beblać* „bełkotać, głupio gadać”, *zabablane* w *chustki* „zakutane w chustki”, *tuplikować* „tłumaczyć”, *tako nerwa do niego wlaźla* „tak się zdenerwował”, *pomatłano historyja* „pogmatwana historia”, *fest w zoce* „bardzo szanowany”, *wystawić na wyśmiej* „wystawić na pośmiewisko”, *nij każdego było stykać* „nie każdego było stać” czy *ona nity ma sama* „ona nie jest sama”.

Kiedy usłyszałem *szmaterloka* – „motyla” – skojarzyłem go od razu z *holcokiem* „butem z drewnianą podszwą” i *haderlokiem* „szmaciarzem”, bo wszystkie te formy mają niemieckie podstawy słowotwórcze (*Schmetterling*, *Holz*, *Hader*), ale utworzone zostały rodzimym przyrostkiem *-ok* (gwarowy wariant sufiksu *-ak*).

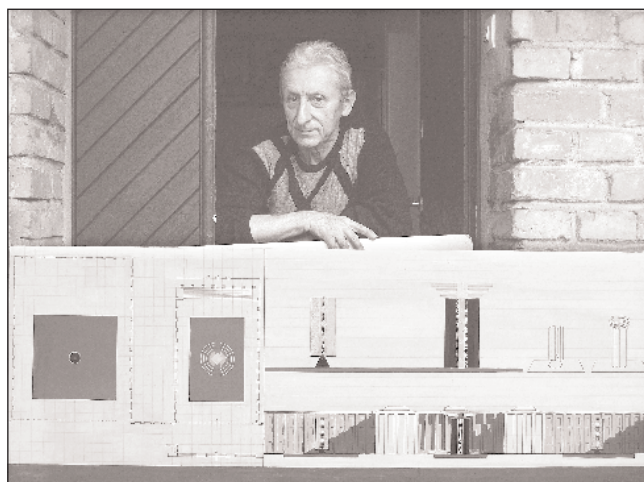
Gdy zaś *włoska kapusta* pojawiła się w czasie konkursowych zmaganiań w niemieckiej, ale ciągle na Śląsku używanej postaci *welszkraut*, nie po raz pierwszy pomyślałem, że znającym to słowo łatwiej zrozumieć, skąd się w języku polskim wzięły *Włochy*. – Zaczęło się wszystko od celtyckiego plemienia *Wolsków*, które kiedyś zamieszkiwało Galię, a stało się protoplastą *Walii* i *Walijczyków* (po angielsku *Wales*). W językach germańskich nazwą odnoszącą się do Wolsków objęto wszystkich Celtów, gdy zaś pierwotna Galia zamieszkała przez Celtów została zromanizowana, nazwę nadaną Celtom przeniesiono na Romanów, a później – zwiężając zakres znaczeniowy – na mieszkańców Półwyspu Apenińskiego, łącznie z Rzymianami. Z germańskich zapisów typu *Walhe*, *Walscher* na drodze morfologicznych substytucji powstały nasze formy *Włoch*, *Włochy* – z etymologicznego punktu widzenia tożsame z *Wolochami*, tyle że ci ostatni utrwaliли się we wschodniosłowiańskim brzmieniu z pełnogłosem *-oto-* i stali się nazwą pasterskiej ludności zamieszkującej nizinę w dzisiejszej południowej Rumunii. Ten sam źródłosłów co *Włoch* ma też węgierski *Olasz*. W słownikach polsko-niemieckich można zobaczyć, że naszemu przymiotnikowi *włoski* odpowiadają dwie niemieckie postacie – *italienisch* i właśnie *welsch*, z tym że ta druga jest we współczesnej niemieckiej prawie zupełnie nieobecna, bo ma odcień lekceważący. Na włoską kapustę zresztą Niemcy mówią *Wirsing (kohl)*. A na Śląsku brzmienie *welszkraut* przetrwało!

Skąd u Romana Nygi tyle ekspresyjnego koloru: czerwieni, żółci, zieleni, czerni? On sam powiada, że matka, kiedy był małym chłopcem pokazywała mu zawsze schodzące czerwone słoneczko – a działo się to w rodzinnym Bieruniu. Malarzem był też jego ojciec, malarzem był pradziadek Klemens i stryj. W książkach o malarstwie, które były czymś oczywistym w jego domu, od wczesnej młodości oglądał reprodukcje europejskich ekspresjonistów. Ale prawdziwy ogień, prawdziwą „dzikość” trzeba mieć w sobie.

Obrazy Romana Nygi zachwycają dynamiką, zdają się wyrwać do życia poza ramami, poza czasem i przestrzenią, w którą zostały włożone. Artysta przyznaje się też do fascynacji malarzkim kubizmem Ludwika

Chwistka, a po drodze do swojskich – rodem z bieruńskich legend i podań – stworów, których niewyobrażalne postaci, zjawiskowa natura dawała mu pole do popisu. Owe postaci zwane „stworokami” opisane przez Alojzego Lyskę na obrazy malarskie przelożył Roman Nyga.

Świadomy swojej inności już od czasów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, od nauki malarstwa u prof. Wacława Taranczewskiego, konsekwentnie realizuje swój artystyczny zamysł: w obrazach i przestrzeni, która stała się jego drugą pasją. Wyjście poza ramę stało się możliwe, kiedy na jego artystycznej drodze pojawił się Marian Bogusz – postaci – jak by się dzisiaj powiedziało – kultowa dla początku lat 60. XX wieku. W 1964 roku stał się członkiem grupy ARKAT („Artyści Katowic”). Był jednym z niepokornych obok Zygryfda Dudzika, Ludwika Poniewiery, Eryka Pudełko, Stanisława Hochuła, Romana Notwarskiego, Tadeusza Figieli i Marka Mosińskiego. No i Marian Bogusz, który stworzył swoją „religię” istnienia w sztuce, istnienia sztuki, a myślenie o niej musiało być podprawione teoretycznymi rozważaniami. Właśnie wyjście sztuki na ulicę, w osiedla, bycie sztuki wśród ludzi zafascynowało niezwykle skutecznie Romana Nygę. Tę część jego twórczości pokazywało niedawno Muzeum Miejskie w Tychach. Bo właśnie nowe Tychy ze swoją nowoczesną architekturą, pustymi przestrzeniami pomiędzy blokami, były wymarzoną rzeczywistością do wprowadzenia w ten obszar



Roman Nyga z projektem fasady Muzeum Narodowego w Warszawie – dziedzińce z obiektami świecącymi.

Kolor. Przestrzeń. Forma

O twórczości Romana Nygi

sztuki. Miała ona nie tylko być elementem dekoracyjnym miasta, ale przede wszystkim realizacją teoretycznych założeń artystów – Nygi i Bogusza. Lecz nie tylko Tychy – przed artystami otwarte były przestrzenie m.in. Sosnowca, Warszawy, Wrocławia. Także za sprawą Bogusza Roman Nyga przekroczył granice kraju – światową sztukę trzeba poznawać w świecie. Poznawał ją, chłonoł, ale nigdy nie zostawił swojego Śląska, swojego Bierunia. Tu odnajdywał inspirację, tu w swojej pracowni analizuje po dziś dzień zagadnienia formy, przestrzeni, symbolu i kształtu. Swoje przemyślenia, koncepty przekładał na formy przestrzenne. Interesuje go samo powstawanie dzieła, obserwowanie zachowań ludzi w obcowaniu codziennym z czymś, co także stworzyła ręka ludzka, jest bliskie człowiekowi, co zwykło się nazywać sztuką. Na ulicę wyszły jego obrazy umieszczane na blokowiskach (Lublin, Krapkowice) – podobnie jak dzisiejsze murale ich żywot zależał od przypadkowych działań – na przykład zamalowanie ściany, czy od warunków pogodowych. Farba się łuszczyła, a kolory płówały. Dzieło zmieniało się w czasie, poddawało jego naturze i wpływowi. Sztuka – jak chce Roman Nyga – to nie tylko obrazy pokazywane w galeriach, na wystawach czy powstające na przykład we wnętrzach sakralnych – jak dzieła jego ojca. On sztukę umieszczał pomiędzy ludźmi. Rzecz jasna, że nie zrezygnował dla tego rodzaju sztuki z obrazów, ze swego „dzikiego” malowania. Od lat

gust malarski Romana Nygi pozostaje niezmienny – figury geometryczne, plamy barwne, ukosy, przecięcia, w pomiędzy nimi zwyczajna codzienność – ledwo zauważalna, zwyczajna. Jak przydrożne świątki, kapliczki śląskie, „Chrystuski” i Madonny – porywające kolorem, czasem „dzikim”, ale jakby tylko im przynależnym. Natrzenie się na różnorodne malarstwo, wychowanie w takiej a nie innej krainie – bogatej w „stworoki”, w rodzime legendy, wykluwające się z niezmierną i nieopohamowanej wyobraźni a do tego wykształcenie akademickie, ale z dużą dozą tolerancji uwzględniającej własny styl i sposób widzenia świata i jego interpretacji – wszystko to zalega w Romanie Nydze jak pokłady węgla, które czasem przemieszczają się, eksplodują, prowokujące, ale i skłaniające do wyciszenia, kontemplacji.

„W swojej sztuce Roman Nyga przetwarza wpływy ekspresjonizmu niemieckiego, abstrakcji gorącej, pop-artu i nowej figuracji, a jego obrazy są osobliwym zderzeniem realizmu i sztuki bezprzedmiotowej. Jaskrawy koloryt, kłębiące się, dynamicznie formy dają się porównać do agresji środków wyrazu sztuki Neue Wilde (Nowi Dzicy) – niemieckiego ugrupowania, którego sztuka stanowiła swoistego rodzaju reakcję na konceptualne nurty lat siedemdziesiątych. Panujący w obrazach Nygi pozorny chaos materii malarskiej staje się środkiem do wyrażenia treści ogólnoludzkich, wpisanych w kontekst społeczny, polityczny, obyczajowy i kulturowy” – tak o malarstwie Romana Nygi w jednym ze swoich szkiców pisze Barbara Szczyńska-Gwiazda. Neue Wilde – Nowi Dzicy przeminęli, byli zjawiskiem. Roman Nyga trwa w swoim świecie, a co najważniejsze ciągle odnajduje w nim coraz to nowe impulsy do dalszego tworzenia.

Ogromna świeżość malarstwa Romana Nygi – od początku jego zaistnienia jako artysty po dziś dzień zdumiewa. Jasne, że formy przestrzenne nie mogą dziś konkurować z tym, co odnajdujemy na płótnach, ale zamysł tamtych projektów pozostał właśnie w tej dwuwymiarowej przestrzeni – projektach, szkicach, które prezentowane były w tyskim muzeum.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Z cyklu „Ekspresja – ruch i kolor”, akryl, 1961 r.



Fot. P. Oczko

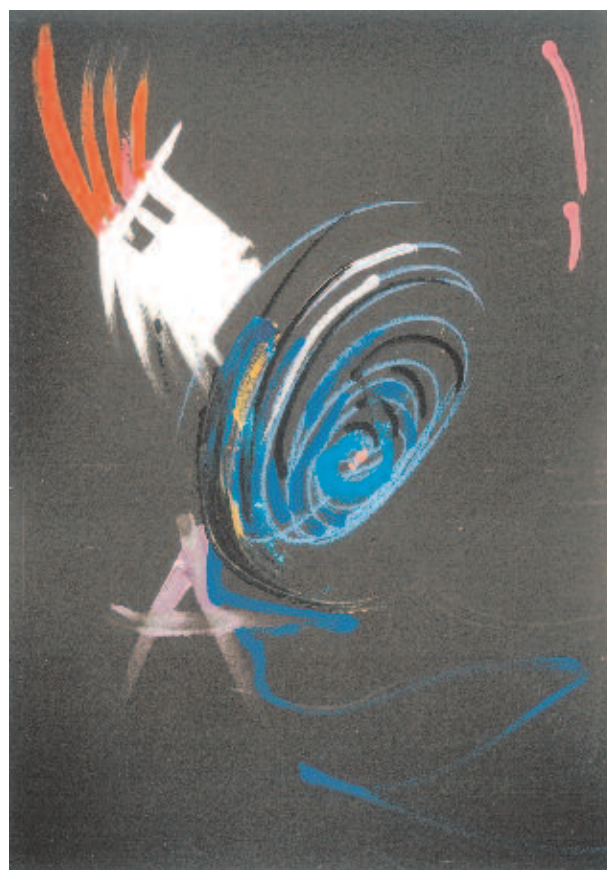
Symposium „Krapkowitz”, 1974 r. Projekty malowideł na fasadę budynku przy rynku miejskim – fragmenty

Fot. P. Oczko



Symposium „Wrocław '70” (osiedle Celina). Projekty obiektów przestrzennych – po prawej autorstwa Romana Nygi, po lewej Jerzego „Jury” Zielińskiego

ROMAN NYGA
Retrospekcja artystyczna
1956-2013
Muzeum Miejskie w Tychach



Z cyklu „Ekspresja – ruch, forma, przestrzeń”, akryl, ok. 2000 r.

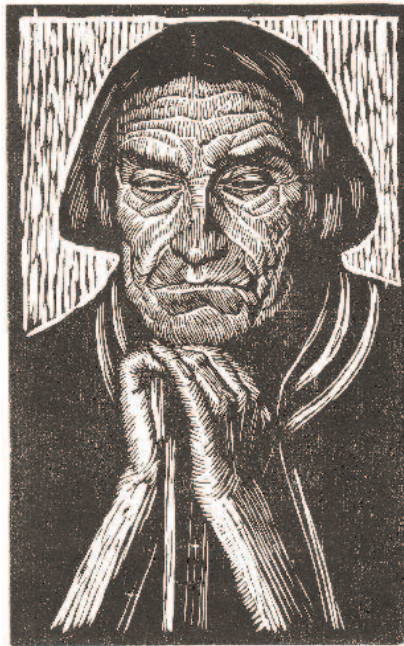
Fot. P. Oczko



Symposium „Krapkowitz”, 1974 r. Projekty malowideł na fasadę budynku przy rynku miejskim – fragmenty



Paweł Steller, *Wodospady u źródeł Wisły*, 1934



Władysław Skoczylas, *Głowa junaka*, 1919



Władysław Skoczylas, *Janosika imię nigdy nie zaginie*, 1914



Paweł Steller, *Z Jabłonkowskich Gór*, 1938



Władysław Skoczylas, *Śpiący rycerze*, 1920

Muzeum Historii Katowic
Władysław Skoczylas
– mistrz Pawła Stellera



Paweł Steller, *Poleszuk*, 1937



Paweł Steller, *Zagroda pszczelarza w Witanowicach*, 1974

Zdjęcia: ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Obaj wychowali się na terenach Galicji, obaj walczyli w I wojnie światowej w austriackiej armii, umiłowali folklor rodzinnych stron, obaj poświęcili życie doskonaleniu trudnej sztuki drzeworytu. Silne osobowości twórcze, wielokrotnie nagradzani i doceniani. Jeden z nich nazwany „ojcem drzeworytu polskiego”, drugi przez pewien czas zapomniany, ale obecnie na nowo odkrywany.

Po raz pierwszy spotkali się w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie Władysław Skoczylas prowadził katedrę grafiki, a Paweł Steller podjął, przerwane przez wojenne losy, studia. Dziś „spotykają się” po raz drugi, dzięki Oddziałowi Grafiki Muzeum Historii Katowic, który zorganizował wystawę prac mistrza i ucznia, jej kuratorką jest Ewa Liszka. Wystawa potrwa do 4 kwietnia.

Władysław Skoczylas urodził się w 1883 r. w Wieliczce. W wieku 18 lat podjął naukę sztuki rzeźbiarskiej w wiedeńskiej Kunstgewerbeschule, a następnie uczył się malarstwa w krakowskiej ASP. Po studiach wiele podróżował, m. in. doskonalili swój warsztat rzeźbiarski w Paryżu pod okiem E.-A. Bourdelle'a, a w pracowni R. Bertholda w Lipsku poznał sztukę drzeworytu. Niedługo potem rozpoczął pracę w Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem. Czas ten zaowocował fascynacją sztuką Podhala, od 1908 r. rozpoczyna się tzw. „okres zakopiański”, który ukazał pełnię jego talentu. Początkowo artysta tworzył w różnych technikach graficznych, by z czasem poświęcić się głównie drzeworytowi. Podobno miała na to wpływ alergiczna choroba rąk, która zmusiła go do rezygnacji z technik metalowych, w których stosowano kwas, ale wydaje się to być tylko jednym z powodów. Drzeworyt, jak żadna inna technika, pozwalał artyście oddać atmosferę ludowej sztuki i wykorzystać również tak bliski Skoczylasowi warsztat rzeźbiarski. Fascynacja kulturą górską przełożyła się na grafiki zgromadzone w „Tece zbójnickiej” i „Tece podhalańskiej”. Ważne miejsce w jego twórczości pełniły też prace o motywach religijnych, mitologicznych oraz ukazujące wiejskie obrzędy, zawody i tradycje. Skoczylas łączył w swoim warsztacie wirtuozyjny sposób opracowywania matrycy z tradycją obrazowania, pochodzącą z ludowych rycin, wzorów i ornamentów.

W 1917 r. artysta otworzył swoją wystawę w Warszawie i odniósł wielki sukces. W rok później podjął decyzję o osiedleniu się w stolicy na stałe. Od 1922 r. kierował tam katedrą grafiki w Szkole Sztuk Pięknych, gdzie jednym z jego wybitnych studentów był Paweł Steller. Inny z uczniów, Konstanty Sopoćko, wspomina swojego profesora tymi słowami: *„Pamiętam dobrze twarde ciosaną twarz, potężną posturę profesora, jego krótkie wykłady i lapidarne korekty. Był małomówny. Tym lepiej można było zapamiętać jego wskazówki. Głosem cichym, ale stanowczym nauczał, jak powinniśmy polubić drewno wyglądo-*

ne, wypolerowaną płytkę miedzi, jak za przyjaźni się z dłutami i ryłkami, które profesor nazywał niezmiennie narzędkami. Nazywaliśmy go Gazdą, chociaż góralelem był tylko z upodobań i do ulubionych tematów graficznych, a nie z pochodzenia. O, widzę go teraz. Stoi obok prasy litograficznej, trzymając w ręku pierwszą odbitkę czyjś drzeworytu. Poważny, rzadko się uśmiechający, w pracowni zawsze serio. Pracownia graficzna z całym wyposażeniem mieściła się w podziemiu. Tam rodziła się współczesna grafika polska, ta sztuka czarno-biała, której echo dzięki wysokie-

Wielki mistrz wielkiego ucznia

mu poziomowi rozeszło się po całym świecie.” W Warszawie Skoczylas prężnie działał na rzecz propagowania polskiej sztuki, należał do grona założycieli Stowarzyszenia Artystów Polskich „Rytm” oraz Stowarzyszenia Artystów Grafików „Ryt”. To spod jego pióra wyszły, tak ważne dla sztuki tego czasu, słowa: *„Nie uznajemy podziału na tzw. sztukę czystą i sztukę stosowaną, marzymy o tym, aby wpływ nasz widoczny był, aby panował na ulicy, wdzierał się zarówno do świątyń, jak i do mieszkania biednego robotnika”*. Brał czynny udział w wystawach i był wielokrotnie nagradzany, m. in. w 1925 r. w Paryżu otrzymał Grand Prix na Wystawie Sztuki Dekoracyjnej, a w 1928 r. zdobył brązowy medal na Międzynarodowej Wystawie Sztuki w Amsterdamie. Zmarł w Warszawie w 1934 r., pozostawiając po sobie imponujący dorobek twórczy.

Kiedy Paweł Steller trafił do pracowni Skoczylasa, miał już ze sobą duży багаż doświadczeń. Urodzony w Ustroniu w 1895 r., młodszy od mistrza zaledwie o 12 lat, miał już ukończoną z wyróżnieniem Państwową Szkołę Przemysłową we Lwowie, gdzie jako jedyny Polak dostał się na wydział malarstwa dekoracyjnego. W 1914 roku kontynuował naukę w Państwowej Wyższej Szkole Przemysłu Artystycznego w Pradze. Wybuch I wojny światowej uniemożliwił mu powrót na uczelnię. Steller został wcielony do armii carskiej. Następnie był słuchaczem Szkoły Oficerskiej w Opawie, ukończył też kursy w Oficerskiej Szkole Mierniczej, dzięki czemu wykonywał dla wojska mapy ze zdjęć lotniczych. Po 1918 r., ze stopniem podporucznika, nie zdecydował się od razu na powrót na studia artystyczne. Był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej na Śląsku Cieszyńskim i po-

święcił się sprawom związanym ze zbliżającym się plebiscytem.

Jego spotkanie z Władysławem Skoczylasem miało miejsce dopiero w 1922 r. Kontakt z profesorem był dla Stellera bardzo ważny. Jak wspomina syn artysty: *Ojciec powtarzał mi zawsze, że poczuł tam nie tylko wielką radość tworzenia, ale i zaufanie do samego siebie, wiarę w to, że jego żywot nie będzie w przyszłości obojętny dla sztuki polskiej. Pracował jak zwykle z szalonym uporem i wytrwałością (...), a zarazem z dumą, że może to czynić właśnie pod kierunkiem tak wspaniałej osobowości (...). Ojca fascynował już wtedy drzeworyt i był szczęśliwy, że od tak znakomitego profesora uczy się trudnej sztuki wycinania w drewnie. Profesor uczył, jak oderwać się od dotychczasowego sposobu malarskiej interpretacji drzeworytu i powrócić do rysunku.*

Po otrzymaniu dyplomu w 1925 r. Steller wrócił na Śląsk. Wybrał prężnie rozwijające się wtedy Katowice, licząc, że w dużym mieście uda mu się współkształtować tamtejsze środowisko twórcze. Od 1925 r. aż do śmierci w 1974 r. żył i pracował tutaj, nie zapominając jednak o swoich rodzinnych stronach. Niezwykle bliskie były mu okolice Ustronia, Beskidu Śląskiego, stąd ich obecność w wielu jego pracach. Stworzył swój indywidualny styl. Pracował tutaj w drzeworycie sztorcowym, który umożliwił mu precyzyjne przygotowanie matrycy i różnorodność wykonywania cięć. Za jedno z jego najznakomitszych prac uważa się cykl odważnych rysunkowo drzeworytów „Typy polskie”, inspirowany portretami wykonywanymi przez Skoczylasa. Były to twarze osób, które Steller znał, ale też i osoby obce, spotykane podczas wędrowek po Polsce, które często długo musiał przekonywać, aby mu pozowały. Wysilek się opłacił, w 1929 r. artysta otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie ogłoszonym przez Związek Artystów Grafików w Warszawie. Jak wspomina syn artysty: *Rozmawiał wtedy ze swoim mistrzem z Akademii, Skoczylasem, który serdecznie mu pogratulował i zwierzył się, że on sam nie miałby odwagi poprowadzić tak długiej kreski. (...) To wielkie uznanie wybitnego artysty nie mogło być dla Ojca obojętne. Wrócił z Warszawy szczęśliwy. Najznakomitszą nagrodą, jaką artysta otrzymał był przyznanie mu w 1937 r. złoty medal w grafice na międzynarodowej wystawie w Paryżu za drzeworyty „Typy polskie”. Prasa francuska nazwała go „polskim Dürerem”. Cichy, skromny artysta, oddający się całkowicie pracy twórczej, do końca swojego życia oddany był Śląskowi i Katowicom. Tutejszym muzeum przekazał też cały swój dorobek.*

Wystawa ta ukazuje wspaniałość prac mistrza Skoczylasa, dając równocześnie możliwość porównania ich z twórczością jego studenta. Z tej perspektywy niewidoczna staje się granica pomiędzy mistrzem i uczniem, pozostał jedynie imponujący dorobek dwóch silnych osobowości twórczych.

MICHALINA
WAWRZYCZEK-KLASIK

Godka uszlachetnia, a co z polszczyzną?

Już w sześciu urzędach śląskich gmin bez obaw można porozmawiać po śląsku z urzędnikami, o czym informują specjalnie tablice powieszone w punktach obsługi petentów oraz naklejki na drzwiach. Czyżby literacka polszczyzna jako język urzędowy miała pójść na Górnym Śląsku w zapomnienie?

Wśród starszych lekarzy – absolwentów Śląskiej Akademii Medycznej a obecnie Śląskiego Uniwersytetu Medycznego – krąży anegdota o naukowcu, który namawiał adeptów medycyny spoza Górnego Śląska do uczenia się miejscowej gwary, żeby w przyszłej praktyce medycznej mogli dobrze zrozumieć to, co mówi do nich po śląsku o swoich dolegliwościach wiekowa staruszka. Żeby słowa starszej kobiety o tym, że „mo ryma i kucio”, wcale nie oznaczały nastroju do układania rymów i siedzenia w kucy przed lekarzem. Kto z medyków poznał dialekt górnośląski, choćby tylko biernie, po takim wywiadzie bezbłędnie diagnozował na co cierpi pacjentka i dobrał odpowiednią terapię. Ten stary dowcip znany jest większości lekarzy pracujących w śląskich przychodniach, podobnie jak gwara, którą mówią – zwłaszcza starsi – autochtoni.

W ośrodku zdrowia w Tworogu zarówno personel medyczny jak i administracyjny nigdy nie miał kłopotów z dogadaniem się z pacjentami posługującymi się śląskim etnolektem.

– Wszyscy znamy i rozumiemy po śląsku – zapewnia księgowa tworogowskiej przychodni.

Na kłopoty w zrozumieniu przez lekarzy jej skarg na coraz bardziej kiepskie zdrowie nie narzeka także 80-letnia pani Emilia, mieszkająca od urodzenia w Tworogu. Na co dzień posługuje się tylko gwarą śląską, którą zna lepiej niż poprawną polszczyznę literacką. Nigdy jednak nie zdarzyło jej się, żeby jakiś lekarz w przychodni nie zrozumiał tego, co mówi. Podobnie jak pracownicy w Urzędzie Gminy.

I dziwi się, że przed wejściem do budynku, w którym urzędują wójt Tworoga,

ga i jego pracownicy oraz obradują radni, urzędnicy wywiesili kolorową tabliczkę informacyjną „Godomy po ślōnsku”. Wywieszka o tej samej treści zawisła też na ścianie sali posiedzeń.

– Czy bydom takie tabule czy nie, jo i tak byda godać – zapewnia staruszka.

Dlaczego zatem decyzję o zawieszeniu tabliczek podjęli gminni radni na sesji 30 września 2013 roku. Wkrótce podobne znaki informujące o tym, że w gminie Tworóg „godają po ślōnsku” staną przy wszystkich głównych drogach dojazdowych do gminy. Wywieszenie tablic to jednak tylko część strategii gminnych władz popierających „wszelkie inicjatywy promujące śląskie tradycje, obyczaje, śląską mowę” – co zostało zapisane w przegłosowanej jednogłośnie uchwale Rady Gminy w Tworogu. W uzasadnieniu uchwały można również przeczytać, iż ostoją regionalizmu jest rodzina. „W śląskiej rodzinie nabywa się wzory zachowań, systemy wartości, normy, odrzuca lub przyjmuje pewne autorytety”. Ale gminni władarze szczególnie nacisk położyli też na edukację. „Los śląskiej mowy leży w rękach «bajtli», stąd duży nacisk na edukację regionalną w naszych szkołach” – skomentował uchwałę Klaudiusz Wieder, zastępca wójta gminy Tworóg na stronie internetowej Urzędu Gminy. Dotychczas regionalne edukowanie polegało w gmin-

nych szkołach głównie na organizowaniu konkursów śląskiej godki, stworzeniu szkolnej izby regionalnej w Boruszowicach i kultywowaniu obchodów barbórki, górniczego święta. Po podjęciu uchwały zapewne zakres regionalnej edukacji zostanie poszerzony nie tylko o tablice informacyjne na rogatkach gminy.

– To depozyt po przodkach, o który trzeba szczególnie dbać – twierdzi Klaudiusz Wieder, wicewójt Tworoga. – Musimy bronić się przed niebezpiecznym, europejskim trendem ujednoczenia. Przecież Europa jest różnorodna a my Ślązacy jesteśmy tego przykładem.

Jak nie po niemiecku to po śląsku

Tworóg, którego władze zadeklarowały promowanie śląskich tradycji, kultury i mowy, chociaż położony na Górnym Śląsku, jest gminą nietypową na tle innych uprzemysłowionych komunalnych wspólnot. Położona w dolinie rzeki Stoły i dorzeczu Małej Panwi przy trasie Katowice-Poznań pokryta w 71,84% lasami z użytkami rolnymi stanowiącymi 22,31% powierzchni gminy liczącej 125 km kwadratowych jest doskonałym zapleczem rekreacyjnym dla mieszkańców terenów uprzemysłowionych Górnego Śląska. Dojazd, chociażby na grzybobranie, ułatwiła przez lata – niestety od ponad roku nieczynna – linia kolejowa z Tamowskich Gór do Opoli. Jak w całej Polsce ubywa w gminie ludności, zwłaszcza młodych emigrujących za chlebem. Jeszcze w 1999 roku 10 gminnych miejscowości zamieszkiwało 8524 osób. Pod koniec 2012 roku mieszkańców było już tylko 7939.

Historycznie gmina przechodziła podobne losy jak cały Górny Śląsk. Wzmianki o pierwszych miejscowościach na jej terenie należących do księstwa bytomskiego i toszeckiego pojawiły się w XIV wieku. W 1417 roku istniała kuźnica w Hanusku na rzece Stole. Tworóg, którego nazwa pochodzi od czeskiego słowa twierdza, powstał w 1530 roku. Ziemie te należały do rodu Collonów, Hohenlohe-Ingelfingen z Koszęcina i Donnersmarcków z linii bytomsko-siemianowickiej. Do większych atrakcji gminy należą pałac, wraz z parkiem, Donnersmarcków w Brynku, w którym mieści się Technikum Leśne, klasycystyczny pałac z XVIII wieku, gdzie znajduje się Urząd Gminy w Tworogu, zalew Brzeźnica i zabytkowe osiedle przy nieczynnej fabryce prochu i papieru w Boruszowicach. Od 1951 roku gmina Tworóg, uprzednio związana ze starostwem gliwickim, należy do powiatu tarnogórskiego.

Po uzyskaniu w 1990 roku przez samorząd terytorialny podmiotowości w gminie odżyły tradycyjne związki z Niemcami, dokąd po II wojnie światowej wyemigrowało wiele rodzin z terenu Tworoga. Nic dziwnego, że ożywioną działalność prowadziła w gminnych miejscowościach organizacja mniejszości



niemieckiej DFK. Jej członkowie wchodzili w skład gminnych władz. Dopiero, kiedy w 2004 roku Polska stała się krajem należącym do Unii Europejskiej, sympatie niemieckie zaczęły zamieniać się w zachwyty śląską odrębnością, za czym poszły hasła o kultywowaniu regionalnej tradycji i śląskiej godki. Obecne władze gminne związane są silnie z organizacjami popierającymi śląską autonomię.

Dlatego nie powinno dziwić przystąpienie gminy do akcji „Godomy po ślonsku”. Z taką inicjatywą oznaczania tabliczkami i naklejkami miejsc, w których można mówić swobodnie śląską gwarą, wystąpiły *Pro Logueta Silesiana*. Towarzystwo Kultywowania i Promowania Śląskiej Mowy w Chorzowie oraz Fundacja Silesia.

– Osoby w domu posługujące się śląską gwarą w miejscach publicznych przechodziły na mówienie po polsku, bo obawiały się, że będą postrzegane jako niekulturalne i niewykształcone. Kiedy widzą naklejkę „Godomy po ślonsku”, wiedzą, że zostaną zrozumiani i nikt nie będzie na nich krzywo patrzył – wyjaśnia cel akcji Rafał Adamus, prezes stowarzyszenia *Pro Logueta Silesiana*.

Propagowanie mówienia po śląsku w miejscach publicznych zapoczątkowane zostało we wrześniu 2012 roku. W ramach akcji w 30 gminach naklejono 15 tysięcy nalepek „Godomy po ślonsku” w sklepach, instytucjach i firmach. Natomiast 120 tabliczek zawisło między innymi w Urzędach Miejskich w Chorzowie, Piekarach Śląskich, Pszczynie, Radlinie, Rudzie Śląskiej oraz w Urzędzie Gminy w Tworogu. Inicjatorzy akcji popularyzującej śląską mowę są zadowoleni z jej przebiegu i mają wrażenie, że trochę ich przerosła.

– Masowy odzew na naszą akcję trochę nas zaskoczył, bo nie spodziewaliśmy się, że ludzie będą naklejać nalepki także na samochodach, a takie często widuje się – dodaje Rafał Adamus.

Parlamentarzyści są za a nawet przeciw

Moce oparcie kultywowanie śląskiej godki znalazło także wśród niektórych parlamentarzystów. Do bardziej aktywnych posłów walczących o sprawę górnośląskie należy Marek Plura, katowicki poseł Platformy Obywatelskiej, który uczestniczył w sesji tworogowskiej Rady Gminy uchwalającej promowanie śląskiej kultury i zawieszanie tabliczek „Godomy po ślonsku”. Ale to nie jedyne działania Plury, znanego przede wszystkim z tego, że złożył w Sejmie RP projekt o standaryzację i kodyfikację śląskiej mowy jako języka regionalnego. Poseł wspiera również wszelkie konkursy, konferencje naukowe oraz imprezy propagujące śląskie tradycje. Działa w Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP.



W Urzędzie Gminy w Tworogu urzędnicy mówią po śląsku

– Język regionalny czy gwara dla każdego z nas jest fundamentem naszej kulturowej tożsamości i spoiwem więzi społecznych. Każdy z nas chce zachować ją od zapomnienia i „rozwodnienia” we współczesnej polszczyźnie – pisał Marek Plura, poseł ku „Polskijmu Syjmo-wi”, w zaproszeniu na konferencję o ochronie języków zagrożonych, jaka odbyła się w Sali Kolumnowej Sejmu RP w Warszawie.

Nie najlepszą opinię o działalności regionalnej ma Maria Pańczyk-Pozdziej, wicemarszałek Senatu RP.

– On nie promuje śląskości, on promuje siebie – mówi z przekąsem senatorka.

Najbardziej zasłużona dla krzewienia gwary śląskiej i regionalnych obyczajów długoletnia dziennikarka katowickiego radia oraz autorka telewizyjnego programu „Sobota w Bytkowie” a także twórczyni organizowanego od 1993 roku konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku” w ogóle dość sceptycznie zapatruje się na rozkwitłe ostatnio liczne inicjatywy kultywujące górnośląską kulturę. Z pobłażaniem traktuje organizacje w rodzaju *Pro Logueta Silesiana*, porównując ich liczebność do kół gospodyń wiejskich. Nie popiera starań o kodyfikację śląskiej mowy jako języka regionalnego. Ustandaryzowana gwara, mająca przecież kilkanaście odmian lokalnych, kojarzy się jej ze „śląskim esperanto”. Dla wicemarszałek Senatu o śląskiej godce powinni decydować językoznawcy a nie politycy oraz ludzie, którzy gwary uczą się i pielęgnują ją w domu.

– Moja opinia o kodyfikacji, o reklamowaniu urzędów poprzez umieszczanie na nich tabliczek z napisem „Godomy po śląsku” jest powszechnie znana. Wyrażam ją bardzo często w swoich programach, wywiadach i felietonach – zaznacza Maria Pańczyk-Pozdziej.

Postawy długoletniej obrończyni śląskości oraz posła Marka Plury, który problemami Ślązaków zajął się dopiero od 2009 roku, są przykładem polaryza-

cji poglądów licznych osobistości śląskiej mowy. Jeszcze do niedawna razem w jury konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku” zasiadali Kazimierz Kutz, Jan Miodek, Maria Pańczyk. Dziś znany reżyser i niezależny senator to w kwestii śląskiej jeden z głównych oponentów znanego językoznawcy i popularnej dziennikarki radiowej. Zresztą gwarowe dywagacje Jana Miodka, który uważa, że śląska godka jest nie językiem lecz gwarą i to zbyt ubogą, żeby wyrazić w niej treści abstrakcyjne stały się przedmiotem ataków m. in. filozofa Jerzego Dadaczyńskiego oraz polemicznych opracowań językoznawczych Jolanty Tambor, profesor z Uniwersytetu Śląskiego, uznającej śląski etnolekt za język regionalny.

Język polski w defensywie

Ala na tle tych naukowych i politycznych sporów z autonomią śląską na dalszym planie istnieje też skrzęcząca codzienna rzeczywistość, jakiej przykładem może być zdarzenie, które spotkało rodowitego Górnoślązaka, młodego polonistę, z racji pełnionego zawodu wyrażającego się nawet w sklepie literacką polszczyzną. I właśnie podczas kupowania w piekarni bułek usłyszał od starszej pani podpierającej się łaską: – Sam się godo zymły.

Zaskoczony zbył uwagę milczeniem i jak niepyszny wyszedł z pieczywem w siatce ze sklepu, który wcale nie oznaczony był naklejką „Godomy po ślonsku”. Oto druga przemilczana strona medalu, rodząca pytanie, czy będziemy się wstydić poprawnej polszczyzny w kraju, gdzie jest urzędowym językiem? Na szczęście wójt Tworoga Eugeniusz Gwóźdź zapewnia na łamach lokalnej prasy, że w jego urzędzie po polsku czy śląsku petenci zostaną obsłużeni zawsze uprzejmie.



W węglu tkwi wielkie gospodarcze bogactwo. Niestety, nie wykorzystujemy go optymalnie dla człowieka i środowiska. Wbrew logice i wiedzy, w dużej części, marnujemy czarne złoto. Bez maksymalnego wykorzystania każdej jego tony. Bez pełnego rachunku ekonomicznego i elastycznego zarządzania węglowymi zasobami. Przy śladowych inwestycjach w węglowe paliwo przyszłości. I z niedostateczną wciąż ochroną powierzchni nad węglem. Zamiast zyskiwać, tracimy. Także nasze energetyczne bezpieczeństwo.

Czy trwająca kilkadziesiąt lat polska batalia o czyste powietrze i unijny pakiet klimatyczny – energetyczny, zarysowany do 2030 roku, wymusi z czasem bardziej ekonomiczne i ekologiczne wykorzystywanie węgla? Z pożytkiem dla gospodarki, przyrody i ludzi?

Polski węgiel wydobywamy w sposób dla środowiska naturalnego – niszczycki. Na Górnym Śląsku widać to najlepiej. Po rosnących górach odpadów; starych i nowych szkodach górniczych; zanieczyszczonym, szczególnie w sezonie grzewczym, powietrzu i skutkach tych zjawisk dla ludzi.

Jest lepiej niż było, mówią reprezentanci górniczej branży. Nikt dziś nie bije socjalistycznych rekordów wydobycia węgla, w ilości 200 milionów ton rocznie. Od 1990 roku jego wydobycie ze 150 mln ton zmalało prawie dwukrotnie.

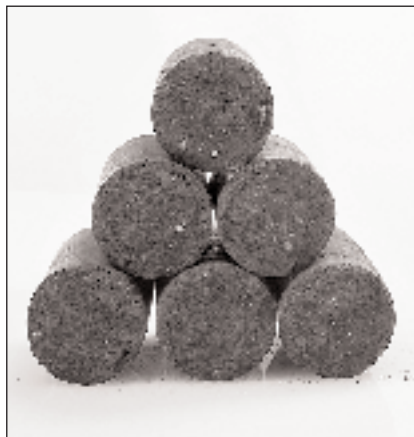
Nie zmienia to faktu, że przy znacznie mniejszym wydobyciu co roku powstaje około 40 milionów ton pogórnich odpadów. Nie wszystkie są wykorzystywane gospodarczo. Większość z nich trafia na coraz wyższe i rozlewające się w gęsto zabudowanej przestrzeni Śląska, hałdy. To często czynne termicznie, samozapalające się bądź pyłące zwałowiska, źródła wtórnej emisji zanieczyszczeń powietrza i wód.

Likwidacja szkód górniczych nigdy się nie kończy. Ciągłe pojawiają się nowe. Zapadliska i zalewiska nie tylko w lasach, zniszczone drogi, pękające domy wpisane są w życie węglowej aglomeracji.

W ostatnich latach górnictwo węglowe wykreowało nowy ekonomiczno-ekologiczny problem. To wydobywane na powierzchnię miliony ton zalegającego węgla (ze względu na wysoką cenę nie można go sprzedać) i jego potężne zwalę w elektrowniach. Sporo polskiego węgla wydobywamy na hałdy. Tańszy, na własne potrzeby, sprowadzany zza granicy. I na surowo spalamy.

Jego udział w produkcji energii elektrycznej wynosi bez mała 90 procent, w ciepłej wynosi 70 procent. Resztę zapewniają różnorodne, odnawialne źródła energii.

Węgiel klasy eko!



Nowe, czyste paliwo węglowe

Sporo węglowej energii ulatuje w powietrze. Śląsk nadal jest zadymiony. W sezonie grzewczym trudno łapać oddech, szczególnie z powodu tzw. niskiej emisji gazowych i pyłowych zanieczyszczeń. Tworzą je mieszanki groźnych trucizn chemicznych. Z dwutlenkiem węgla na czele, podstawowym gazem cieplarnianym. Najbardziej toksyczne dla ludzi są dioksyny, furany i mieszanki wielu innych związków. Wśród nich chlorowcopochodne, rakotwórcze substancje; metale ciężkie; związki siarki i azotu oraz agresywne pyły najdrobniejszej frakcji. Wszystko to wdychamy.

W żywym strumieniu polskich zanieczyszczeń powietrza nieekologiczny węgiel ma największy udział. To sprawca w ponad 80. proc. rocznej produkcji dwutlenku siarki, w ponad 40. proc. - dioksyn i furanów, w podobnej ilości – tlenków azotu oraz niemal połowy emisji pyłowych z wysokich i niskich kominów.

Rosną koszty

Taka nieekologiczna gospodarka energetyczna, oparta głównie o surowy węgiel, zwiększa koszty jego wydobywania i użytkowania. Nazywa się to kosztami zewnętrznymi, które ponosi ostatecznie całe społeczeństwo. Zanieczyszczone powietrze i wody mają szkodliwy wpływ na nasze zdrowie, plonowanie upraw rolniczych, kondycję przyrody i środowiska. Wycena tych strat jest często nie do oszacowania.

Prof. Mariusza Kudelko z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, na podstawie uznanego w świecie naukowego modelu makroekonomicznego, ocenił straty, powodowane spalaniem węgla w polskich elektrowniach na 30 mld złotych rocznie. Stanowi to 2 proc. polskiego PKB i mniej więcej połowę rocznego budżetu Narodowego Funduszu Zdrowia.

W raporcie Europejskiej Agencji Środowiska te same straty wyceniono na 50 miliardów rocznie.

I bez tego obciążenia polski węgiel kosztuje i tak więcej niż zagraniczny. Pozyskuje się go z coraz głębszych, coraz trudniej dostępnych pokładów. Po coraz wyższych kosztach. Ze względu na cenę, już obecnie więcej go importujemy niż eksportujemy.

Według niektórych prognoz, za kilkanaście lat większość spalanej w Polsce węgla będzie pochodziła zza granicy. Z naszego będziemy korzystać w coraz mniejszym stopniu. Upada więc argument, że polski węgiel zapewni nam bezpieczeństwo energetyczne także na przyszłość.

Ekonomiczny rachunek prawdy jest dla górnictwa węglowego bezwzględny. Średnio kilkadziesiąt, tj. około siedemdziesiąt procent kosztów wydobycia węgla pochłaniają płace! Na dodatek tylko jedna z jego wydobytych kilku ton wykorzystywana jest optymalnie. Takie marnotrawne górnictwo trzeba bez końca dotować.

Co dalej?

Przed ponad trzema laty Unia Europejska uznała pomoc publiczną dla nierentownych kopalń za niedozwoloną! Czy grozi nam w Polsce zmierzchnięcie węgla kamiennego? Tak jeśli nie zaczniemy go traktować jako źródło potencjalnej energii ekologicznej, co jest dziś technologicznie możliwe.

Wprowadzane w Polsce z oporami, odnawialne źródła energii (OZE), mogą tylko uzupełniać jej podstawowe zasoby. Zaczynamy powoli doceniać efektywność energetyczną, uznawaną za najważniejszą paliwo na świecie. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej przyniosła ona dotąd kilkaset miliardów dolarów oszczędności, przyczyniając się równocześnie do ograniczenia emisji gazów „szklarniowych”. To oczywiste, że najtańszą energią jest ta zoszczędzona.

Zadnej gospodarki na świecie nie stać na straty, jakie generuje jej branża górnicza. Nasza polska straciła już sporo czasu, nie wykorzystując dotąd na większą skalę technologicznych możliwości produkowania z wydobywanego węgla i jego niektórych odpadów paliw klasy EKO. Chociaż nasi naukowcy i inżynierowie branży górniczej rozpoznają czyste technologie węglowe od kilkadziesiąt lat.

Dopiero jednak za unijne pieniądze powstało w ubiegłym roku w stolicy Śląska świetnie wyposażone Centrum Czystych Technologii Węglowych. To wspólne przedsięwzięcie Głównego Instytutu Górniczego w Katowicach oraz Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla w Zabrze, z całym wielkim dorobkiem tych dwu cenionych placówek.

To wielka szansa dla całego górnictwa, energetyki węglowej i samego węgla. Dzięki wykreowanemu i sprawdzonemu w tym Centrum... innowacyjnym, czystym technologiom spalania węgla, może stać się on paliwem bardziej przyjaznym środowisku. Takim, które spełnia coraz ostrzejsze wymagania środowiskowe Unii Europejskiej, a przede wszystkim chroni ludzi przed zabójczym smogiem.

Wykorzystamy dobrze tę szansę?

Pilna sprawa

To sprawa pilna! Nie tylko dla Śląska. Europejska Agencja ds. Środowiska ogłosiła w minionym roku listę najbardziej zanieczyszczonych miast Starego Kontynentu tzw. pyłem zawieszonym. To najdrobniejsze, stałe i ciekłe, tkwiące w powietrzu cząsteczki pyłu, które tworzą w sezonie grzewczym zabójczy dla zdrowia i życia ludzi smog.

Na tej liście w dziesiątce najbardziej zatrutych smogiem miast Europy, aż sześć pochodzi z Polski. Na trzecim miejscu, po dwu miastach bułgarskich, uplasował się Kraków. Niedaleko za nim znalazły się Gliwice, Zabrze, Sosnowiec i Katowice. Na cenzurowanym miejscu w gronie najbardziej zatrutych jest też Rybnik.

Raport Europejskiej Agencji ds. Środowiska potwierdził tylko diagnozę złej jakości powietrza w województwie śląskim. Tutaj koncentruje się aż czterdzieści procent wszystkich krajowych zanieczyszczeń. To nadal epicentrum zanieczyszczenia atmosfery. Z poprawą sytuacji dłużej zwlekać się nie da.



Zakład Produkcji Kompozytowych Paliw Stałych na terenie kop. „Krupiński”

Kraków w swoim programie ograniczenia niskiej emisji decyzją samorządu ogłosił rezygnację ze spalania węgla. Pewne ograniczenia dla tego surowca zapowiedziały władze Katowice. W branży górniczej zawrzało. Chociaż, to głównie w jej interesie leży zapobieganie marginalizacji węgla w roli naszego podstawowego surowca energetycznego.

Wspólny projekt węglowy

Na początku tego roku na terenie kopalni „Krupiński” w Suszcu, należącej do Jastrzębskiej Spółki Węglowej, w nowoczesnym Zakładzie Produkcji Kompozytowych Paliw Stałych Polskiego Koks S.A. rozpoczęła się produkcja węglowego paliwa nowej generacji. To brykiety produkowane z węgla koksującego kopalń: „Budryk” i „Krupiński”. Już zostały one okrzyknięte wielką nadzieją czystych technologii węglowych.

To wspólny, innowacyjny projekt pięciu podmiotów: Jastrzębskiej Spółki Węglowej S.A., działającej w jej Grupie – Polskiego Koks S.A., Politechniki Śląskiej, zabrzańskiego Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla oraz Stowarzyszenia Klaster Kotlarski.

Powstał dzięki programowi badawczo-rozwojowemu pn. „Czyste powietrze dla Śląska”. Powiódł się także dzięki wsparciu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, który priorytetowo wspiera wszystkie przedsięwzięcia, związane z czystą energią dla Śląska.

Na to rozwiązanie przeznaczył w formie proekologicznej pożyczki ponad dziewięć milionów złotych. Cała inwestycja kosztowała około dwadzieścia milionów.

Rocznie zakład w Suszcu, należący do Polskiego Koks S.A., który stał się z firmy handlowej spółką handlowo-produkcyjną w Grupie JSW może wytworzyć 60 tys. ton węgla, w klasie – EKO.

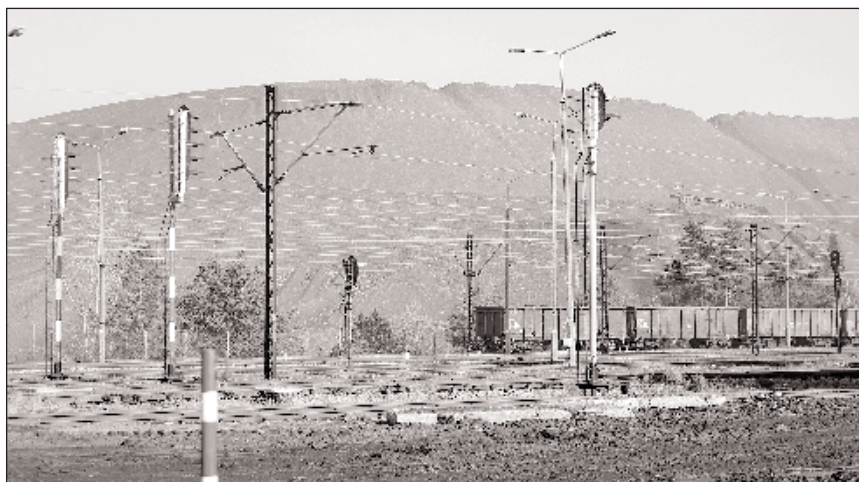
Czym wyróżnia się ten rodzaj paliwa, spośród innych węglowych, zaliczanych potocznie do ekologicznych?

Jego podstawowym budulcem jest floktokcentrat ze specjalnymi komponentami, podporządkowanymi wysokim wymaganiom ekologicznym. (potwierdza certyfikat Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla). Formowane w niewielkie brykiety jest przeznaczone do kotłów z automatycznym podawaniem paliwa. Może być też używane w kotłach tradycyjnych, zastępując węgiel. W sumie więc dedykowane jest odbiorcom komunalnym oraz gospodarstwom domowym.

Ich największym atutem jest bez mała 90-procentowa redukcja zanieczyszczeń. Wśród nich także najgroźniejszych dioksyn i furanów, rakotwórczego benzo-a-pirenu i wszystkich pozostałych. Wyjątkowo niska, bo bliska zeru jest ilość popiołu, jaki powstaje po spaleniu tych brykiet.

Każde, sprawdzone paliwo węglowe klasy „eko” jest pilnie potrzebne. Oby było wykorzystywane w jak największej skali. Dlatego Polski Koks S.A. gotowy jest aktywnie włączyć się w śląski Program Ograniczenia Niskiej Emisji w gminach, które z pomocą Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach dokonały na swoim terenie wymiany kotłów na nowoczesne.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Halda kopalni „Krupiński” czeka na wykorzystanie



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Obłądzenie, kroczyć za mną!

Pierwszy umiera optymizm, po nim miłość, na końcu nadzieja – napisał Ken Kesey jakby na pociechę odwiedzającym śląskie teatry, którzy może i prędko stracili wiarę, pogrzebali miłość, ale ciągle rozdmuchiwali w sobie gasnącą nadzieję, że na naszej głównej scenie pojawi się spektakl zapowiadający zmianę przyjętej strategii estetycznej. Wprawdzie doczekaliśmy się nie tak dawno znakomitego, psychodelicznego w formie i nowoczesnego w wymowie przedstawienia *Mroczna gra albo historie dla chłopców* w reżyserii Henryka Adamka, jakie powstało pod szyldem Teatru Dzieci Zagłębia im. J. Dormana w Będzinie, jednak wydawało się, że to przypadek odosobniony wśród klasycznych, „przyswoitych” (w sensie: ugrzeczniczonych) spektakli, o których można wiele powiedzieć, tylko nie to, że człowieka dotykają. Obietnicy zmiany nie dawało również hasło: *Śląsk święty – Śląsk przeklęty*, z jakim Robert Talarczyk szedł po godność dyrektorską w Teatrze Śląskim; trudno wyzbyć się obaw o granicę szkodliwości wywołanej uderzeniem w martyrologiczne i konfrontacyjne tony. Tymczasem 22 listopada 2013 r. zdarzyła się rzecz niezwykła: na afiszu pojawił się *Lot nad kukulczym gniazdem* w reżyserii Roberta Talarczyka. Spektakl, który wreszcie został zaadresowany do kogoś poza uczniami szkół średnich oraz widzami w średnim wieku, zażywającą rozrywek klasy średniej. Spektakl, który wreszcie może „dotknąć” kogokolwiek i zapaść w pamięć jako ważne doświadczenie kulturalne.

Wzięcie na warsztat legendarne kontrkulturowej książki Kena Keseya, dodatkowo przeniesionej do kinematograficznego nieba przez Miłośa Formana – a takim artefaktem jest przecież *Lot nad kukulczym gniazdem* – wymagało albo wyjątkowej pewności siebie i własnej wizji, albo po prostu tupetu, jeśli wizji nie starczyło. Zarówno literacki, jak i filmowy obraz niezmiennie oddziałuje na masową wyobraźnię, stając się nośnikiem na tyle uniwersalnych treści, że ich wartość nie przemija mimo zakończenia wojny w Korei i Wietnamie i mimo tego, że prawdziwych beatników czy hippisów można już szukać wyłącznie pod ziemią. Więcej nawet – *Lot...* staje się jeszcze bardziej aktualny w naszej epoce utracenia niewinności, gdy coraz trudniej wierzyć w dobroczynnie organizatorską rolę Systemu, który ma za zadanie chronić człowieka przed piekłem nieograniczonej wolności. Mówiąc wprost: tekst jest nośny i potrzebny (co nie pozostaje bez znaczenia, gdy teatry borykają się z trudnościami finansowymi, szukając sposobów na przyciągnięcie widza w swoje podłoże).

Talarczyk naprawdę sporo ryzykował, robiąc ten spektakl, gdyż rezultaty mogły być tylko dwa: albo *Lot...* będzie spektakularną sceniczną kląpą na tle wielkich pierwowzorów, czemu sprzyja bardziej krytyczny osąd ze strony publiki zachwyconej jakimś dziełem, albo spektakl okaże się niespodziewanym fajerwerkim, który jeszcze przez wiele sezonów będzie rozświetlał katowicką scenę. Wariantów pośrednich – brak.

I to był teatralny hazard w klinicznej postaci. A może po prostu przebył proroczego obłądu pomysłodawcy, z jakiego zazwyczaj biorą początek wszystkie wartościowe przedsięwzięcia. Dość powiedzieć, że *Lot...* w Teatrze Śląskim okazał się spektaklem wyróżniającym się na tle innych realizacji, a przez swój potencjał zdolnym przyciągać nawet tych, którzy w dotychczasowej ofercie teatralnej nie znajdowali nic dla siebie.

W przeciwieństwie do *Piątej strony świata*, stanowiącej niezbyt udaną próbę przeniesienia tekstu prozatorskiego na scenę, powieść Keseya na deskach Teatru Śląskiego dostała kolejne życie, stając się parabolicznym protestem przeciwko rzeczywistości – tak po prostu. Umożliwiła to między innymi świetna adaptacja dramaturgiczna dokonana przez Dale’a Wassermana, który potrafił umiejętnie powyciągać z książki takie nitki, by utkać zupełnie nowy arras artystyczny, nie sprzeciwiając się równocześnie duchowi pierwowzoru. Oczywiście, kluczową postacią w spektaklu jest *Randle Patrick McMurphy* (Dariusz

Chojnacki): burzyciel, mściwoda, człowiek antysystemowy, dbający wyłącznie o własne interesy i na tyle sprytny, by udawać chorobę psychiczną w celu ucieczki przed więzieniem. I zgodnie ze swoją naturą tuż po przekroczeniu progu gościnnego szpitala zaczyna sypać piach w tryby dobrze naoliwionej maszyny psychiatrycznej, odslaniając jednocześnie miękkie podbrzusze społeczeństwa. *McMurphy* jest postacią, której podstawowe zadanie polega na tym, że chodzi po szpitalnych korytarzach i nie rozumie, a do tego własnemu nierozumieniu dziwi się w sposób prosty i jawny, wręcz dziecięco naiwny. Dlaczego *Billy Bibbit* (Bartłomiej Błaszczyński) daje się terroryzować własnej matce? Czemu *Dale Harding* (Artur Świąś) żywi poczucie winy wobec świata, pozostając doskonale biernym we własnym życiu? Skąd u *Scanlona* (Wiesław Ślawik) obłąkana myśl, by wysadzić ten cały ziemski burdel w powietrze? Wreszcie: kto dał siostrze *Ratched* (Katarzyna Brzoska) władzę decydowania o tym, kiedy pacjentki mają spać, jeść, rozmawiać, władzę wymierzania boskiej sprawiedliwości, by za dobro wynagradzać, a za zło karać? I co w tym wszystkim robi dyrektor tego cyrku, założony pocieszny *doktor Spivey* (Jerzy Kuczera)...?!

Lot... staje się precyzyjną wiwisekcją organizacji społecznej, gdzie stosunki władzy przenikają każdego człowieka do szpiku kości, uprzedmiotawiając go w stopniu niewyobrażalnym i odbierając mu prawo naturalne do wolności, poszanowania godności i szczęścia. U Keseya nie ma wszakże prostego schematu, w którym dobrzy bohaterowie są ciemiężeni przez złý system, ponieważ wszyscy pacjenci poza *McMurphy*em godzą się na zamknięcie w izolacji oraz cedowanie odpowiedzialności za swój los na innych, wiedzących lepiej, jak żyć wypada. I w zasadzie jest to proces uniwersalny, ponieważ pozostaje kompletnie bez znaczenia, co znajduje się za oknem: świat Johna Fitzgeralda Kennedy’ego czy wielka smuta polskiej rzeczywistości AD 2013; czy przeraża nas zimna wojna, bomba atomowa, mieszczańskie uprzedzenia czy po prostu niepewność dnia powszedniego, brutalny kapitalizm, uzbrojona prawica, niezrozumiała lewica, reżim szkoły, uniwersytetu, fabryki i więzienia etc. I tak samo jak *Billy, Harding* czy *Scanlon* uciekają przed własnym strachem do szpitala psychiatrycznego, tak widzowie kryją się w przestrzeni teatru i sztuki – może po to, by zrozumieć, co Michel Foucault miał na myśli, pisząc, że „obłąd różni się od schorzeń ciała przez to, że objawia prawdę w tamtych niewidocznościach: za sprawą obłądki budzi się wewnętrzny świat złych instynktów, zbrocenia, cierpienia i gwałtu, który przedtem pozostawał w uśpieniu. Szaleństwo pozwala, by odkryła się głębia nadająca własny sens wolności człowieka; ta wydobyta w obłądce na jaw głębia – to złość w stanie dzikim”.

Taki samonapędzający się temat, który wypadałoby pisać przez duże T w moim odczuciu (trzeba bowiem wytrwale przywracać ludziom samoświadomość własnej egzystencji w coraz bardziej odhumanizowanej rzeczywistości) – potrzebował odpowiedniej formy scenicznej, by zaistnieć tak, jak powinien. I pomimo kilku dość poważnych uchybień aranżacyjnych, o których za chwilę, zapropono-

wana realizacja teatralna całościowo broni się znakomicie!

Spektakl rozpoczyna się jeszcze w foyer, wśród wchodzących widzów, gdzie niesforni pacjenci są zganiani przez personel szpitala psychiatrycznego, by wreszcie znaleźli się tam, gdzie ich miejsce: na wielkiej sali obserwacyjnej pod czujnym okiem siostry *Ratched*. Postindustrialne wnętrza, za sprawą Katarzyny Sobańskiej i Marcela Ślawińskiego, odpowiada surowemu charakterowi społecznej trupiami, gdzie przechowuje się bohaterów *Lotu...*, niepełnych ze względu na swoje liczne niedostatki i uszkodzonych przez ogólne niedostosowanie do panujących reguł gry. Widać zresztą w całym spektaklu reżyserski zamysł, by jak najmocniej wybić na plan pierwszy mechaniczujący oraz zdepersonalizowany sposób funkcjonowania szpitala, czemu służą niekiedy pomysłowe rozwiązania, takie jak rozciągnięcie na krzyżu jednego z pacjentów (Zbigniew Wróbel), lub nieco bardziej przewidywalne chwytły, polegające chociażby na budowaniu scenicznego chaosu przy akompaniamencie muzyki (in plus należy policzyć wybranie utworów z repertuarów Metalliki i System of a Down, in minus – brak umiaru, jeśli mowa o głośności).

Ów konsekwentnie realizowany zamysł zapewne stał się również przyczyną zbytniego ujedno-wymiarowienia roli Katarzyny Brzoski, która jako siostra *Ratched* prezentuje kreację zbyt oczywistą. Jednak należy w tym miejscu powiedzieć, że jest to jedna jedyna uwaga krytyczna, którą można z czystym sumieniem zgłosić pod adresem grających, gdyż to, co zrobili na scenie, przechodzi najsmielsze teatralne oczekiwania – przynajmniej na Śląsku. Aż się prosi, by nieprofesjonalnie zamilknąć i tylko powtarzać w zachwyceniu: Boże, jak oni zagrali... W *Locie...* mamy bowiem do czynienia z autentyczną parodą aktorską, popisem sił twórczych i magii wyobraźni. Rzadko się zdarza, by recenzent musiał sobie autentycznie łamać głowę, kogo wyróżnić spośród występujących, by oddać sprawiedliwość tym, którzy na to zasłużyli. W odniesieniu do tego spektaklu należałoby osobno opiewać Dariusza Chojnackiego za udźwignięcie kreacji psychiatrycznego Chrystusa (z oddechem Jacka Nicolsona na karku), Grzegorza Przybyłę za umiejętność grania prawie bez słów, Jerzego Głybinę za roztaczanie aury intelektualizmu, Antoniego Gryzika i Wiesława Kupczaka za wykrowanie najbardziej tragikomicznych postaci w spektaklu...

I tę wyliczankę należałoby przeprowadzić konsekwentnie do końca, ponieważ bez któregośkolwiek z artystów *Lot...* wyraźnie straciłby na wartości. Gra aktorska do tego stopnia jest siłą tego przedstawienia, że pozwala zneutralizować nawet widoczne niedoróbki inscenizacyjne – myślę przede wszystkim o źle skonstruowanej scenie samobójstwa Billy’ego, która wyglądała na skleconą naprędce i jakby niepotrzebna, choć w książce stanowi moment kulminacyjny, oraz o skasowaniu jednego z symboli dzieła Keseya: oderwania umywalki w łazience i wyjścia na wolność *Wodza Bromdena*.

Niezależnie jednak od spraw technicznych, które mają przecież charakter podrzędny wobec całościowej wymowy *Lotu nad kukulczym gniazdem*, trzeba powiedzieć, że Robert Talarczyk stworzył ważny i przejmujący spektakl, tak potrzebny na śląskiej scenie.

Obłądzenie, kroczyć za mną. Bo tylko dzięki temu wciąż pamiętam, że jestem człowiekiem.

MONIKA WYCYKAŁ

Dale Wasserman *Lot nad kukulczym gniazdem*, na podstawie powieści Kena Keseya, przekład: Bronisław Zieliński. Reżyseria i opracowanie muzyczne Robert Talarczyk, opracowanie tekstu: Aleksandra Czaplą-Osliślo, Instalacje, kostiumy Katarzyna Sobańska i Marcel Ślawiński, reżyseria światła Maria Machowska, ruch sceniczny Katarzyna Kostrzewska. Premiera 22 listopada 2013 r. w Teatrze Śląskim w Katowicach

Spektakl „Cinema!” – najnowsza propozycja Teatru Śląskiego w Katowicach – to urocza błahostka. Jeśli ktoś kocha teatr i nieme kino to rzecz w sam raz dla niego – lekka, dowcipna, o wysmakowanej, nawiązującej do fotograficznej techniki sepii, estetyce.

Godzina z okładem, którą wyczarował w Katowicach, stolicy pragmatycznych Ślązaków, włoski reżyser Beppe Navello wraz z grupą przywiezionych z kraju, gdzie cytryna dojrzewa, współpracowników, mija szybciej niż kwadrans. Potem – skoro wieczór w teatrze tak wcześniej się skończył – trzeba go dopełnić w jakiejś miłej knajpce, z kieliszkiem wina i czymś, co nie obciąży zbytnio układu trawiennego, bo będzie

równie lekko strawne i pięknie podane na stół, co ten spektakl. „Cinema!” to przedstawienie, bez którego pewnie żyć można, ale – gdy się je jednak obejrzy – ma się przekonanie, że dodaje ono jednostajnemu życiu urody i niepowtarzalnego smaku.

Katowickie „Cinema!” premierę swą miało w karnawale. Nie przypadkiem. Jeśli oczekujemy dobrej zabawy – będziemy ją mieli. Dostarczy jej gorzko-słodką historię o filmowej gwiazdce (Natalia Jesionowska), jej partnerze – impresario (Wiesław Kupczak), jej adoratorze (Mateusz Znaniński) oraz o ubogiej kwaciarce marzącej o kinowej karierze (Agnieszka Radzikowska) i jej sprytniej i przedsiębiorczej matce (Bogumiła Murzyńska). Gagi, slapstickowe żarty, sytuacyjny humor, estetyka melodramatu i burleski to atuty tej lekkiej w formie propozycji.

„Cinema!” to iluzja kina bez słów. Wielbicie kina będą niezwykle usatysfakcjonowani, obserwując, jak w teatrze można stworzyć iluzję filmu. Na Dużej Scenie Teatru Śląskiego uzyskuje się ją dzięki częstym zmianom planów (od pełnego planu, przez plany amerykańskie, kontrplany aż po półzblżenia) i zmiennemu „kadrowaniu”, które tworzy się za pomocą przesuwania, podnoszenia lub opuszczania czarnych zastawek (brawa dla ekipy technicznej!), a także dzięki niezwykle przemyślanemu operowaniu światłem. Przed każdym kłapsem pojawia się stylizowany napis, z krótkim opisem sce-



Zdjęcia: Krzysztof Lisjak

Seans filmowy w teatrze

TEATR

ny – jak w niemych filmach, gdzie klatka z kilkoma słowami wmontowana w taśmę filmową dopełniała pantomimiczną scenkę. Bardzo istotne są też muzyczne ilustracje scen, świadomie nawiązujące do tradycji występów w sali kinowej tapera, który podkreślał i ilustrował swą grą to, co pokazywane było na ekranie. Złożony z blisko trzydziestu starannie skomponowanych obrazów spektakl jest jednak przede wszystkim uczcą dla tych, którzy cenią w teatrze formę plastyczną.

Ci, którzy dobrze znają historię teatru i kina, będą jeszcze bardziej kontenci. Przewidzenie bowiem może służyć za egzemplifikację tezy, że

był. „Cinema!” pozwoli znawcom historii teatru i kina na odświeżenie swej wiedzy, a tych, którzy do tej pory żyli w nieświadomości co do etapów rozwoju europejskiej sztuki aktorskiej, być może skłoni do jej uzupełnienia. Nawet tak urocza błahostka, jaką jest spektakl „Cinema!”, może poszerzyć nasze horyzonty.

Swój pierwszy spektakl „Cinema!” Beppe Navello wystawił przed siedmiu laty z udziałem włoskich i francuskich aktorów. Został on wyprodukowany przez Fondazione Teatro Piemonte Europa, której celem jest wymiana artystycznych przedsięwzięć między różnymi ośrodkami teatralnymi. Katowicka premiera „Cinema!” powstała jako koprodukcja Teatru Śląskiego w Katowicach oraz Fondazione Teatro Piemonte Europa w Turynie. To spektakl, który z powodzeniem można zagrać na każdej ze scen europejskich. Zespół Teatru Śląskiego ma już zaproszenie na występy we Włoszech.

DANUTA
LUBINA-CIPIŃSKA



Beppe Navello „Cinema!”. Premiera 31 grudnia 2013 r. / 10 stycznia 2014 r. w Teatrze Śląskim w Katowicach. Scenariusz, reżyseria, ruch sceniczny i opracowanie muzyczne – Beppe Navello, scenografia – Francesco Fassone, kostiumy – Brigida Sacerdoti, reżyseria światła – Marco Burgher, przygotowanie projekcji – Mattia Rinaldi.

Śmierć Woody'ego Allena w opracowaniu i reżyserii Waldemara Śmigasiewicza, który wcześniej przygotował w Częstochowie *Mieszczanina szlachcicem* Moliera z Piotrem Machalicą w roli głównej, to druga premiera sezonu częstochowskiego teatru. Jednocześnie opublikowana w tomie *Bez piór* stała się podstawą filmu *Cienie we mgle* (1991), w którym autor zagrał główną rolę, a w Polsce sięgnęły po nią do tej pory trzy teatry nieprofesjonalne. Śmigasiewicz zadeklarował potrzebę odteatralnienia utworu, co miało chyba oznaczać skoncentrowanie uwagi na słowie i jeszcze większe zbliżenie spektaklu do życia.

Śmierć posiadająca wszelkie cechy utworu kameralnego została wystawiona na dużej scenie, co spotęgowało jeszcze zagubienie *Kleinmana* (Adam Hutyra) w świecie, podobnie jak rozmowa o kosmosie prowadzona pośród wieżowców niknących w ciemnościach. Scenograf, Maciej Preyer, za pomocą kilku brył stworzył wielofunkcyjną przestrzeń – to jednocześnie dom-warownia oraz synekdocha miasta. Mieszkanie głównego bohatera jest odcięte od świata żelaznymi drzwiami z wielką ilością zasuwek, a wyposażenie stanowi mebel, będący jednocześnie szafką, łóżkiem i komodą, w której można się ukryć. Współczesna ascetyczna wersja „Gemütlichkeit” klasy średniej nie wygląda zbyt zachęcająco. Natomiast miasto pełne zakamarków i ukrytych przejść, budowane z pionowych płaszczyzn i stert opon, staje się ciemnym i zamglonym labiryntem (co buduje nastrój grozy). W głębi sceny znajduje się pionowa konstrukcja-drabina, przypominająca rozwiązanie z przedstawień Leszka Mądziaka. Nocne miasto ukazuje *Kleinmanowi* nieznaną do tej pory oblicze, obskurne i niebezpieczne. To dogodna sceneria dla ujawnienia ludzkich fobii i nieświadomości. Atmosferę grozy i tajemniczy potęgują pojawiające się znikąd postacie o niepewnej ontologii. Wrażenia uzupełnia muzyka Mateusza Śmigasiewicza, ograniczona chwilami do elektronicznych tonów-sygnarów oraz szepci aktorów.

Inscenizacja sztuki Allena to spektakl zbudowany zgodnie z klasycznymi regułami dramatycznymi (jedność czasu, miejsca i akcji), kolejny atak mordercy zmusza społeczność do działania. W ten sposób *Kleinman* trochę wbrew sobie zostaje wcielony do oddziału Straży Obywatelskiej, a tropienie mordercy ostatecznie przekształca się w podróż ku śmierci.

Schemat fabularny oraz temat sztuki przypomina twórczość Franza Kafki (*Proces* oraz opowiadanie *Przed sądem*), a *Kleinman* okazuje się współczesnym *Józefem K.* z narzeczoną i kochanką, daremnie usiłującym zrozumieć wydarzenia, w które został wtrącony. Na co dzień całkowicie pochłania go praca w korporacji i troska



Fot. Piotr Dłubak

O nagłym i niespodziewanym spotkaniu

TEATR

o awans. Tymczasowo ustrukturyzowany, ale dość przewidywalny świat nagle okazuje się złotą klatką zapewniającą spokojne życie. Bohater nie wie, co dzieje się na zewnątrz zwłaszcza nocą, gdy jak każdy porządny obywatel śpi w swoim mieszkaniu. I oto zostaje wyrwany ze snu, a pukający do drzwi okazują się posłańcami przeznaczenia. Odwołując się do jego sumienia obywatelskiego, koledzy obiecują mu udział w ekscytującej akcji. *Kleinman* ma odegrać w niej ważną rolę, choć ostatecznie nikt nie wprowadza go w szczegóły, a on sam przyjmuje postawę wycekiwania. Podejrzewa nawet, że został wytypowany na przynętę. Tymczasem wśród obrońców porządku publicznego zaostrza się konflikt między frakcjami.

Śmierć istnieje w sztuce na wiele sposobów, ale w życiu współczesnych potrzebuje szczególnego uzasadnienia. Funkcjonuje jako sensacja czy skandal (brutalne morderstwa i nieporadność policji), ale także dość sentymentalna opowieść prostytutki (Agata Ochota-Hutyrka) o śmierci gwiazdy oddalonej od Ziemi o lata świetlne. Poza tym istnieją tu postacie niemal naznaczone śmiercią – jeden ze strażników przeżył śmierć kliniczną, a jednostką liminalną, balansującą między sferą żywych i zmarłych, jest jasnowidz, przywieziony na szpitalnym łóżku i podłączony do kroplówki. To on podejmuje trop mordercy i na podstawie zapachu wskazuje *Kleinmana* jako zabójcę-szaleńca, co omal nie kończy się linczem. W finale serijny morderca zgodnie z oczekiwaniami widzów atakuje raz jeszcze. I bohater widzi w nim niemal swoje lustrzane odbicie.

Sztuka diagnozuje współczesność: mimo braku antidotum, skutecznej strategii zabezpieczającej przed śmiercią, temat ten został zmarginalizowany, wyparty, zamiast więc tradycyjnych alegorii raz po raz przybiera inną postać, upodabniając się do swoich kolejnych ofiar, i jest nieodłącz-

nym cieniem każdej z nich. Wchodzi w szczeliny ich istnienia, wykorzystuje nieuważę, drobne przyzwyczajenia, złe nawyki... *Kleinman* rozważa wprawdzie możliwość śmierci, opuszczając nocą bezpieczne mieszkanie, ale uznaje ją za atrybut starości, konsekwencję zużycia organów wewnętrznych. Według niego, człowiek przypomina maszynę z długoletnią gwarancją. Dlatego śmierci poszczególnie, mieszkańców przywoływanych z nazwiska, potęgują poczucie zagrożenia i przypominają, że walka wciąż trwa...

Istotą przedstawienia, zdaniem reżysera, jest „nieautentyczność istnienia i poczucie utraty tożsamości”. Główne pytanie, z którym muszą zmierzyć się postacie i widzowie, brzmi: *kim jestem?* Modernistyczny człowiek bez właściwości współcześnie przemienił się w człowieka bez tożsamości, nie wie, kim jest i nawet nie jest zainteresowany tą wiedzą. Postacie Allena nie różnią się między sobą. Żyją z dnia

na dzień, zapominając o sprawach zasadniczych, by nagle stanąć w obliczu śmierci. Świat Allena, jak zwykle, łączy groteskę, a aktywność bohaterów zależy od okoliczności i towarzyszących im emocji. *Kleinman* nie potrafi podjąć jakiegokolwiek decyzji, jest zagubiony i wciąż dziwi się światu. Pozostali zdają się równie niejednorodni: zwariowany doktor czy filozofująca prostytutka, choć wszyscy odczuwają równie silnie tajemnicę świata.

Kleinman wielokrotnie pozostaje sam na pustej scenie, co w dawnym teatrze stałoby się pewnie okazją do wygłoszenia monologu, ujawniającego jego światopogląd czy przesłanie dla potomnych, ale Allenowska postać nie ma nic szczególnego do powiedzenia. Taki człowiek na scenie wzbudza śmiech aż do chwili, gdy nie dostrzeżemy w nim siebie. Wówczas to widz musi samodzielnie odpowiedzieć na pytanie o istotę śmierci i w zależności od odpowiedzi przyjąć jedną z możliwości – strach, rezygnacja... Wszak jeśli prawdą jest to, co mówi umierający *Kleinman*, że „jedynym wrogiem jest Bóg”, to wówczas działania człowieka nie powinny koncentrować się na tropieniu mordercy, ale raczej na uporządkowaniu świata, zbudowaniu lepszej koalicji międzyludzkiej, która zastąpiłaby dawną sztukę dobrego umierania sztuką dobrego życia. W każdym razie spektakl częstochowski zarówno z powodu przesłania, jak i doskonałej gry powinien stać się wydarzeniem obowiązkowym.

JOANNA WAROŃSKA

Woody Allen *Śmierć*, przekład – Anna Korylska, opracowanie tekstu i reżyseria – Waldemar Śmigasiewicz, scenografia – Maciej Preyer, muzyka – Mateusz Śmigasiewicz. Teatr im. Adama Mickiewicza, premiera 9 XI 2013.



Kiedy ostatni raz widziałam Wojciecha Kilara, a było to na czerwcowym przedpremierowym pokazie biograficznego filmu *Credo*, nie zorientowałam się, że właśnie się z nami zaczyna żegnać. Ta sama co zwykle pogoda w oczach i uprzejmość w gestach, a uśmiech jak najbardziej obecny. Nie znałam człowieka tak doskonale pogodzonego z życiem, jakim był Kilar w swoim „późnym okresie”. Swoim byciem i swoją muzyką rozjaśniał ciemne strony ludzkiej egzystencji, a i jego znana pobożność nie miała nic wspólnego z przechodzeniem „na tamtą stronę”. „Cieszę się darem życia” – tak kazał zatytułować zbiór wywiadów ze sobą, jaki ukazał się w Krakowie w 1997 roku, i tak już zostało do końca.

XX-wieczni antropolodzy ukuli teorię „stylu późnego”, na podstawie której budowano imponujące biografie. Wszystko prowadziło w nich do ostatecznego spełnienia, a było poprzedzone długim szeregiem znaczących zapowiedzi. Kilka takich biografii nawet się udało; ich bohaterowie zwykle jednak umierali młodo. W przypadku Wojciecha Kilara teoria „stylu późnego” w ogóle się nie sprawdziła. Artysta „domknął” bowiem swoją twórczość już dawno, w latach osiemdziesiątych tamtego stulecia, gdy spektakularnie zrezygnował z poszukiwań legitymizujących fachowość (w tym rozumieniu, jakie otrzymała ona w wieku XX – wieku awangard) i zwrócił się w kierunku muzyki „powszechnej”, przemawiającej do każdego środkami całkowicie zrozumiałymi, wprost wywiedzionymi z europejskiej muzycznej tradycji, przede wszystkim sakralnej. Ponieważ w tej muzyce, jak to wielokrotnie kompozytor powtarzał, chodziło o dotknięcie *sacrum*. Nie dotknięcie uczone, rodzaj spekulacji, jaką jest na przykład muzyka Oliviera Messiaena, ani też pouczające, z jakim spotykamy się u Pendereckiego. To było dotykanie naiwne, franciszkańskie, niemal dziecięce. A zarazem poważne, tak jak poważne może być myślenie dziecka (pierwszy zauważył to Schumann). W przypadku muzyki Kilara liczne wątki prowadzą w stronę tradycji, ale tej tradycji nie próbował on konsumować, „przetrawiać” na użytek swego artystycznego organizmu. Słynne powiedzenie Pendereckiego „wchłonać wszystko, co zaistniało”, w jego przypadku nie miało zupełnie zastosowania. Raczej „być w tym wszystkim, co zaistniało” – i nie przestać być sobą.

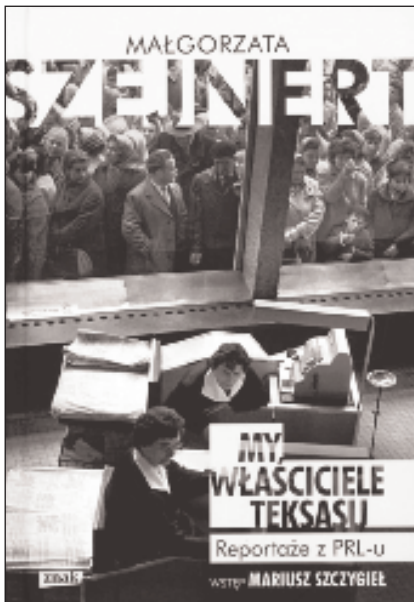
Nabożeństwo żałobne, w którym, dzięki TVP Kultura mogli uczestniczyć wszyscy, było niezwykle uroczyste i po brzezi wypełnione muzyką. Nie czuło się jednak – co czasem się zdarza – by miało charakter koncertu. Pogrzeby-koncerty są bowiem polską specjalnością. Symboliczny był w tym względzie pogrzeb Stanisława Moniuszki w Roku Pańskim 1872. Nie było polskiego muzyka, który by się na nim nie zjawił, grając i śpiewając. Niektórzy (w tym damy prowadzone przez Marię Kalergis) dosta-

pili zaszczytu niesienia trumny. Na ulice Warszawy wyległo całe miasto, nawet ci, którzy nigdy nie byli w operze na przedstawieniu *Halki* czy *Strasznego dworu*. Zabrakło jednak pieniędzy na grób. Ciało kompozytora przez szereg miesięcy czekało na ostateczny pochówek w krypcie kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach, następnie kompozytor spoczął w rodzinnym grobie zbiorowym. Do osobnej mogiły, w miejscu bardziej paradnym, przeniesiono szczątki Moniuszki oraz jego żony Aleksandry, matki dziesięciorga Moniuszątek, w roku 1908. „Za pracę umiłowaną, za kochanie wielkie, za podnoszenie ducha, za szerzenie piękna, za pieśń bratnią – bez poparcia, bez nagrody, bez nadziei na jutro...” – żałkał nad owym nowym nagrobkiem poeta, wspominając typowy los polskiego artysty, który stał się wielkim dopiero po śmierci.

W ciągu stu dwudziestu lat upływających od owego 1908 roku, dokonał się wielki postęp. Dziś nie tylko umiemy stawiać wspaniałe nagrobki swoim bohaterom i dbać, by zawsze – jak grób Henryka Mikołaja Góreckiego, ozdabiały świeże kwiaty – ale potrafimy też cenić ich, zanim odejdą.

Podczas ostatnich trzydziestu lat swego życia, podczas których Wojciech Kilar funkcjonował jako „Słazak ze Lwowa”, doznał od swoich przyszywanym krajanów wielu gestów prawdziwej przyjaźni. Muzycy katowiccy wzięli go sobie za honorowego opiekuna, by nie rzecz zbyt patetycznie – patrona. Bo przecież patronował on, początkowo dyskretnie, potem coraz bardziej jawnie, śląskiemu życiu kulturalnemu, firmował swoim nazwiskiem, a przede wszystkim swoją muzyką tutejsze instytucje i rozmaite inicjatywy. I choć szara willa przy ulicy Kościuszki, w której zamieszkiwał, najpierw z żoną, później już sam, nie była ani muzycznym salonem, ani klubem politycznym, ani bazą szturmową dla jakichś oddolnych ruchów, stała otworem dla wszystkich ludzi dobrej woli. Bo Wojciech Kilar chciał dzielić się z ludźmi dobrem – i taki zostanie zapamiętany.

Po wielkich przeżyciach i wzlotach następuje powrót do codzienności, nieraz dość brutalny, ale tak się złożyło, że dla katowickiej publiczności muzycznej nastąpił łagodnie, w kilku etapach, z których jednym z ważniejszych było wykonanie fragmentów oratorium *Stworzenie świata* Józefa Haydna w Muzeum Archidiecezjalnym (niedziela 19 stycznia, koncert zorganizowany przez Instytucję „Silesia”). Jako motto tego koncertu nasuwają mi się słowa, które wypowiedział nasz ksiądz proboszcz w czasie tegorocznej kolędy: „ktoś musi umrzeć, by ktoś inny mógł się narodzić”. Wielki spektakl narodzin świata: wód, zwierząt i ptaków, na końcu zaś ludzi, mogliśmy przeżyć dzięki czwórce wytrawnych katowickich artystów: w rolę *Archanioła Raphaela* wcielił się baryton Maciej Bartczak, *Gabrielem* była sopranistka Beata Witkowska-Glik, partię *Uriela* śpiewał młody tenor, jeszcze student katowickiej uczelni (w klasie Macieja Bartczaka) Maciej Gomułka, a na fortepianie akompaniował im Wojciech Stysz. Jako że dzieło wykonywano we fragmentach, zaszła potrzeba przeprowadzenia słuchaczy przez najważniejsze momenty treści oratorium. Zadanie to wykonała Bożena Gieburowska-Gabryś, wplatając w swoją opowieść elementy „angelologii”, ujętej nie tylko od strony biblijnej, ale i w aspekcie różnych mitologii europejskich. Zostaliśmy zatem głęboko wprowadzeni w temat, a zarazem w nastrój koncertu. Ów nastrój autentycznie się narodził, o co można było się nieco obawiać, zważywszy, że dzieło było wykonywane w wersji bardzo okrojonej, przede wszystkim pozbawionej partii chóralnych, które przesadzają o specyfice gatunkowej oratorium jako gatunku charakteryzującego się pewnym patosem, nadto zaś potęgą brzmienia. Muzyka Haydna sprawdziła się wszakże doskonale w wersji kameralnej. Uwydatniły się jej cechy klasyczne: prostota, umiar, równowaga środków i treści. Efekty retoryczne stały się mniej wyraziste, co oczywiste w przypadku, gdy partię orkiestrową zastępuje fortepian – instrument o znacząco mniejszej różnorodności kolorystycznej, za to w pełni wystąpiła na światło dzienne melodyjność jako cecha partii wokalnych. Mimo obecności w nich wielu konwencjonalnych układów, tchnęły one świeżością i bezpośredniością wyrazu, co zawdzięczał „papa Haydn” talentem śpiewaków, którzy podjęli się niełatwego zadania. Zgrzyliwcy nazwaliby tę uszczuploną prezentację „muzycznym ersatzem”, słuchacze neutralnie nastawieni – „spektaklem w pigułce”, ja zaryzykuję na jego określenie hasło przeczytane na jakiejś reklamie: „małe jest wielkie”. Niezbyt to oryginalne, ale dobrze mi się komponuje z zapamiętanym efektem, zresztą owa wielkość uwięziona w małej formie to przecież kardynał-na cecha muzycznego klasycyzmu, który reprezentuje dzieło Haydna.



Małgorzata Szejnert: *My, właściciele Teksasu. Reportaże z PRL-u*. Wydawnictwo Znak. Kraków 2013. S. 408.

My, obywatele PRL-u

Ludwik Napoleon Dębicki, urodzony w Grzymałkowie (koło Kielc) oficer oraz uczestnik powstania listopadowego, po deportacji do USA w 1836 roku zaciągnął się do oddziałów teksańskich dowodzonych przez pułkownika Jamesa Walkera Fannina. Po rozbiciu przez generała José Urreę sił powstańców w bitwie pod Coletto polski wojak dostał się do niewoli i został rozstrzelany w miejscowości Gollad. Mocą decyzji kongresu Republiki Teksasu wszystkim weteranom wojny z Meksykiem oraz ich spadkobiercom nadano ziemię. W przypadku naszego rodaka było to blisko pięć tysięcy akrów zlokalizowanych w rozwidleniu rzek Red i Wichita, na którym wiele lat później odkryto pokłady ropy naftowej. Spadek po Dębickim był (i nadal jest!) obiektem zainteresowania ze strony licznych (prawdziwych oraz fałszywych) dziedziców drogiego zmarłego. Próby odzyskania majątku – dziś szacowanego na sumę 10-40 miliardów dolarów – podejmowane jeszcze przed II wojną światową zintensyfikowano w czasach Peerelu, o czym Małgorzata Szejnert nie zapomniła wspomnieć w reportażu patronującym kolekcji jej tekstów druko-

wanych onegdaj na łamach „Literatury” czy „Polityki”.

Wybór siedemnastu, powstających w latach 1969-79 reportaży współzałożycielki „Gazety Wyborczej” to kameralne opowieści o szarych obywatelach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, których losy, choć na pierwszy rzut oka nie wyróżniające się niczym szczególnym, są godne upamiętnienia. Autorka „Czarnego ogrodu” przeprowadza rozmowy z przedstawicielami różnych gałęzi gospodarki, kreśląc indywidualne oraz zbiorowe portrety (nie tylko) przodowników pracy. W tekście „Na samie i na tradycję” przybliży czytelnikom historie ekspedientek (oraz męskiego „rodzynka” w osobie Pana Andrzeja z działu pieczywa) z jednego z warszawskich sklepów samoobsługowych Społem, cyklicznie modernizowanego z myślą o dostosowaniu się do „potrzeb” klienta. Szczegółowo rozpisany harmonogram dnia poszczególnych pracowników zakładu Ursus w reportażu „Codziennie” podkreśla stopień rutyny redukującej pracowników do poziomu automatów, ale stanowi także ważny element refleksji na temat nieustającej walki z przeciwnościami losu, w której nie brakuje miejsca na podnoszenie jednostkowych kompetencji, bynajmniej nie tylko na płaszczyźnie zawodowej.

Historia przedstawiona w reportażu „Zjadacze chleba, nie anioły” intryguje fragmentaryczną narracją (kolejne podrozdziały przyporządkowane są dniom tygodnia wraz z pasującym do nich menu) na temat niepisanej hierarchii obowiązującej w stołówce FSO, ukazując między wierszami sposób działania mechanizmów społecznej kontroli. Problem manipulacji oraz ukrytej manifestacji władzy stanowi również osnowę tekstu „Jeśli się odnajdziemy, to cudownie”, będącego opowieścią o obozach adopcyjnych, na których to same dzieci mają możliwość wybrania dla siebie rodziców, rekrutujących się z kręgu bezdzietnych małżeństw. Przynajmniej tak cały proceder wygląda w teorii – wszak jak udowadnia reporterką, wybór jest ściśle koordynowany przez chłodno kalkulujących pedagogów, a jego moralne konsekwencje często kładą się cieniem na emocjonalnej sferze świeżo upieczonych rodziców oraz ich pociech.

Rozmówcy Małgorzaty Szejnert często zmagają się ze społecznym niezrozumieniem, ba, wręcz niechęcią ze strony otoczenia, przede wszystkim z powodu swojej odrębności lub prób wychodzenia poza obowiązujące schematy społecznych zachowań. Dobrym tematy przykładem jest „Tęsknota za starą sieczkarnią” diagnozująca przypadek pewnego inżyniera-wizjonera, którego technologiczna scheda nie znalazła godnych kontynuatorów. Z kolei materiał pod tytułem „Ulica z latarnią” przedstawia dzieje niewidomej kobiety (matki trojga dzieci), którą pomimo swej niepełnosprawności nie traci wrodzonego optymizmu oraz pasji, pozwalającej bohaterce cieszyć się życiem, które – jak sama przekonuje – doświadcza w sposób niedostępny dla osób zdrowych. Natomiast reportaż „Którędy na orle gniazdo” jest zapisem rozmowy z dyrektorem kwi-

dzynskiego gimnazjum, który wspomina tragiczne losy uczniów i nauczycieli związanych z prowadzoną przez niego placówką, w czasie wojny wywiezionych do obozów koncentracyjnych lub siłą wcielanych w szeregi Wehrmachtu.

Autorka „Śród żywych duchów” po raz kolejny potwierdza swój talent do przedstawiania historii zwykłych, obcych czytelnikowi ludzi w sposób, dzięki któremu wydają mu się o wiele bliżsi. Unikając pokusy literackiej parenezy, Małgorzata Szejnert ukazuje postaci z krwi i kości, niejednokrotnie naznaczone piętnem wielkiej historii, pozwalając nam lepiej zrozumieć ich pragnienia, ambicje, nadzieje i niepokoje, motywacje oraz podejmowane przez nich decyzje. Twórczyni „Wyspy klucza” z powodzeniem, choć w niewymuszony sposób apeluje o szacunek dla ich ciężkiej pracy, wierności poglądom czy godnej pozazdrośczenia niezłomności w codziennych, wieloaspektowych zmaganiach ze „skrzeczącą” rzeczywistością. Co ważne, teksty zebrane w tomie „My, właściciele Teksasu” unikają tendencyjnego obrazowania peerelowskich realiów, rejestrując także chwile jednostkowych radości, entuzjazm płynący ze spełniania prywatnych pasji oraz ostrożnie, aczkolwiek niebezpieczne marzenia o lepszym jutrze.

W rozmowie z bohaterami swoich reportaży Małgorzata Szejnert przyjmuje postawę cierplivej, empatycznej słuchaczki, pozwalając im na swobodną, szczerą wypowiedź, w późniejszym zapisie unikając pokusy wykorzystywania kolokwializmów czy językowych stylizacji na środowiskowe socjolekty. Zbiór „My, właściciele Teksasu” przykuwa uwagę wysokim poziomem tekstów nie naganych pod względem kompozycji, będących przykładem dziennikarskiej synekdochy: mikrokosmos biograficznych historii odzwierciedla społeczno-polityczny makrokosmos dekady wytyczającej narracyjne ramy tomu o uniwersalnym skądinąd przekazie. Przypadki zebrane przez Małgorzatę Szejnert stanowią bowiem utkaną z (mniej lub bardziej) zakamuflowanych aluzji, aczkolwiek pozbawioną jednoznacznych ocen impresję na temat absurdów, dramatów oraz socjotechnicznych manewrów minionego ustroju.

Czytane z perspektywy czasu, opowieści damy polskiego reportażu stanowią także klucz od zrozumienia wielu zjawisk z naszej współczesności przypominając nam, że pod pewnymi względami wcale nie różniemy się od naszych „peerelowskich protoplastów”, a i niejednego mogliśmy się od nich nauczyć. Opatrzona mocno humorystycznym materiałem zdjęciowym kolekcja „My, właściciele Teksasu” doskonale łączy w sobie elementy zaangażowanych *human stories*, historycznego dokumentu, jak również socjologicznej refleksji na temat narodowych mitów oraz skłonności rodaków do kreowania fantastycznych snów o potędze, których nie potrafimy jednak „dośnić” do końca.

PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

Piotr Ibrahim Kalwas, polski pisarz osiadły w Aleksandrii, powraca na rodzimy rynek z kolejną powieścią. W pewnych aspektach *Międzyrzecz* przypomina wcześniejsze dokonania Kalwasa – i tu odnaleźć można wątki autobiograficzne (choć w znacznie mniejszym stopniu niż w *Domu* czy w *Tarice*), rozważania autotematyczne, nawiązania do arcydzieł literatury polskiej i światowej, czy próby kreacji określonego świata oraz odnalezienia się w nim. A to wszystko ujęte w niestandardową formę – gdzieś pomiędzy powieścią, esejem, a powiastką filozoficzną. Jednak mimo pewnych elementów wspólnych, jest w *Międzyrzeczu* pewna świeżość, która stawia tę powieść nieco wyżej od dotychczasowych literackich dokonań Kalwasa.

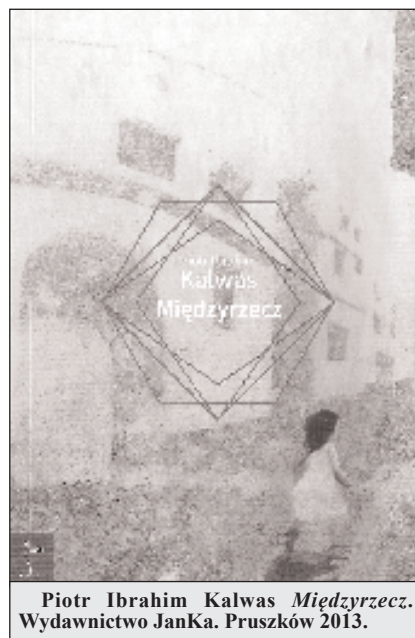
Pod względem fabularnym najnowsza książka autora *Tariki* przedstawia się dosyć prosto, ale zarazem intrygująco. Oto Piotr – *alter ego* autora – siedzący w kawiarni Bliklego na Nowym Świecie poznaje profesora Roberta de Razina, który zleca mu dostarczenie starego greckiego manuskryptu na Wyspy Owcze. Początkowy opór bohatera przełamuje dopiero sówite wynagrodzenie. Po długiej podróży pisarz trafia na wyspę Eysturoy do domu tajemniczego Johana Tordenssona. To osobliwy budynek – pełno w nim dziwacznych sprzętów (jak na przykład zegar, którego wskazówki obracają się we wszystkie strony), ponumerowanych drzwi, okien, luster, poplątanych korytarzy i owiec. Sam gospodarz kilkakrotnie się przemienia – jest postacią enigmatyczną, dosyć demoniczną, niekiedy wchodzi w rolę przewodnika po niecodziennym świecie *Międzyrzeczu* – choć właściwie Piotr musi wszystko odkryć samodzielnie, próbować odnaleźć sens, a może i samego siebie.

Szybko ze wstępu i świata na wskroś realnego (niebezzasadnie Kalwas na samym początku dokładnie określa dzień i miejsce spotkania z profesorem Razinem), bohater (razem z czytelnikiem) zostaje wrzucony na płaszczyznę oniryczną (sama *Międzyrzecz* zaczyna się opisem wciąż powracającego snu, w którym bohater znajduje się w mieście jak z obrazu Georgia de Chirica), a wreszcie w przestrzeń magiczną, znajdującą się zupełnie poza rzeczywistością: „Ten dom był jakby na zewnątrz. Na zewnątrz rzeczywistości. Właściwie nigdy nie udało mi się ustalić, czym dokładnie był. Gdzie i kiedy był; w jakim wymiarze” (s. 24). Dziwaczny dom Tordenssona jest czymś więcej niż pierwszym przystankiem na długiej drodze – to swoisty mikrokosmos, który organizuje przestrzeń całej powieści. Później bohater przeniesie się m.in. do średniowiecznej Brugii, do mrocznego klasztoru-zamku, rodem z Kafki, powróci do krainy dzieciństwa i wakacyjnych wspomnień, czy wreszcie odwiedzi miejsce, w którym rozgrywa się dręczący go sen. W tej podróży nie brakuje literackich

nawiązań – w tekście nieprzypadkowo pojawiają się nazwiska Schulza (najnowsza powieść Kalwasa ma w sobie coś z Księgi znanej z *Sanatorium pod Klepsydrą*), wspomnianego już Kafki czy Borgesa.

Trzeba przyznać, że *Międzyrzecz* to naprawdę zaskakująca proza. Kalwas za nic ma przyzwyczajenia czytelnicze, prowadzi swego bohatera (a także odbiorcę) przez stworzony świat zgodnie z własną logiką. Autor *Tariki* balansuje między kolejnymi płaszczyznami, urywa wątki, opisuje na nowo już przedstawione sceny, pozwala, aby wszystko toczyło się od początku, mnoży znaki zapytania, zdumiewa, intryguje. Jednocześnie powieściowy Piotr wydaje się równie zdezorientowany jak czytelnik, stając się ofiarą przestrzeni, w którą wpadł: „Byłem w zwierciadle jakimś niepojętym; krzywym, czułem tę krzywość, ten nie-świat” (s. 84). *Międzyrzecz* otacza aurą wielkiej niewiadomej. Nie wiadomo nawet, czy wszystko, co opisuje Kalwas, nie stanowi jedynie sennego omamu – jak już wspomniałem, to nie przypadek, że na początku bohater i odbiorca wkraczają w obręb snu i być może w tym śnie już pozostają (sam Piotr nie ma co do tego pewności: „prawdopodobnie nie śnię, tylko piszę te słowa dla ciebie” (s. 12), asekuruje się już na samym początku historii).

Tym, co w najnowszej powieści Kalwasa najistotniejsze, wbrew pozorom nie jest poplątana, dość niepokojąca fabuła, stanowiąca w gruncie rzeczy tylko niezbędny dodatek do całości albo ilustrację określonych tez. *Międzyrzecz* nie jest wyłącznie przewrotną grą z czytelnikiem (choć i to bardzo ważny aspekt tej książki), ale przede wszystkim traktatem na temat pisania, czy, inaczej mówiąc, odważne rzućnie wyzwania tradycyjnym prawidłom powieściowym i twórczym. Piotr Ibrahim Kalwas jako autor organizuje świat przedstawiony, ale również tkwi (czy raczej błąka się) w samym jego centrum (jako własne *alter ego*). Pisarz w tej prozie jest zarazem Bogiem, ale i elementem pozabawionym realnej władzy, podległym innym mechanizmom (Piotr często nie umie się odnaleźć w przestrzeni, do której trafia, a jednocześnie polega na własnej intuicji). Inaczej mówiąc, nad pisarskim światem nie ma się kontroli (inaczej niż na przykład w *Radości pisania* Wisławy Szymborskiej). Sam bohater-pisarz najwyraźniej nie wie, nie tylko do czego ta historia doprowadzi, ale również jaki ma sens (swoistym lejtymotywem staje się kwestia, którą można ująć w formę przewrotnego pytania: „piszę, czy sam jestem pisany?”) Jednocześnie Kalwas mistrzowsko igrza z przyzwyczajeniami czytelniczymi, raz po raz podsuwając mylne wyjaśnienia co do istoty i realności całej opowieści (Piotr pyta Johana: „czy ty mnie piszesz...?” (s. 54), aby później zastanawiać się: „Dzieje się to, czy się pisze?



Piotr Ibrahim Kalwas *Międzyrzecz*. Wydawnictwo JanKa. Pruszków 2013.

Między słowami

A może tylko czyta? A kto czyta?” (s. 186), umniejsza swoją rolę: „to przecież wszystko jest tylko napisane. To tylko tekst na ekranie komputera tamtego faceta na małym patio. Ja to czytam. Ja czytam to, co on pisze” (s. 206), by w innym miejscu stwierdzić: „To tylko sen, gdzieś daleko, w innym czasie i wymiarze. Przecież tak naprawdę leżę teraz w swoim pokoju (...) na wyspie Eysturoy, a może jestem w swoim domu w Aleksandrii i śnię” (s. 112-113)). Pozorne wytłumaczenia, nie tylko nie dają odpowiedzi, ale jeszcze bardziej wszystko wklajają – tym samym zostaje zakwestionowane aprioryczne zaufanie, jakim zazwyczaj obdarza autora czytelnik.

Piotr Ibrahim Kalwas niewątpliwie tworzy wielką literaturę – wymagającą, skomplikowaną, niejednoznaczną, a jednocześnie gruntownie przemyślaną – i najnowsza powieść potwierdza jego pisarską klasę. Pełna niejasności, fałszywych tropów i znaków zapytania *Międzyrzecz* wymyka się wszelkim uogólnieniom, jest jedną z tych książek, które można odkrywać wciąż na nowo i z niesłabnącą satysfakcją czytelniczą. Zaproponowana przeze mnie w niniejszym zskicu ścieżka interpretacyjna jest tylko jedną z wielu możliwych.

MICHAŁ PAWEŁ URBANIAK



Michał Wroński *Zielone pojęcia*, Wydawnictwo Mart-Gra, Rybnik 2013, s. 115.

Zielonemu pojęciu wydawało się, że każdy je ma

Zazwyczaj o zielonym pojęciu mówimy wtedy, gdy jesteśmy przekonani, że go nie mamy. Dzieje się tak w chwili, gdy ktoś zadaje nam pytanie, na które nie potrafimy udzielić odpowiedzi. Często dotyczy to spraw, którymi dotąd nie zaprzętałyśmy sobie głowy. Dopiero konkretna czynność, zagajenie, zwraca nam na nie uwagę. Mówimy wtedy: „nie mam zielonego pojęcia”, a sposób, w jaki intonujemy to zdanie, kryje nutę dziwnego niedowierzania. Z takim właśnie niedowierzaniem odkrywałam *Zielone pojęcia* Michała Wrońskiego. Pokazały mi prawdy oczywiste, ubrane w zaskakująco proste słowa.

Zielone pojęcia to zbiór aforyzmów autorstwa Michała Wrońskiego, wydany niedawno nakładem Wydawnictwa Mart-Gra. Składa się na niego 670 błyskotliwych spostrzeżeń, a sam tytuł nawiązuje do nazwy bloga prowadzonego przez autora – Krainy Zielonego Pojęcia. Warto zaznaczyć, że to już czwarta publikacja wydana przez autora w tym roku. Książeczkę pochłania się jednym tchem, często uśmiechem reagując na prawdziwość wpisu. Jak to u Michała Wrońskie-

go bywa – aforyzmy są czymś w rodzaju chwil spisanych w zeszycie codziennego życia. Takiego życia, które jest udziałem każdego z nas. Stąd i prawdy, które czytamy, są nam tak bliskie, znajome. Najczęściej dotyczą tematów, które przewijają się w całej twórczości pisarza, z którymi stykamy się na co dzień – czasu, chaosu, miłości, kosmosu i natury. Dlaczego zatem nie mieliśmy o nich zielonego pojęcia?

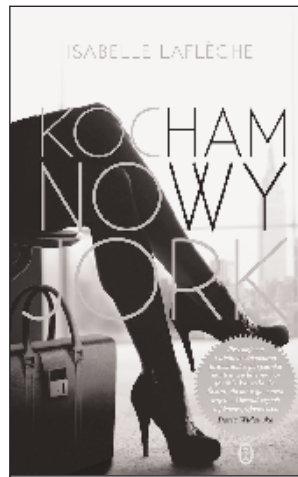
Zdaniem Krystyny Długosz-Kurczabowej z Uniwersytetu Warszawskiego, kluczem do zrozumienia „zielonego pojęcia”, jest kolor, oznaczający niedojrzałość, a zatem również brak doświadczenia, które ułatwiłoby nam znalezienie odpowiedzi. W swoim wywodzie odwołuje się ona do „zielonych lat” z *Ody do młodości* Adama Mickiewicza, a zatem czasów naszej młodości, płochy, choć uskrzydłonej. To czas, w którym nie interesują nas wywody mędrców, dzień dzieje się teraz, nie liczy się wczoraj, a jutro zdaje się bardzo dalekie. Żyjemy szybko i nieuważnie, bez zastanowienia mijamy pędzące chwile.

Ten okres Michał Wroński ma już za sobą, wszedł bowiem w wiek, w którym nie przystoi naiwna beztroška, a na każde z życiowych zdarzeń patrzy się z mądrością stałego bywalca, dokonując krótkiej i trafnej analizy. Dzielać się z czytelnikami swoim zielonym pojęciem, autor nie stawia się jednak w roli moralizatora. Jest jednym z nas, kimś, kto zauważa rzeczywistość, ale traktuje ją z wesołą swobodą. W książeczce znaleźć możemy parafrazy znanych powiedzeń, humorystyczne spostrzeżenia a nawet ironię. „Zdecyduj się: albo chcesz mieć swoje pięć minut, albo wieczność...” – żartuje sobie autor z ludzkiego pragnienia osiągnięcia sławy. W innym miejscu pisze z podobną swadą: „Tak długo pracowałam nad swoim wizerunkiem, że straciłam twarz”.

Podsumowanie samego tomu znalazłam w innym jeszcze aforyzmie. „Zgubiłeś kwit do przechowalni bagażu swoich doświadczeń?” – pyta Michał Wroński. I tym chyba jest przede wszystkim zbiór *Zielone pojęcia* – jasną i przestronną przechowalnią bagażu doświadczeń.

Wszystkich zainteresowanych nowym tomikiem odsyłam na blog autora – do Krainy Zielonego Pojęcia Michała Wrońskiego, www.michalwronski45.blogspot.com.

ADRIANA
URGACZ-KUŹNIAK



Isabelle Lafleche *Kocham Nowy Jork*, Wydawnictwo Literackie, 2013.

Gra pozorów

Młoda prawniczka zostaje przeniesiona z biura w Paryżu do Nowego Jorku. Pracuje w dużej prawniczej korporacji, wyjazd do Stanów traktuje jako szansę na awans i zostanie partnerem. Problem jednak w tym, by to osiągnąć, musi zmierzyć się z wymaganiami nowych współpracowników, zdobyć kolejnych klientów i wypracować odpowiednią liczbę godzin. By temu podołać pracuje od rana do późnej nocy, także w weekendy. Ogranicza w ten sposób znacznie czas prywatny i życie towarzyskie, wszystko zapewnia jej firma. Mała wynajęta kawalerka służy jedynie temu, by od czasu do czasu się w niej przespać. Je na mieście, śniadania zapewnia firma w formie cateringu. W biurze funkcjonuje nawet specjalna walizka z awaryjnym zestawem podróznym, by można było wyjechać do klienta w dowolnym momencie, bez trwania czasu na pakowanie.

Władzę sprawuje tu niepodzielnie Bonnie, bezwzględna kobieta sukcesu, która zleca najszej zapracowanej Catherine na przykład sprawozdanie z działających w okolicy pralni chemicznych, jako że właśnie poplamiała swoją bluzkę... Dziewczyna zagryza zęby i... wykonuje kilkustronicowy dokument na temat działalności owych firm. Jedyną „normalną” osobą jest jej asystent – homoseksualista hinduskiego pochodzenia,

który interesuje się modą – Rickash. To on doradza prawnicze gdzie się zabić i ubrać. Ale przecież Catherine jest Francuzką, dobry styl ma w genach. Zatem gdy pojawia się możliwość pracy dla Diora, jest wniebowzięta. To nic, że zlecono jej jeszcze kilka innych prac, da sobie radę. Znajdzie też czas na romans z bardzo przystojnym i hojnym klientem. Mamy bardzo interesujący obraz środowiska nowojorskich prawników, którzy są podobno najbardziej narażoną na depresję grupą zawodową na świecie. Czy warto do nich należeć? Takie pytanie wciąż zadaje sobie Catherine.

Czy nie brzmi to jak scenariusz serialu *Ally McBeal*? Owszem. Ale sprawy, które prowadzi bohaterka są znacznie dokładniej opisane, co świadczy o tym, że autorka wie, o czym pisze, a jej książka nie dotyczy wyłącznie biurów rozgrywek i skandalików sercowych. W powieści mówi się o lojalności wobec firmy i klienta, ale także o wierności sobie i swoim marzeniom. Catherine jest zdesperowana. Chce odnieść sukces w swojej branży, ale coś jej podpowiada, że czyni to tak naprawdę wbrew sobie, bliski sukces wcale nie sprawi, że stanie się szczęśliwsza. Owszem, będzie zarabiać więcej, będzie bardziej poważana w środowisku prawniczym, ale nawet nie będzie miała kiedy tych pieniędzy wydawać. Szczur wygrywający w wyścigu szczurów na mecie nadal jest szczurem. Catherine postanawia jednak pójść za głosem serca i zmienić swoje życie. Od zawsze interesowała się modą. Pozostaje teraz tylko jedno: poczekać na moment aż odwaga dogoni pasję. To bardzo ładne zdanie przewija się kilka razy. Gdy pojawia się szansa powrotu do Paryża i zmiany pracy, co wiąże się także z nowym związkiem, Catherine przestaje się wahać. Kości zostały rzucone, teraz tylko wystarczy je pozbiierać. O jej kolejnych losach dowiemy się z kolejnej książki: *Kocham Paryż*. Myślę, że warto do niej zajrzeć, by przekonać się, że świat, o którym być może wielu marzy, niewiele ma wspólnego z rajem. Wszystko jest okupione niewdzięczną pracą. Autorka pokazuje to w znakomity sposób, stosując narrację w czasie teraźniejszym, co podkreśla efekt, że wszystko dzieje się niejako na naszych oczach. Nowy Jork jawi się jako miejsce, gdzie pieniądze ogrywa wiadcą rolę, a pokazywanie się w strojach z najnowszych kolekcji znanych projektantów jest jedynym sposobem, by zaistnieć. Wszystko oparte na grze pozorów. Daje to wiele do myślenia, choć to w zamyśle może się wydawać lekka lektura dla kobiet.

KATARZYNA KRZAN

Wydawnictwo Znak postanowiło wznowić książkę *Za dziewiątą falą* pióra Marie Heaney. U podstaw decyzji, by po osiemnastu latach przypomnieć polskiemu czytelnikowi zbiór irlandzkich legend w tłumaczeniu Mieczysława Godynia, leżało zapewne pragnienie uczczenia pamięci zmarłego w ubiegłym roku męża autorki, znanego poety i noblisty – Seamusa Heaney’a (1939-2013). Wybrałam w tym miejscu określenie *uczczenie pamięci*, chociaż dużo odpowiedniejsze byłoby prawdopodobnie *wykorzystanie koniunktury*, która w literackiej biografii pojawia się dwa razy – po otrzymaniu Nobla, ewentualnie innej prestiżowej nagrody, oraz po śmierci pisarza. W drugim przypadku rynek księgarski wypełniają nie tylko reedycje twórczości zmarłego literata, ale również często utwory krewnych i przyjaciół, dla których sytuacja ta staje się okazją do debiutu lub odkurzenia dawno niepublikowanych tytułów.

W przypadku recenzowanego tomu mamy do czynienia z ostatnią możliwością. Wydawca sięgnął po gotowy i znany mu materiał, licząc zapewne na wywołanie u odbiorcy pozytywnych skojarzeń z osobą męża pisarki, co miałyby zagwarantować wysoką sprzedaż nakładu. Taka postawa wydaje się słuszna, gdy oceniamy ją jako element działań marketingowych. Jednak książka nie jest produktem ładnie opakowanym, z dobrą, chwytliwą nazwą. A przynajmniej nie powinna zatrzymywać się na tym poziomie. Niestety poza wspomnianą wyżej przyczyną wznowienia zbioru *Za dziewiątą falą* nie dostrzegłam w tekście żadnych walorów, które potwierdziłyby słuszność decyzji o ponownym wydaniu tej publikacji.

Legendom snutym przez Marie Heaney brakuje przede wszystkim gawędziarskiej narracji. One nie są opowiedziane, a jedynie skatalogowane. Autorka zarejestrowała najważniejsze fakty i osoby, przedstawiając je językiem popolitym, posługując się nielicznymi środkami artystycznego wyrazu, budując zdania w szkolny sposób i wypełniając je nierzadko usterkami stylistycznymi. Czytelnika nie urzeka obrazowość literatury oralnej, z której podania wyrosły, ale osacza go mnogość szczegółów odnotowanych na podobieństwo indeksu osobowego czy przedmiotowego. Odbiorca zostaje zarucony imionami, rzeczami, opisami morderstw i rozmaitych nadnaturalnych czynów irlandzkich bohaterów, ale właściwie nie wie, czemu to wszystko służy. Nie potrafi też ułożyć wycinków rzeczywistości przedstawionej w jakąś jedną, spójną całość. Z powodu sprawozdawczego stylu wypowiedzi, rejestrującego każdy gest, oraz niesfunkcjonalizowania wielu wymienionych detali legendy utraciły swą poetycką lekkość. W miejsce tej ostatniej wkraśli się natomiast ciężenie już

nie ku publicystyce, ale wręcz szkolnemu wypracowaniu. Wreszcie trzeba podkreślić, że w narracji często pojawia się chaos, nad którym trudno czasami zapanować siłą czytelniczej woli.

Oczywiście wszystkie wymienione mankamenty mogą wynikać nie tylko ze słabości warsztatowych Marie Heaney, ale także ze źle opracowanego tłumaczenia. Trudno rozstrzygać tutaj o procentowym podziale odpowiedzialności za niski poziom artystyczny omawianej publikacji.

Lektura zbioru *Za dziewiątą falą* pozostawia jednak w czytającym co najmniej dwie ważne, choć być może mało odkrywcze myśli. Po pierwsze, wszelkie mityczne i legendarne historie są literackim zapisem obserwacji, jakim ludzkość poddaje samą siebie. Wszystkie wojny, bitwy, potyczki, romanse, gwałty, kradzieże, bratobójstwa są niczym innym, jak odzwierciedleniem istoty prawdziwych dziejów świata. Można powiedzieć, że to historia ubrana w mitologiczny, czasami baśniowy kostium. I nie w prawdopodobieństwie wydarzeń czy postaci tkwi ich prawdziwość, ale w tym, że pod poetyckością obrazów ukryta jest wnikliwa ocena lub głębokie przeżucie mechanizmów i prawidłowości odpowiedzialnych za kształt, jaki na co dzień i na przestrzeni dziejów przyjmują relacje międzyludzkie. Powszechność owych mechanizmów odbija się w uniwersalności mitów, legend i baśni. Prawdy przez nie przekazywane są aktualne w każdym czasie i pod każdą szerokością geograficzną. Z tego też powodu opowieści powstałe w starożytnej Grecji i Rzymie, w plemionach Majów, Azteków czy Inków, w kręgu kultury słowiańskiej, germańskiej, romańskiej, anglosaskiej, japońskiej czy hinduskiej mają wiele podobnych elementów. Ludzie zawsze i wszędzie podlegają tym samym prawom psychologicznym i socjologicznym, którym każda kultura próbuje nadać własną formę opowieści mitycznej czy legendarnej, mającej tłumaczyć członkom społeczności otaczający ich świat, jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Po drugie, zbiór Marie Heaney uświadamia czytelnikowi, że dzieje ludzkości to swoista historia przyprawów oraz wpływów wojen i pokoju. To także falowanie miłości i nienawiści, wierności i zdrady, szacunku i ponizienia, prawdy i kłamstwa. Jednym słowem, to ciągle przeplatanie się przeciwieństw, które są nieustannie w opozycji do siebie, dążąc do dominacji lub równowagi sił. Wyrazem owej sinusoidy jest walka dobra ze złem, której nie brakuje również w legendach irlandzkich, chociaż książka *Za dziewiątą falą* przedstawia kraj św. Patryka raczej jako miejsce opanowane przez zło. Takie przynajmniej są opowieści z cyklu mitologicznego, ulsterskiego i fenińskiego. Irlandia sprzed epoki swego wielkiego misjonarza to kraina



Marie Heaney: *Za dziewiątą falą. Księga legend irlandzkich*. Przeł. Mieczysław Godyń. Kraków 2014, ss. 256

Czego uczą nas legendy Marie Heaney?

ciemności. Jak wiele dobra wniosło jej nawrócenie na chrześcijaństwo pokazuje chociażby legenda o dzieciach Lira, zamienionych przez macochę w labędzie. Klątwę dziewięćsetletniego przebywania w ciałach ptaków zdejmuje z rodzeństwa dopiero głos dzwonów kościelnych i ślub króla z Północy z królową z Południa.

Uniwersalizm podań jest jedynym powodem, dla którego warto sięgnąć po publikację Marie Heaney *Za dziewiątą falą*. Poznanie kolejnych ludowych mądrości na temat ludzkiej natury i mechanizmów sterujących historią świata z pewnością przyniesie odbiorcy pożytek. Szkoda tylko, że autorce zabrakło umiejętności snucia opowieści, a jej narracja daleka jest od gawędy. Z tego powodu opowieści Heaney utraciły kontakt z tradycją oralną, z której wzięły początek.

KATARZYNA BERETA

Henryka Wach-Malicka: *Bogumiła Murzyńska. Biografia nostalgiczna*. Wyd. „Śląsk” Spółka z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2014, s. 322.

Z ogromną przyjemnością przeczytałem, bo dobrze to napisane, jednak przede wszystkim ze względu na bohaterkę. Miałem szczęście oglądać w Teatrze Śląskim największe kreacje Bogusi (od słynnej Yvette w *Matce Courage* Brechta w reżyserii Lidii Zamkow), mało tego – współpracowaliśmy przy różnych produkcjach Radia Katowice a także w kabarecie „Śruba”. Z tamtych czasów mam jak najlepsze wspomnienia. Murzyńska była profesjonalistką, ale też świetną „koleżanką z pracy” – inteligentną, z pomysłami, przy tym dowcipną. Jednak dopiero teraz czytając książkę Wach-Malickiej uzmyslowiłem sobie, że w ciągu tych kilku lat współpracy Bogusia praktycznie nie mówiła w ogóle o swoim życiu prywatnym. O teatrze – owszem, o niektórych recenzentach prasowych – tak, ale o rzeczach osobistych nigdy. Dopiero z tej biografii (niekoniecznie „nostalgicznej”, bo sporo w niej anegdot wesołych) dowiedziałem się wielu rzeczy o jej rodzinie, „zwykłym” życiu, jej przyjaźniach.

Iłona Copik: *Pomiędzy Gliwicami a Gleiwitz. Przestrzeń kulturowa miasta w pisarstwie Horsta Bienka*. Wyd. „Śląsk” Spółka z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2013, s. 256.

Ukazanie się polskiego przekładu *Pierwszej polki* Bienka w 1983 roku było – przynajmniej na Śląsku – wydarzeniem. Powieść odchodziła bowiem od – delikatnie mówiąc – stereotypów „piastowska ziemia” albo „niemiecki Wschód”. Pokazywała wieloetniczność i wielokulturowość Śląska. Pokazywała losy ludności pogranicza zawsze doświadczanej przez historię. Iłona Copik analizuje twórczość Bienka w wielu aspektach koncentrując się jednak na „przestrzeni kulturowej” – od mitu Arkadii z czasów gliwickiego dzieciństwa pisarza, aż po śląskie problemy z tożsamością wynikające ze skomplikowanych dziejów tej krainy. Książka jest pracą naukową, bardzo solidnie zrealizowaną, wychodzącą jednak poza literaturę, poza twórczość jednego tylko pisarza. Myślę, że konstatacje i refleksje autorki mogłyby być istotnym głosem w toczącej się dziś dyskusji o Śląsku, wątpię jednak w to, że którykolwiek uczestnik tej debaty z nimi się zapozna.

Czesław Ludwiczek: *W cieniu Domu Prasy*. Wyd. „Śląsk” Spółka z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2013, s. 244.

Książka znanego śląskiego dziennikarza (a także przez ponad 3 lata redaktora naczelnego „Wieczoru”) składa się z trzech części. Pierwsza zatytułowana została „Opowiadania”, choć są to właściwie wspomnienia związane z tytułowym Domem Prasy (ale nie tylko). Znajdziemy tu opis dziennikarskiego życia w czasach realnego socjalizmu, pojawiają się autentyczne postacie z tego środowiska i to „po nazwisku” (z tym, że nie zawsze). Jest to jednak bardziej „podróż sentymentalna” niż pokazanie propagandowej maszyny PRL. W części drugiej „Na reporterskich ścieżkach” dominują teksty związane ze sportem, np. „Podróże z Górnikiem”, czy „Kolacja z Nastase”. W części trzeciej „Reportaże” zamieścił autor reporterskie relacje głównie z podróży zagranicznych. Biorąc pod uwagę czasy, w których Ludwiczek pracował, było tego niewiele. Dla mnie osobiście interesujące była informacja, że to autor *W cieniu Domu Prasy* jako pierwszy „być może” odkrył talent literacki Włodka Paźniewskiego.

Dariusz Węgrzyn: *Od pierwszego strajku do „Trzeciego Szeregu”. NSZZ „Solidarność” Region Podbeskidzie (1980-1983). Opis konfliktu politycznego*. Wyd. IPN Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2013, s. 668.

Tej monumentalnej pracy nie da się omówić w krótkiej nocie. O jej treści informuje rozbudowany tytuł. Blisko 700 stron, nawet jeśli sporą część publikacji wypełniają zdjęcia i reprodukcje dokumentów (od list internetowanych po satyryczne rysunki) to dzieje „Solidarności” tylko w jednym, w dodatku niewielkim wtedy województwie bielskim, przy tym częściowo rolniczym, z enklawami tylko przemysłu. Autor wykonał ogromną pracę przeglądając archiwa, studiując prasę podziemną, zapoznając się z licznymi opracowaniami i świadectwami. Dla mnie, pamiętającego dobrze tamte czasy, najbardziej interesujący był fragment dotyczący „Trzeciego Szeregu”. Po internowaniu przywódców i późniejszym aresztowaniu ich następców, zwykli robotnicy stworzyli tę strukturę, której SB długo nie potrafiło rozpracować. Kapitalne źródło wiedzy o najnowszej historii.

***Czasypismo o historii Górnego Śląska nr 2/2013*. Wyd. IPN Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2013, s. 208.**

Nie szczędzę od dawna pochwał temu periodykowi katowickiego IPN, muszę jednak przyznać, że ten numer nieco mnie zaskoczył, ponieważ jego motywem przewodnim jest... sport. Niby wszyscy wiedzą, że w PRL, czy może raczej we wszystkich krajach tzw. bloku był „polityczny”, przypomnijmy choćby bojkoty igrzysk olimpijskich – ten „ich” i ten „nasz”. W *Czasypisimie* znaleźć można natomiast teksty związane z naszym regionem, które prezentują historię dziś praktycznie zapomnianą albo nawet nie docierającą do świadomości społecznej w momencie dziania się. Ruch Chorzów – klub polski – oskarżany był o „szerzenie niemieczyzny”. Kiedy Górnik Zabrze grał z Manchesterem United (w esbeckiej notatce napisano „United”) cały wysiłek służb skierowany był na to, żeby zachodni dziennikarze nie dowiedzieli się niczego o trwających wtedy rozruchach marcowych. Groteskowe? Tak, ale też warto przypominać, żeby nikt nie powtarzał: „za komunę było lepiej”.

Darek Foks: *Rozmowy z głuchym psem*. [Seria: „Białe kruki, czarne owce”]. Wyd. Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2013, s. 80.

Ten tomik poezji skojarzył mi się z *Widmem wolności* Bunuela. Reżyser w tym filmie trochę (może nawet bardzo) kpi sobie z publiczności albo ją prowokuje. Pocztówki – widz ma prawo tak przypuszczać – pornograficzne, okazują się po chwili widoczkami z zabytkami europejskiej architektury. Ktoś, kto wydaje się bohaterem filmu, nagle znika, a jego miejsce zajmuje postać – wydawałoby się – epizodyczna, by po chwili też przepaść. To może niektórych drażnić. Podobnie jest z wierszami Foksa, który nie prowadzi czytelnika w kierunku przez niego oczekiwany. Ba, czasem prowadzi go donikąd albo wręcz wyprowadza w pole. Mnie ta poezja odpowiada, podoba mi się gra autora z odbiorcą, robijanie liniowego toku myślenia czy oczywistości skojarzeń. Dla przykładu cytuję jeden z wierszy: *Widomo, czego ma się / człowiek trzymać. No, / nie wiem. Zawsze można / wziąć do ręki tę książkę. / Wszystko jedno, gdzie się ją otworzy, / przeważnie jednak w łóżku.*

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Kiedy w roku 1956 trafiłem do budynku przy placu Wolności 2, mieściła się tam Dyrekcja „Domu Książki”, że wszedłem do Pałacu Goldsteinów dowiedziałem się wiele lat później.

Do działu reklamy zostałem ściągnięty z księgarni, której okna wystawowe usiłowałem kształtować trochę inaczej, co zostało zauważone przez przechodzącego tamtędy Dyrektora.

W reklamie na poddaszu powyższego obiektu pracowało już dwoje młodych plastyków Krystyna M. i Staszek B.



Przyjęty z zycziwą rezerwą, starałem się pomysłami dorównywać ich zawodowej biegłości.

Całymi dniami byliśmy zajęci wypisywaniem na brystolu jedno-brzmiających tekstów: „Księgarnia prowadzi sprzedaż podręczników szkolnych”.

Pracy było jeszcze na bardzo wiele dni...

Któregoś dnia wzbogacony wiedzą z innych źródeł, zjawiłem się w pracy z szablonami i żelatynowym walkiem. Pędzle powędrowały do szuflady – ruszyła produkcja.

Już w pierwszym dniu dorównaliśmy normom wypracowywanym przez Wincentego Pstrowskiego w górnictwie.

Moi nowi przyjaciele, zaczęli mnie darzyć wyczuwalnym szacunkiem.

Tygodniowa norma została wykonana, wystarczyło codziennie wydawać po parę sztuk...

W miejsce uwolnionego czasu wprowadzaliśmy atrakcyjniejsze i rozrywkowe formy spędzania etatowych godzin. Szło dobrze, lecz sprawa się rypla...

Ku mojemu zaskoczeniu, zawiodłem pokładane we mnie nadzieje naczałstwa i opuściłem dobrowolnie poddasze pałacu. skąd miałem piękny widok na południową część miasta.

Po latach pałac stał się siedzibą TPPR, miał salę kinową, co dla nas studentów ASP, nie było bez znaczenia, wobec rodzących się planów u Antoniego Halora.

Był to czas istnienia kin studyjnych, w których stawało się możliwe obejrzenie wielu filmów kinematografii światowej inaczej niedostępnych. Antoni wraz z grupą kinomanów utworzył nasz Studencki Dyskusyjny Klub „Kino oko”, i tak w czwartki o 19.00 zasiadałem w sali kinowej pałacu, z którego mnie kiedyś eksmitowano.

Oglądaliśmy wg własnego programu to, czym dysponowało centralne archiwum filmowe ale i obowiązkowo przed każdym programem filmy animowane Pixie and Dixie.

Kiedyś wychodząc z seansu zaważyliśmy w koszu na śmieci plik legitymacji stowarzyszenia, były puste, zabraliśmy parę nie wiedząc jeszcze co z nimi zrobimy.

Pomysł zrodził się już następnego dnia, zaczęliśmy przyjmować członków do stowarzyszenia, obiecując darmowe wycieczki do Związku Radzieckiego, przy znikomych pięciu złotych wstępnego. Po takich obietnicach rychło rozeszły nam się legitymacje a kasa urosła na tyle, by nabyć kilka butelek wina „patykiem pisanego”, miły to był wieczór przyjaciół kraju rad. Popijając, ujawniliśmy oczywisty szwindel z legitymacjami... dowiedzieli się o tym wszyscy nowo przyjęci, z wyjątkiem Witka Bulika, który stronił od pijących wina owocowe i przed czasem opuścił budę.

Następnego dnia Witek w drodze do uczelni wstąpił do TPPR, by upewnić się o terminie wycieczki, jakiz wrócił rozżalony do uczelni po dowiedzeniu się, że takie wyjazdy nie są planowane. A jednak w dwa lata później ruszyliśmy na wycieczkę organizowaną przez stowarzyszenie studentów, trasa nie odbiegała o tej, którą zartem wcześniej kreśliliśmy.

Przypadkiem także, w wycieczce uczestniczyli główni promotorzy dowcipu i szef „Kina oko” Antoni Halor. Witek Bulik wycofał się już w początkach organizacji wycieczki, wężąc w tym ponowny dowcip.

* * *

Edward Niesiołowski, grafik po studiach w Gdańsku zjechał do Katowic, i podjął pracę w Dziale Reklamy w Instytucji z niebłahym rodowodem historycznym.

Chwilę później trafiłem tam i ja. Edek należał do tych, z którymi łatwo nawiązuje się przyjaźnie, to też wkrótce byliśmy dobrymi przyjaciółmi, pomimo pewnej cechy która pozornie zdaje się utrudniać dobry kontakt... Edek był małomówny.

Ta małomówność już w szkole podstawowej stała się anegdotyczna, kiedy nauczycielka zwróciła się głośno do cicho siedzącego Edka: – Niesiołowski nie rozmawiaj...

Z Edkiem się ładnie milczało, kiedy już coś powiedział, mówił z takim pogodnym uśmiechem na twarzy, i sprawiał wrażenie, że to co mówi miał dokładnie opracowanie.

Mieszkał jako sublokator przy ulicy Chorzowskiej, w domu z czerwonej cegły obok niegdyśszego przejazdu kolejowego poniżej dzisiejszego „Silesia center”.

Zapytany jak mu się tam mieszka, rzekł: „W niedzielę, gospodarz wyjmuję z szafy stare radio, odwija z je z pledu i stawia na stole kuchennym, podłącza do sieci, przeszukuje wszystkie stacje od lewej do prawej krawędzi skały, odsłuchawszy sekundowych odcinków: muzyki poważnej, słuchowiska, wiadomości, poradnika ogrodnika, muzyki i aktualności, bajki dla dzieci, pogadanki przyrodniczej o surykatkach, rozmowy o filmie, jazzie latyno-amerykańskim, dyskusji o zdrowej cerze, podwieczorku przy mikrofonie, porad praktycznych dla nowożeńców, zapowiedzi pogody na jutro, reklamy farb i lakierów „Śnieżka”... wreszcie wyłączy je; mówiąc... „Eeeee nic w tym Radiu nie ma, po czym zawija je ponownie i chowa do szafy do następnej niedzieli.

Edek rysował wiele, także do prasy, jego proste rysunki były podobnie lapidarne jak te, które Mieczysław Piotrowski zamieszczał na ostatniej stronie peerelowskiej „Kultury” i „Literatury”...

Wiele czasu spędzał nad wodą jako wędkarz, może wyniósł to z rodzimej Wschowy, wokół której wiele stawów hodowlanych, jeździł także motorynką na pstrągi do Ustronia i innych potoków Beskidzkich. Po jednej z takich wypraw, zapytałem go ile złapał?

– Za rok złapię – odpowiedział Edek – tego się trzeba dłuuuuuuuugo uczyć.

Kiedyś spotkałem go w Chorzowie, a że byłem głodny zaprosiłem do knajpki zwanej „Obywatelska” przy przedłużonej Wolce by zjeść.

Na pytanie co zje, odpowiedział ruchem głowy, że nic. Kiedy zjawił się kelner, rzekłem: – Proszę dwa piwa i dwa razy bigos...

... i trzy bułki – dodał mój małomówny przyjaciel.



Jest drugą w Polsce i pierwszą w województwie śląskim całkowicie skomputeryzowana miejską biblioteką publiczną. Służą temu m. in. system obsługi bibliotek PROLIB i związany z nim moduł elektronicznego katalogu OPAC, za sprawą którego Czytelnicy mogą dokonywać wyboru poszukiwanych pozycji (od 2005 roku wprowadzono nowe karty biblioteczne spójne z tym systemem). Dzisiaj zabrzańska ksiąźnica dysponująca 121, podłączonymi do internetu, komputerami, ma w swojej ofercie powszechny dostęp do katalogu centralnego, specjalne oprogramowanie dla osób niewidzących i niedowidzących oraz różnorodny pakiet propozycji dla wszystkich Czytelników, niezależnie od ich wieku.



Z ŻYCIA
BIBLIOTEK

Z myślą o potrzebach czytelników



Miejska Biblioteka Publiczna
im. J. Fusieckiego w Zabrzu

Logo biblioteki zaprojektowane przez Tymoteusza Rducha.

młodych czytelników organizowane są konkursy: Ortograficzny, Szybkiego Czytania, a także obchody „Światowego Dnia Pluszowego Misia”, akcja „Głośnego czytania w bibliotece” oraz Miejski Konkurs na Inscenizację Utworów Literackich dla uczniów szkół podstawowych, natomiast w okresie wakacji letnich i zimowych „Ferie w mieście” i „Lato w bibliotece”.

Biblioteka podejmuje także samodzielne przedsięwzięcia wydawnicze. Ich plonem stały się pozycje: „Zabrze – moje miasto. Wspomnienia” oraz „Nazwy i patroni zabrzańskich ulic”. W 2010 roku ukazał się album „Nasze Końcycze”, inicjujący serię prezentującą wszystkie dzielnice Zabrza. Kolejny, „Nasza Rokitnica”, trafił do rąk Czytelników dwa lata temu; niebawem ukaze się trzeci album tej serii „Nasze Biskupice”. Wyjątkowość tego przedsięwzięcia polega

Przez bez mała siedemdziesiąt lat istnienia była Miejska Biblioteka Publiczna w stałej awangardzie pełnienia swojej służby – upowszechniania słowa drukowanego w społeczności miasta. Działo się tak od samego początku, odkąd późną wiosną 1945 roku w polskim – od kilku miesięcy – Zabrzu zjawiał się przybysz z Krakowa. Pierwsze kroki skierował do magistratu, oświadczając, że jest wykwalifikowanym bibliotekarzem i chciałby podjąć się misji zorganizowania w mieście biblioteki publicznej. Przyjęto go z otwartymi ramionami. Wytrawny bibliotekarz i bibliofil, długoletni kustosz zbiorów Biblioteki Muzeum im. Czartoryskich, a później ksiąźnicy krakowskiego Muzeum Przemysłowego, Jerzy Fusiecki, był dla ówczesnych władz Zabrza prawdziwym zrządzeniem losu. Coraz częściej bowiem nachodzili władze mieszkańcy domagający się umożliwienia im dostępu do polskiego słowa pisanego. Byli to zarówno miejscowi uczestnicy kursów repolonizacyjnych, jak i ludność napływowa, m.in. wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, repatrianci z Belgii i Francji, pozabawieni swoich domów uchodźcy z powstańczej Warszawy.

Jerzy Fusiecki wraz z grupą skrzykniętych naprędce współpracowników rychło doprowadził do otwarcia Miejskiej Biblioteki Publicznej. Oficjalna ceremonia odbyła się 15 listopada 1945 roku, a dokonał jej wybitny działacz polski na Śląsku, zastępca prezydenta miasta – Franciszek Trąbalski. Stała się więc biblioteka pierwszą po wojnie instytucją kulturalną, która rozpoczęła w Zabrzu regularną działalność.

Początkowo wypożyczalnia (dla dorosłych i młodzieży), czytelnia ogólna i pomieszczenia administracyjne mieściły się w dotychczasowej siedzibie Städtbibliothek przy ul. Wyzwolenia 4. Księgozbiór składał się wówczas głównie z darów i liczył 920 tomów, a korzystało zeń 92 zarejestrowanych czytelników.

Rozwój biblioteki opierał się przede wszystkim na uzupełnianiu jej zbiorów oraz modernizacji istniejącej bazy lokalowej. W rezultacie tych, pełnych determinacji, poczyniń przez całe lata otwierano kolejne filie w każdej dzielnicy miasta. Sieć ta osiągnęła docelowo imponującą liczbę 21 placówek.

Od przeszło dziesięciu lat pracownicy czytelnia ogólnej zajmują się kompleksowym opracowywaniem informacji o Zabrzu, tworząc Katalog Miasta Zabrza w bibliotecznym OPAC-u. Zakończono już prace nad wpisywaniem do bazy artykułów ze wszystkich roczników „Naszego Zabrza Samorządowego” 1994-2013 i „Nowin Zabrzańskich” 1995-2013, trwają – nad rocznikami „Głosu Zabrza i Rudy Śląskiej”. W sumie jest to ok. 31 381 pozycji. Zagadnieniowy katalog „Bibliografia miasta Zabrza” zawiera natomiast ponad tysiąc rekordów dotyczących Zabrza i nie ogranicza się jedynie do zasobów biblioteki.

W ostatnich latach do stałe organizowanych konkursów dopisano nowe inicjatywy: Zabrzańską Wiosnę Poetycką, Zabrzańską Jesień Literacką. Weszły one na trwałe do kalendarza imprez MBP. Dla

na tym, iż o każdej z dzielnic mówią jej mieszkańcy.

W filiach dysponujących odpowiednimi warunkami, przede wszystkim w Filii nr 2 oraz w czytelni ogólnej stale organizowane są wernisaże oraz wystawy prac plastycznych i fotograficznych promujących głównie regionalnych twórców oraz studentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Wśród wielu wydarzeń przywołać należy przede wszystkim spotkania autorskie, m.in.: z Anną Bugnon-Rosset – córką Zofii Kossak i Anną Fenby Taylor – wnuczką wybitnej pisarki, Eustachym Ryłskim, Markiem Nowakowskim, Andrzejem Stasiukiem, Antonim Liberą, Jerzym Illgiem, Wojciechem Tochmanem. Gośćmi Klubu „Agora”, działającego przez lata przy MBP w Zabrzu, byli m.in.: Roman Nowotarski, Roman Kalarus, Kazimierz Kutz, Joanna Rawik – przedstawicielce ogólnopolskiej i lokalnej elity intelektualnej, kulturalnej i politycznej.

Dzisiejsze oblicze zabrzańskiej ksiąźnicy całkowicie odpowiada czytelniczemu potrzebom XXI stulecia. Żadna jednak powszechna digitalizacja czy wszechobecne audiobooki, czy e-booki nie są w stanie zastąpić „ksiąźki z papieru”. Wszelkie techniczne nowinki w tym zakresie ustępują, jak tego dowodzą lata praktyki, inwencji wytrawnych bibliotekarzy i czytelniczemu przyzwyczajeniom.

(ów)



Jerzy Fusiecki wraz ze współpracownikami



Najmłodszy czytelnicy z Przedszkola nr 32 w Filii nr 20 podczas zajęć „Kraina Baśni” w ramach akcji „Cała Polska czyta dzieciom”.



Dzieci podczas lekcji bibliotecznej w czytelni zapoznają się ze starymi drukami



Za pulpitem dyrygentkim maestro Antoni Wit – Katowice, 31 stycznia 2014 roku.

Jubileusz Antoniego Wita

Angelus Wojciecha Kilara i *IX Symfonia d-moll* op. 125 Ludwiga van Beethovena zabrzmiały w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Śląskiej oraz solistów: Małgorzaty Kneć-Ajdukiewicz (sopran), Anny Lubańskiej (mezzosopran), Rafała Bartmińskiego (tenor) i Wojciecha Gierlacha (bas) pod batutą Antoniego Wita, który 31 stycznia świętował w Katowicach swój podwójny jubileusz: 70-lecia urodzin i 50-lecia pracy artystycznej.

Widownię sali „Symfonia” Akademii Muzycznej szczelnie wypełniła znakomita publiczność, która przybyła podziwiać kunszt dyrygentki maestro Antoniego Wita, a także by przekazać Jubilatowi gratulacje i wiele serdecznych słów. Odczytane zostały okolicznościowe adresy od marszałka województwa śląskiego Mirosława Sekuły, prezydenta Katowic Piotra Uszoka, artystów Filharmonii Śląskiej oraz Akademii Muzycznej w Katowicach. Do wszystkich obecnych ze znaną śląskiej publiczności swadą zwrócił się maestro Antoni Wit podkreślając lata, które spędził na Śląsku jako dyrektor Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Wspominał nagrania, jakich dokonał z tymi muzykami – te dla największych światowych firm fonograficznych, jak i np. do filmu „Pan Tadeusz”, z którego pochodzi słynny we wszystkich dziś szkołach średnich polonez Wojciecha Kilara. Z kolei dyrektor naczelny Filharmonii Śląskiej Mirosław Jacek Błaszczyk przypomniał, że Antoni Wit przewodniczył w 2012 roku jury Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, który odbywa się Katowicach.

Koncert odbył się w przeddzień urodzin Antoniego Wita. Za kilka dni dyrygował koncertem w wykonaniu swojego ostatniego „etatowego” zespołu – Filharmonią Narodową w Warszawie.

Antoni Wit jest profesorem dyrygentury Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, Z wieloma orkiestrami na całym świecie dokonał nagrań, których sprzedaż sięga niemal pięć milionów egzemplarzy. Jest dyrygentem gościnnym wielu orkiestr, m.in. w Hiszpanii i pełni funkcję dyrygenta honorowego Filharmonii Krakowskiej, z którą rozpoczął swą wielką, światową karierę dyrygenta.



Gratulacje i wiele serdecznych przyjacielskich słów od Mirosława J. Błaszczyka.



List od prezydenta Katowic Piotra Uszoka przekazała wiceprezydent Krystyna Siejna.



Prof. Tomasz Miczkę – dzisiejszego rektora Akademii Muzycznej Antoni Wit zapamiętał szczególnie ciepło – jako muzyka NOSPR.



Jubileusz – maestro Antoni Wit znowu w Katowicach.

(wk)



BOLESŁAW POLNAR (1952-2014)

Absolwent ASP w Krakowie, malarz, grafik, scenograf, nauczyciel malarstwa i rysunku w Liceum Plastycznym im. Jana Cybisa w Opolu. Autor ponad stu wystaw indywidualnych, krajowych i zagranicznych (m.in. Czechy, Niemcy, Francja, Belgia, Włochy, Szwecja, USA), współautor również wielu wystaw zbiorowych. Laureat prestiżowych nagród artystycznych, ikona opolskich środowisk twórczych, przyjaciel literatów, plastyków, aktorów, muzyków i dziennikarzy, których twórczość wspierał: m.in. ilustrując książki i tomiki poetyckie, organizując w autorskiej galerii BP Atelier, liczne wystawy i spotkania autorskie. Artysta znakomity, otwarty i serdeczny, wobec otaczającego świata i ludzi, wśród których żył i dla których tworzył. Świetny portrecista, subtelny narrator intymnych spotkań i onirycznych relacji między mężczyzną i kobietą. Podarował modelkom nieśmiertelność, sam życia zachować nie zdołał, odszedł nagle i przedwcześnie podczas pracy w atelier, i artystyczne Opole opustoszało. Pozostawił nam swoje dzieła, wielkoformatowe obrazy i niewielkie rysunki, zabawne, urzekające, z nutą autoironii, przyciągające magią kolorów, dzieła skrywające tajemnice sztuki, która przyciąga, intryguje i stawia najważniejsze pytania o sens naszego istnienia.



jw



Koncert zespołu „Musica Wena” podczas wernisazu malarstwa Bolesława Polnara w Parlamencie Europejskim (Bruksela 20 IX 2011 – Sala Yehudi Menuhina) podczas dni kultury Województwa Opolskiego.

Chyba, że Pan Polnar...

Johann Wolfgang von Goethe w rozważaniach o estetyce wyróżnił trzy grupy twórców sztuk pięknych. Pierwsi, kopiści, sprawnie odtwarzali obraz świata, postrzegali rzeczywistość, ale nie zdołali wyjść poza lustrzane odbicie. Drugi, nadawali odwzorowaniu indywidualną manierę, która potwierdzała ich przynależność do właściwego cechu. Zaś tylko nieliczni wybrańcy Muz zdołali wzniesić się na wyżyny artystycznych osiągnięć, tworząc swój niepowtarzalny styl. Niewątpliwie do tej trzeciej grupy należał Bolesław Polnar (1952–2014): malarz, rysownik, scenograf, pedagog szkolnictwa artystycznego. Odszedł nagle podczas pracy w atelier i kiedy wiadomość o jego śmierci obiegła lotem błyskawicy miasto i region – opolski świat kultury, nauki i sztuki ogarnął smutek. Na wzgórzu opolskiego Nekropolis przybyły tłumy znajomych i przyjaciół, aby pożegnać Artystę. Wicher szarpał koronami drzew i zaczął chłodem, ale słońce przebijało się przez chmury, cień i światło, czarne ptaki przelatwały ponad kamiennym lasem, a w dole galeria figur naszkicowanych kreską Bolka. Przystanęli nieruchomo: plastycy, literaci, muzycy, dziennikarze, nauczyciele, profesorowie, byli uczniowie i poeci. Dwie znajome aktorki stanęły w milczeniu z różą w dłoni – tym razem niczego nie grały. Spoglądały jak znikąd odkryty kobiercem kwiatów w kolorach malarzkiej palety, zwieńczonej pąkami szkarłatnych róż, skrywających tajemnice mistyki i astrologii. Ostatnie pożegnanie, jeszcze jedna malarska scena, składająca do zadumy nad losem Artysty, który zmaga się z wieloma żywiołami, aby podarować innym kilka okruszków piękna. Pełnił wyjątkową rolę w opolskim środowisku, wszechstronnie uzdolniony, aktywny na wielu polach działalności twórczej i animatorskiej. Był cenionym malarzem, grafikiem, autorem wielkoformatowych płócien i miniatur, spontanicznie narysowanych na kartkach czy serwetkach przy kawiarnianym stoliku. Nie był skupiony tylko na własnym ego, wielokrotnie wspierał i popularyzował dokonania innych twórców. Prowadził autorską galerię BP Atelier, gdzie organizował wystawy i spotkania autorskie. Jego malarstwo zawsze przyciągało uwagę publiczności zarówno tej w Parlamencie Europejskim w Brukseli, jak i mieszkańców Opola mających niewielki kontakt ze sztuką współczesną. Do rangi anegdoty urosło już zdarzenie związane z sondą uliczną, przeprowadzoną przez dziennikarzystę regionalnej rozgłośni radiowej, kiedy pewna Opolanka przechodząca deptakiem na pytanie – czy w stolicy województwa żyją znani artyści – odpowiedziała: nie, tutaj nie ma żadnych artystów, no chyba, że pan Polnar!

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Skwer Ireny Lehr

Od uroczystości pod pomnikiem Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego rozpoczęły się obchody 91. rocznicy powołania I Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech z siedzibą w Opolu. Uczestniczyli w niej przedstawiciele władz samorządowych miasta i województwa (wiceprezydent Opola Krzysztof Kawalko, przewodniczący Rady Miasta Roman Ciasnocha, Barbara Kamińska – członek Zarządu Województwa Opolskiego) oraz potomkowie i spadkobiercy tradycji Rodłaków z kraju i zagranicy, przedstawiciele świata nauki i kultury (m.in. profesorowie UO: Dorota Simonides, Franciszek Marek, Janina Hajduk-Nijkowska, dyr. Muzeum Śląska Opolskiego Urszula Zajczkowska). Następnie w kościele św. Trójcy (klasztor franciszkanów) opolski biskup pomocniczy ks. Rudolf Pierskała odprawił mszę św. w intencji Rodłaków. Po jej zakończeniu, zgodnie z uchwałą Rady Miasta Opole, skwer przy skrzyżowaniu ulic Minorytów i Zamkowej otrzymał imię Heleny Lehr – jednej z najwybitniejszych postaci Związku Polaków w Niemczech, dziennikarki i organizatorki Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. W czasie II wojny światowej była ona więziona w obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrück, zaś po wojnie pracowała jako redaktorka Zachodniej Agencji Prasowej i Redakcji Programów Polskiego Radia dla zagranicy. Blisko współpracowała z Edmundem Osmańczykiem i do końca życia prowadziła w swoim domu w Warszawie archiwum Rodła; utrzymywała żywe kontakty z Opolszczyzną, gdzie miała wielu przyjaciół. Tablicę z nazwą skweru odsłonił syn i wnuczka. Rocznicowe obchody zakończyło okolicznościowe spotkanie przyjaciół Rodła w opolskim ratuszu, podczas którego prof. Janina Hajduk-Nijkowska przedstawiła sylwetkę Ireny Lehr. O problemach funkcjonowania współczesnej polonii w Niemczech mówił Kazimierz Głowacki z Mannheim, prezes Związku Polaków w Niemczech, który gościł w Opolu na zaproszenie władz miasta i opolskiego oddziału stowarzyszenia Wspólnota Polska.

Premiery na opolskich scenach

Opolskie teatry wystawiły dwa premierowe spektakle, które wzbudziły zainteresowanie krytyki i publiczności. W Teatrze im. Jana Kochanowskiego Paweł Świątek podjął próbę adaptacji „Rękopisu znalezionej w Saragossie” (starsi pa-

miętają znakomitą ekranizację filmową Wojciecha Jerzego Hasa z 1964 r.). Reżyser sięgając do wątków osiemnastowiecznej powieści Jana Potockiego, opowiedział o fascynacji obcymi kulturami i odmiennością obyczajową w świecie zdominowanym przez religię. Uwagę widzów przyciągała efektywna scenografia Marcina Chlandy. Spektakl będzie reprezentować gospodarzy podczas zbliżających się Ogólnopolskich Konfrontacji Teatralnych – Kłasyka Polska. Natomiast na scenie Opolskiego Teatru Lalki i Aktora, Paweł Aigner wyreżyserował sztukę „35 Maja albo jak Konrad pojechał konno do Mórz Południowych”, napisaną (przed II wojną światową) przez niemieckiego autora Ericha Kästnera (prześladowanego w czasach hitlerowskich, jego książki były palone). Przedstawienie opowiada historię chłopca, który ze stryjem i zaprzyjaźnionym koniem Nagietkiem wyruszają w daleką podróż. Autor zawarł w nim podwójne przesłanie – pierwsze dla młodego widza, a drugie dla starszej widowni, skryte i aluzyjne, niosące przestrogi przed totalitaryzmem i bezwzględny światem dorosłych.

Epoka e-czytelnictwa

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu była organizatorem międzynarodowej konferencji „Epoka e-czytelnictwa. Nowe wyzwania bibliotek w Polsce i w Europie”, wzięli w niej udział naukowcy i bibliotekarze z Polski, Niemiec, Czech, Słowacji, wśród których znaleźli się przedstawiciele partnerskich bibliotek gospodarzy. Wykładowcy podzielili się wynikami badań i doświadczeniami w zakresie wykorzystania najnowszych narzędzi przekazu informacji oraz udostępniania księgozbiorów. Zgodnie podkreślano, że coraz większa liczba czytelników i użytkowników zasobów informacji korzysta z różnych urządzeń mobilnych (smartphonów, ipadów, tabletów itp.). Nosząc je przy sobie, w każdej wolnej chwili mogą sięgać po czasopisma i książki w wersji elektronicznej. *Jeszcze przed kilkoma laty mało mówiło się o digitalizacji zbiorów, a dzisiaj to sprawa oczywista, dlatego wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom naszych czytelników* – powiedział podczas inauguracji konferencji Tadeusz Chrobak – dyr. WBP w Opolu. Potwierdził to gość z Nadrenii-Palatynatu, Christoph Mayr – wicedyrektor Biblioteki w Spirze (Speyer), przedstawiając informacje o działalności konsorcjum *onleihe-rip.de*, skupiającego sieć największych bibliotek tamtejszego kraju związkowego. Konsorcjum posiada ponad 15 tys. pozycji licencyjnych i w ubiegłym roku wypożyczyło blisko 216 tysięcy publikacji. Blanka Snopkova – wicedyrektor Biblioteki Naukowej w Bańskiej Bystrzycy stwierdziła, że rozwój elektronicznych wypożyczalni na Słowacji hamuje surowe prawo autorskie. Ułatwiony jest dostęp do zbiorów zagranicznych, natomiast, aby studiować literaturę rodzimą czytelnik nadal musi odwiedzać biblioteki i przeszukiwać katalogi. Zgodnie podkreślano zalety e-czytelnictwa: całodobowy dostęp do katalogów z każdego miejsca, gdzie jest dostępny Internet, bez kar, opłat i zbędnych formalności.

Jednym zdaniem

■ Podczas kolejnego spotkania z cyklu „Twarze Opola” wspomniano prof. dr. hab. Wiesława Lesiuka, wybitnego historyka regionalistę, związanego z opolskimi instytucjami naukowymi i muzeami, jego zasługi wspominali m.in. prof. Michał Lis, dr Czesław Wawrzyniak, prof. Stanisław Senft.

■ Pierwszą szkolną salę kinową w ramach Pracowni Filmoteki Szkolnej otwarto w województwie opolskim dzięki wsparciu finansowemu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, uczniowie Liceum Ogólnokształcącego oraz mieszkańcy Kluczborka będą mogli teraz nieodpłatnie oglądać ponad 100 filmów zaliczanych do klasyki polskiej kinematografii.

■ Podczas obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych w nyskim Bastionie św. Jądwi zaprezentowano wystawę „Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość w służbie Niepodległej”, przypominającą przemyślane karty historii.

■ Paczkowski Dom Plastyka nadal będzie działał w kamienicy na tamtejszym rynku, porozumienie Burmistrza Paczkowa i Starosty Nyskiego, który przekazał gminie 110 tysięcy zł. na prowadzenie tej placówki, zakończył długotrwałe protesty środowisk artystycznych i mieszkańców miasta przeciw likwidacji Domu Plastyka.

■ Wernisaż Iwony Polnar przyciągnął do opolskiej Galerii Panaceum tłumy publiczności, malarza wystawiła pejzaże, które stanowią pokłosie jej rowerowych wycieczek.

■ W Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu-Lambinowicach odbyły się warsztaty historyczno-plastyczne pt. „Obrazy, które mają swoją historię”, podczas których dzieci z opolskich świetlic zapoznały się z przykładami prac malarzskich, które powstały w obozach jenieckich Wehrmachtu w latach 1939–1945, a także wojennymi losami ich autorów.

■ W prywatnym Teatrze Eko Studio w Opolu po raz siódmy zorganizowano „Zimowy Las Sztuki” – prezentację prac artystów z województwa opolskiego, na której wystawiono malarstwo, rzeźbę, grafikę, fotografię, szkło artystyczne, ceramikę i witraże, w przestrzeni teatralnej ze światłem i scenografią, urządzoną przez dyrektora teatru Andrzeja Czernika.

■ Podczas koncertu „Flamenco z Kadyksu” na scenie Filharmonii Opolskiej wystąpił artyści flamenco: Pepe de Pura, Jose Acedo Morales i Maria Moreno, jedna z najlepszych tancerek młodego pokolenia, laureatka wielu międzynarodowych konkursów.

Profesor Jan Miodek laureatem nagrody „Zasłużony dla polszczyzny”

„Prof. Jan Miodek został laureatem nagrody **Zasłużony dla polszczyzny**. Wręczyła mu ją małżonka prezydenta Anna Komorowska podczas gali „Ojczysty – dodaj do ulubionych” w warszawskim Teatrze Polskim, w Międzynarodowym Dniu Języka Ojczystego, który przypada 21 lutego” – głosił oficjalny komunikat Polskiej Agencji Prasowej.

Od wielu lat możemy szczeni się tym, że co miesiąc jedną z kolumn naszego piśma oddajemy do dyspozycji profesorowi Janowi Miodkowi. Wielu naszych Czytelników rozpoczęła lekturę piśma od felietonu Laureata, ciesząc się one ogromną popularnością, bo i dzieje się w nich tak wiele.

Panie Profesorze zespół redakcji „Śląska” serdecznie gratuluje nagrody! Jesteśmy dumni, że w Pana dorobku znajdują się także felietony ukazujące się w cyklu „Śląska ojczyzna – polszczyzna”. W każdym z nich umysławia Pan Profesor mieszkańcom, często niewielkich, miasteczek, jak ważną rolę w rozwoju ojczystego języka odgrywają, z pozoru nie mówiące, nazwy miejscowości, przywołuje Pan źródło ich pochodzenia, sytuuje w wielowiekowym procesie kształtowania się języka ojczystego. Poddaje Pan także analizie, objaśnia etymologię, tłumaczy regionalne zawiłości często już zanikających zwrotów gwarowych. Śląskie słowa określające najprostsze czynności, zjawiska, opisujące stan ducha czy materii – pisze Pan o nich z miłością i sentymentem, podkreślając ich ważny, wręcz niezbędny wkład w rozwój wielkiego, złożonego języka ojczystego. Ileż w tych prostych słowach przechowanej historii, ileż zawiłości i zakrętów – od czasów najdawniejszych po współczesność. Jak doskonale Pan potrafi do wartościować, właśnie poprzez pokazanie owych niuansów i zależności. Dzięki Panu można zachwycać się owymi nawet najskromniejszymi przyrostkami, przedrostkami czy rdzeniami...

Pana comiesięczne wykłady o języku na łamach „Śląska” zdają się – na szczęście – nie mieć granic. Niespożyte są źródła, z których czerpie Pan inspiracje do kolejnych felietonów.

To Pan, Profesorze, najpiękniej nam tłumaczy na czym polega niezwykłość słowa „polszczyzna” i dlaczego jest bliższe sercu niż „język polski”.

Nagrodę „Zasłużony dla polszczyzny” ustanowił prezydent Bronisław Komorowski przed trzema laty, aby uhonorować osoby mające szczególne zasługi w podnoszeniu świadomości językowej Polaków. Prof. Jan Miodek jest jej trzecim laureatem, w poprzednich latach nagrodzono prof. Walerego Pisarka i prof. Jadwigę Puzyninę. W uzasadnieniu przyznania nagrody prof. Miodkowi podkreślono, że zajmuje się on badaniem języka polskiego od 45 lat, jest znanym popularyzatorem wiedzy o języku polskim, a także twórcą popularnego hasła „Ojczyzną-polszczyzna”. My dodamy: i hasła „Śląska ojczyzna – polszczyzna”!

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

Sobótki, moje i palmy...

Jak długa może być palma wielkanocna? Komu stawiano *maja*? Kiedy palono *sobótki*? Odpowiedzi na te pytania znajdziemy na nowej wystawie Muzeum Miejskiego w Tychach pt. „O palmach, sobótkach i moju. Obrzędy i zwyczaje okresu wiosennego w Tychach i okolicy”. Wystawa została otwarta 8 marca w siedzibie głównej muzeum. W czasie wernisażu odbył się pokaz zdobienia kraszanek w wykonaniu Teresy Drapały z Tychów i Leszka Jęczmyka z Katowic. Autorką wystawy jest Agnieszka Szymula, kustosz w Dziale Etnologii: – *Wystawa ilustrować będzie obrzędy i zwyczaje okresu wiosennego w Tychach i okolicy, m.in.: czas Wielkiego Postu, okres Wielkanocy, obchody dnia Zielonych Świątek i Bożego Ciała. Fotografie i eksponaty prezentowane na ekspozycji ilustrować będą okres od lat międzywojennych do współczesności. Założeniem wystawy jest pokazanie, co z tradycyjnej kultury ludowej rodzinnych mieszkańców przetrwało do dzisiaj i co się zmieniło w porównaniu z latami trzydziestymi ubiegłego wieku. Ekspozycja potrwa do kwietnia 2014 roku.*

Fot. A. Szymula



Boże Ciało, 2006 r.

Pod patronatem „Śląska”

Górnośląskie kroszonki 2014

Organizowany już po raz 25. konkurs na górnośląskie kroszonki skierowany jest do dorosłych mieszkańców województwa śląskiego. Prace oceniane będą w czterech kategoriach według technik wykonania: techniką rytonniczą (drapane), wykonane techniką batikową (pisane woskiem), wykonane innymi tradycyjnymi technikami (np. oklejane) i wykonane nowatorskimi technikami zdobienia. Głównymi kryteriami oceny prac będą walory artystyczne i estetyczne oraz, w trzech pierwszych kategoriach, ze względu na zachowanie tradycyjnych technik i wzorów zdobienia. Za najlepsze prace konkursowe przyznane zostaną nagrody finansowe. Jury może przyznać dodatkowe wyróżnienia niezależnie od ilości i poziomu artystycznego prac.

Jednym zdaniem

■ Promocja książki Mirosława Słomczyńskiego pt. „Kamerzysta. Telewizyjne epizody i historyczne zdrapki”, której bohaterem jest Mieczysław Chudzik znakomity operator obrazu związany z katowickim ośrodkiem telewizyjnym, autor zdjęć do niezliczonych reportaży i filmów dokumentalnych oraz fabularnych, wielokrotnie nagradzany na krajowych i zagranicznych festiwalach filmowych, odbyła się w Bibliotece Śląskiej.

■ Na koncert „Karnawał z muzyką wiedeńską” w wykonaniu Ewy Majcherczyk (sopran), Michała Marcola (skrzypce), Marcina Mogiły (fortepian) zapraszała do MDK „Kosztutka” Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ W bazylejskiej o.o. Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach odbył się koncert Jana Kalinowskiego (wionolczela) i Michała Białki (organ), zorganizowany przez Opium „Silesia”.

Otwarcie wystawy pokonkursowej i ogłoszenie wyników nastąpi 29 marca o godz. 11.00, w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu. Wystawa trwać będzie do 4 maja 2014 r.

Ślązacy w latach 1914-1918

Zwany Wielką Wojną pierwszy konflikt zbrojny w skali światowej, oznaczał nie tylko działania zbrojne prowadzone na froncie, lecz także piętno odcisnięte na życiu codziennym matek, żon i dzieci. Wystawa zatytułowana „Wojna od frontu i od zaplecza. Ślązacy w latach 1914-1918”, przygotowana w ramach międzynarodowego projektu *Traces of 1914*, prezentuje I wojnę światową „od frontu i od zaplecza”. Bohaterami ekspozycji są Ślązacy pochodzący z różnych środowisk społecznych, deklarujący różną tożsamość narodową. Łączy ich jedno – wszyscy przeszli przez traumatyczne doświadczenie wojny totalnej. Myślą przewodnią są słowa Wiesława Myślińskiego: „Wojna mieszcząca, zrównuje, chłop czy filozof – wszyscy są do umierania”. Na wystawie oprócz okopów powszechnie kojarzonych z działaniami zbrojnymi w czasie I wojny światowej, zobaczyć można m. in. dom bogatych mieszczan i robotniczą kuchnię, fragmenty szkolnej kroniki z Bogucic, a także udamy się z wizytą do lekarskiego gabinetu czy atelier fotograficznego.

Współtwórcami ekspozycji są uczniowie III Liceum Ogólnokształcącego w Gliwicach, którzy zaangażowali się w poszukiwania eksponatów w swoich rodzinnych miejscowościach. Okazało się, że strychy i piwnice powiatu gliwickiego wciąż kryją prawdziwe perełki, które w muzeum zagospodzą jedynie w czasie wystawy. Od prywatnych właścicieli udało się wypożyczyć między innymi inkrustowaną macicą perłową, maszynę do szycia sygnowaną przez firmę Frister & Rossmannu czy niezwykle cenny porcelanowy talerz Imari z pięknymi dekoracjami naskalnymi. III LO wypożyczyło natomiast archiwalia związane z Wincentym Styczyńskim.

Nie lada atrakcją jest makietka myśliwca Fokker DR-1, należącego do słynnego asa I wojny, urodzonego w dzisiejszej dzielnicy Wrocławia i związanego ze Świdnicą, Manfreda von Richthofena. Makietka, wykonana w skali 1:6 w Modelarni Powiatowej LOK w Łędzinach, dzięki półprzezroczystemu poszyciu pozwala na przyjrzenie się precyzyjnie odwzorowanym szczegółom konstrukcji.

Wystawa wzbudziła duży odzew wśród prywatnych kolekcjonerów.

Wystawę można zwiedzać do 29 czerwca 2014 roku. Kuratorem wystawy jest dr Joanna Knapik.

Fot. Muzeum Śląskie



Mężczyzna w mundurze służb sanitarnych, Koenigshutte, ok. 1914.

■ Z kolei w Sali „Parnassos” Biblioteki Śląskiej koncertowali Beata Witkowska-Goik (sopran), Oskar Jasiński (tenor) i Halina Mansarlińska (fortepian), wykonując arie i duety z popularnych operetek Lehara, Kalmána i J. Straussa.

■ Galeria Miejskiego Ośrodka Kultury w Zabrze oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na wystawę Krzysztofa Golucha pt. „Przelamując stereotypy”.

■ Galeria Łakomscy, Centrum Kultury Śląskiej Pałac w Nakle Śląskim oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na wystawę Krzysztofa Millera i Marka Wesolowskiego pt. „Twórcy Kultury Śląskiej”.

■ Muzeum Śląskie wzbogaciło swoją ofertę wydawczą o niezwykle interesującą pozycję: „Lale, misie, koniki... Zabawki w zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach” z tekstem Krystyny Piernikiewicz-Pieczko i Małgorzaty Paul.

Odeszli...

HALINA HOLAS-IDZIAKOWA (1916-2014)
7 lutego br. odeszła wielka osobowość, Wielka Dama śląskiej fotografii – Halina Holas-Idziakowa. Urodziła się 15. czerwca 1916 roku we Lwowie. Była członkiem ZPAF od 1950 roku, leg. nr 53. Od 1985 roku – członkiem honorowym. Tytuł AFIAP posiadała od 1965 roku. W 1969 roku odznaczona Honorową Odznaką Rzemiosła Śląskiego. W 2012 roku otrzymała nagrodę za całokształt twórczości oraz za upowszechnianie dóbr kultury, a w szczególności za wieloletnią działalność na rzecz Okręgu Śląskiego ZPAF. W 2006 roku, na potrzeby zbiorowej wystawy okręgowej „Autoportret” napisała swój życiorys artystyczny: „Najpierw mnie uczono – Tata. / Potem uczyła się sama. / Potem uczyłam innych – dzieci moje i cudze. / Potem marzyłam, żeby uczyć. W chwilach wolnych usiłowałam utrwalić moją wizję świata.”

Zajmowała się fotografią artystyczną i reklamową. Jej zdjęcia pokazywane były na wystawach w Londynie, Rio de Janeiro, Paryżu i Pekinie. Jedną z ostatnich wystaw, w której wzięła udział były „Dokumentalistki” w warszawskiej „Zachęcie” w 2008 roku.

Była symbolem Katowic: pracownia fotografii Haliny Holasowej – Idziak i jej męża Leonarda Idziaka – także zwanego fotografa – przez wiele dziesiątek lat znajdowała się przy ulicy Staromiejskiej. Rodzina Holasów tę pracownię przejęła w 1887 roku.

Fotografią była zajęta do ostatnich chwil życia. Drobną, zawsze uśmiechniętą, zapracowaną, nieraz przemierzającą kilka piętér w kamienicy przy ulicy św. Jana, gdzie swoją nową siedzibę miał katowicki ZPAF.

20 lutego 2014 w Galerii Katowice ZPAF przygotował spotkanie: „Halina Holas-Idziakowa – wspomnienie”.

Fot. Arkadiusz Lawrywianiec



ZYGMUNT LIS (1931-2014)

Artysta malarz, emerytowany profesor zwyczajny Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na katowickim Wydziale Grafiki. W latach 1965-68 był członkiem 4m grupy „Arkat” i brał udział w jej wystawach. wybitny twórca, znakomity nauczyciel akademicki, współorganizator studiów pedagogiczno-artystycznych w Filii UŚ w Cieszynie. W 1956 roku, na 15 lat objął opiekę artystyczną nad malarzami Grupy Janowskiej, której członkami byli Ociepka, Wróbel, Sówka i inni. Od 1973 roku był związany z Wydziałem Pedagogiczno-Artystycznym, a następnie z Wydziałem Artystycznym Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, w których pełnił funkcje prodziekana, wicedyrektora Instytutu oraz kierownika Zakładu i Katedry. Jego obrazy pre-

zentowane były na wielu wystawach w Polsce i za granicą. Jego prace znajdują się w zbiorach polskich muzeów i galerii.

Początkowa twórczość Zygmunta Lisa oscylowała wokół fascynacji sztuką Paula Klee. Kolejne prace prezentowały już dojrzały styl malarza bliski metafory, fantastyce, symbolicznej ekspresyjnej. Komponował dynamiczne formy barwne kreślone najpierw barokową kreską. W tematyce powracał do mitów, by przy ich pomocy podejmować dyskusję o ludzkiej egzystencji. Tworzył zoo- i antropomorficzne stwory w gigantycznej walce (cykl „Gilgamesz”). W latach 70. rozpoczął pracę nad „Polskim pejzażem historycznym”. O sztuce mówił: [sztuka] jest rzemiosłem realizującym marzenia. Marzenie ma

Fot. ze zbiorów H. Bzdoka



naturę duchową a rzemiosło materialną. (...) za wielkie i prawdziwe uważam te, w których materia nie została wgardzona, ani uwielbiona, lecz ujarzmiona. (cyt. za: „Katowicki Underground Artystyczny po 1953 roku”, BWA Katowice 2004).

„Obrazy Północy” Arkadiusza Goli

Wystawa „Obrazy Północy” to zdjęcia powstałe w listopadzie 2012 roku w regionie Nord Pas de Calais na północy Francji. Pokazują życie różnych grup społecznych w miejscu, które przed laty było silnie związane z przemysłem górnym. Ostatnią z dziesiątek kopalń jakie działały w północnej Francji zamknięto ponad trzydzieści lat temu. Mimo że od tego czasu doszło do zmian w wielu aspektach życia byłych górników, to w postawach tych ludzi jest duma z tożsamości regionalnej i kultury poprzemysłowej. Fotografie składają się na wspólną pracę pisarzy Dominiqua Sampiero z Francji, Stana Laflour z Niemiec i polskiego fotografa Arkadiu-



Arkadiusz Gola, z cyklu „Obrazy Północy”.

sza Goli pod tytułem „Known Unto God”. Kulturatrium to wspólny projekt regionów Nord Pas de Calais, Nadrenii i Północnej Westfalii i województwa śląskiego.

Arkadiusz Gola jako fotoreporter prasowy pracuje od 1991 roku w redakcji „Dziennika Zachodniego” w Katowicach. Jest absolwentem ITF (Instytutu Twórczej Fotografii) w Opawie (Republika Czeska). Zdobyl kilkanaście nagród w prestiżowych konkursach fotografii prasowej. Dziennikarzem roku Dziennika Zachodniego 2003. W 2010 roku otrzymał nagrodę Prezydenta Miasta Zabrze w Dziedzinie Kultury. W latach 2006 i 2011 stypendysta Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury. Jego zdjęcia znajdują się w zbiorach muzeów w Polsce i za granicą. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Autor albumów „Ludzie z węgla”, „Stany graniczne” i „Nie muszę wracać”. Brał udział w ponad czterdziestu wystawach w kraju i za granicą. Mieszka w Zabrzu.

Odkrywanie tajemnic Majów

Od 31 stycznia – 27 kwietnia 2014 w Muzeum Śląskim można oglądać wystawę pt. „Odkrywanie tajemnic Majów. Polskie wykopaliska w Gwatemali”.

Od 2006 roku poznanie cywilizacji Majów zajmuje się polski zespół pod kierownictwem dr. Jarosława Żralki oraz mgr. Wiesława Koszkuła z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Głównym celem polskiego projektu są badania starożytnego miasta kultury Majów o nazwie Nakum położonego w północno-wschodniej części Gwatemali.

W trakcie badań archeolodzy natrafili na ogromnych rozmiarów grobowiec królewski zawierający naczynia, pozostałości szkieletu i setki jadeitowych ozdób, wśród których wielkością i bogactwem wyróżniał się zwłaszcza pektorat (duży wisior spoczywający na klatce piersiowej zmarłej osoby). Grobowiec wyposażony był w kilka naczyń ceramicznych (w tym misę z przedstawieniem tańczącego boga kukurydzy – jedno z najważniejszych bóstw Majów) oraz ponad 460 paciorków z jadeitu i muszli, tworzących kilkanaście naszyjników i innych ozdób. Jak wykazały analizy epigrafików, pierwszy glif oznacza nazwę pektoratu, drugi i trzeci hieroglify funkcjonują razem, oznaczając nazwę ośrodka oraz tytuł królewski nieznanego wcześniej władcy, którego imię można z kolei odczytać jako Ixim Chan (czyt. isim czan, „bóg kukurydzy-wąz”).

Prezentowane zdjęcia są autorstwa Roberta Slabońskiego, który od lat uwiecznia swym obiektywem badania w różnych zakątkach świata, tworząc niepowtarzalny, tajemniczy klimat wystaw. Autorami wystaw są: Robert Slaboński, Jarosław Żralka i Wiesław Koszkuł. Kurator wystawy w Muzeum Śląskim jest dr Renata Ablamowicz.

Kolejna sztuka z audiodeskrypcją

5 lutego w Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum” odbyło się przedstawienie „Bięgnięcie do szychki” zagrane po raz pierwszy dla widzów niewidomych i słabo widzących.

Sztuka Edmunda Wojnarowskiego to trzecia inscenizacja w repertuarze katowickiego teatru (po „Kopciuszkę” i „Najmniejszym balu świata”), przygotowana w wersji z audiodeskrypcją, czyli opisem całej sfery wizualnej spektaklu, odczytywanym przez lektora. Osoby ze wrodzoką niepełnosprawnością słyszą go przez bezprzewodowe słuchawki, które pozwalają – co bardzo ważne – na równoczesny, pełny odbiór kwestii padających ze sceny oraz niezakończony odbiór widowska publiczności pełnosprawnej.

Premiera przedstawienia w tej wersji przygotowana została w ramach projektu Teatr „Poza Ciszą i Ciemnością” – Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” i Fundacji Kultury bez Barier, dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

■ Wystawę pt. **August Holnd** – prymas narodowych wyborów można było oglądać w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

■ Twórczości Romana Kramsztyka – malarzowi, jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli Ecole de Paris, rozstrzelanemu w warszawskim getcie, poświęcone było spotkanie przygotowane przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu.

■ Wystawę fotografii pt. „Opowiem Wam o Śląsku” autorstwa Antoniego Kreisa połączoną z wystawą prac uczniów śląskich szkół fotograficznych pokazało Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich.

■ Pod dyktando Gabriela Chmury Akademicka Orkiestra Symfoniczna im. Karola Szymanowskiego, Chór Akademii Muzycznej oraz Chór Kameralny przygotowane przez Aleksandra Paszek-Trefon i Krzysztofa Dudziaka a także solistka Natalia Skrycka (alt) wykonały podczas koncertu w Akademii Muzycznej w Katowicach utwory Johannesa Brahmsa Uwerturę akademicką op. 80, Rapsodię na alt, chór

męski i orkiestrę op. 53 oraz IV symfonię e-moll op. 98.

■ „Koniostrwoy” Grzegorza Skrzypka – absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowni prof. Włodzimierza Kunza i rysunku w pracowni prof. Sławomira Karpowicza, członka ZPAP i grupy artystycznej „Golonóg”, nauczyciela rysunku i malarstwa w Zespole Szkół Płastycznych w Dąbrowie Górniczej – pokazała Galeria Teatru Śląskiego w Katowicach.

■ Parafia Ewangelicko-Augsburska zapraszała na spotkanie pt. „Luteranie w przestrzeni internetowej”.

■ Muzeum Miejskie w Tychach zapraszało na prelekcję „Starka uwarzyła... O pożywieniu w śląskich rodzinach chłopskich i robotniczych na przełomie XIX i XX wieku i w latach międzywojennych” wygłoszoną przez dr Marię Lipok-Bierwiaczonek, dyrektorkę Muzeum.

■ [oh!]
■ Orkiestra Historyczna przy współpracy z czeskimi i słowackimi artystami po raz pierwszy na Śląsku wykonała barokową operę na instrumentach z epoki – „Didone abbandonata” Domenico Sarri.

■ Rozstrzygnięty został drugi konkurs na projekt książki fotograficznej, organizowany przez Czynielni Sztuki w Gliwicach – jury pod przewodnictwem Grzegorz Krzywacki przyznało pierwszą nagrodę – jest nią umowa z autorem i publikacja nagrodzonej książki – Wojciechowi Kostrzewie za album „Alles ist Gut”.

■ Wspaniałe zabytki sztuki sakralnej, po raz pierwszy udostępnione publiczności na wystawie „Omnia Sanctorum – kościół i parafia Wszystkich Świętych w Gliwicach”, a wśród nich m.in. pochodzący z XVII wieku obraz włoskiego mistrza Francesco Solimeny „Chrystus błogosławiący”, prowadzona od 1597 roku księga ohrzczeniowa, renesansowe tondo z Matką Boską i Dzieciątkiem oraz Janem Chrzycielem z I połowy XVI wieku.

■ Muzeum w Chorzowie zapraszało na wykład z cyklu „Tajemnica i poznanie. Uwagi o kulturze i wyobraźni w Europie nowożytnej i najnowszej” pt. „Zwiedzić kwiaty, czyli traktat o przemianach. Japonizm w sztuce młodopolskiej”, który wygłosił dr Jacek Kurek.

Za co kocham książki?

Kiedy w czerwcu ubiegłego roku rozmawiałam z Elwirą Kabat-Georgijewą, dyrektorką Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu, jeszcze dobrze nie ostygły emocje po zakończonym maratonie 9. edycji Sosnowieckich Dni Literatury, wydarzeniu, którego popularność rośnie z roku na rok, co widać przede wszystkim po wypełnionych salach. Coraz więcej zainteresowanych przybywa spoza granic miasta. Nic w tym dziwnego, skoro formułę imprezy wymyślono tak, aby mogła zadowolić różnych odbiorców i uwzględnić ich zróżnicowane wymagania.

Sosnowieccy organizatorzy trzymają rękę na pulsie, śledzą wytrwale rynek wydawniczy, zapraszają autorów najciekawszych książek. W ubiegłym roku gościli tu m.in. Jacek Dehnel, Eustachy Rylski... Organizatorzy hołubią również tych, którzy urodzili się w Sosnowcu bądź w nim mieszkają. W Salonie Literackim z czytelnikami spotykają się: Zbigniew Białas, autor głośnego „Korzeńca”, Sławomir Matusz poeta i krytyk literacki, Adrian Witczak, Jacek Durski, autor nagrodzonej powieści „Mariacka” czy Bartłomiej Majzel poeta i podróżnik.

Wśród podsumowań minionej edycji znalazło się wówczas także zapewnienie pani dyrektor o rozważeniu możliwości powołania dyskusyjnego klubu książki. Sugestia taka pojawiła się bowiem na wielu spotkaniach, podczas których uczestnicy wyrazili chęć stworzenia grupy zapaleńców, którzy nie tylko chcieliby słuchać, ale także wymieniać się wrażeniami, uwagami i opiniami na temat przeczytanych książek, słowem niewielka elitarna, grupa pasjonatów.

Zdawać by się mogło, że w atmosferze pofinałowego podekscytowania propozycja utknie gdzieś w stercie dokumentów i znajdzie się w szufladzie „spraw do załatwienia”. Tak się jednak nie stało. Sosnowiecka biblioteka już na początku roku zarzuciła mieszkańcom prowokacyjnymi pytaniami: „Kochasz literaturę? O przeczytanej książce mógłbyś rozprawić godzinami? Interesuje Cię współczesna literatura polska i obca? Chciałbyś porozmawiać z ludźmi o podobnych upodobaniach i czytelniczej pasji? A może dopiero próbujesz określić swe literackie preferencje i chciałbyś się dowiedzieć, co warto przeczytać i gdzie szukać wartościowych lektur? Masz nie mniej niż 18 i nie więcej niż 99 lat?” Większość twierdzących odpowiedzi stało się przepustką do Dyskusyjnego Klubu Książki. Zachęta okazała się skuteczna. Spotkanie inauguracyjne odbyło się 24 lutego. Jakie będą dalsze losy klubowiczów, kto dołączy, a kto zrezygnuje (tak też być może), jakimi ścieżkami podążać będą literackie dysputy pokaże czas. Ale koneserzy dobrej książki to zazwyczaj ludzie wytrwali. Pozostaje więc pogratulować pomysłu i życzyć gorących i burzliwych spotkań. Już wkrótce X jubileuszowa edycja Sosnowieckich Dni Literatury, podobno niespodzianek nie zabraknie. Kasandryczne przepowiednie o upadającym czytelnictwie spokojnie możemy odłożyć do teczek z napisem „mrzonki”.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Dywersyfikacja sztuki

W Galerii Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki–Zamek Sielecki od 21 lutego można oglądać wystawę, na którą składa się twórczość artystek młodego pokolenia: Anny66 Andrzejewskiej (fotografia), Katarzyny Piotrowicz (malarstwo) i Ewy Skowron (rysunek). Jak pisze kuratorka wystawy Małgorzata Malinowska-Klimek: *Do niedawna sztuka musiała być awangardowa, często w wymuszony sposób kontrowersyjna. Wcześniej ceniono sobie wyłącznie odniesienia do tradycji. Dzisiaj nareszcie sztuka może być różnorodna, rozprzestrzeniona we wszystkich pojęciach stylowych oraz w lukach pomiędzy nimi. Odnoszę czasami wrażenie, że to świadoma i celowa strategia sztuki, która szuka, poprzez dywersyfikację, możliwych w obecnym świecie form swojego istnienia.* Wystawa będzie czynna do 23 marca.

Zagłębiacy w Legionach Piłsudskiego

Dwie bardzo ważne rocznice przypadają w 2014 r. – stulecie wybuchu I wojny światowej i powstanie Legionów Polskich pod wodzą Józefa Piłsudskiego. Muzeum w Sosnowcu przygotowało z tej okazji publikację pod redakcją Zbigniewa Studenckiego, przypominającą z perspektywy Zagłębia Dąbrowskiego te istotne w historii Polski wydarzenia. Książka „Zagłębiacy w Legionach Piłsudskiego” składa się z czterech części. W pierwszej prof. dr Jan Walczak maluje obraz Zagłębia Dąbrowskiego podczas I wojny światowej, część druga zawiera wspomnienia generała broni Leona Berbeckiego, organizatora kompanii ochotników z Sosnowca i Dąbrowy Górniczej do szeregów legionowych, bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego. W trzeciej części można odnaleźć nazwiska Zagłębiaków – oficerów Legionów Polskich i żołnierzy Pierwszej Kompanii Kadrowej, w czwartej znajduje się wykaz poległych w bitwie pod Krzywopłotami a także historia pomnika w Bydlinie. To znakomita lekcja historii regionalnej.

Jednym zdaniem

■ 14 lutego w Domu Kultury w Ząbkowicach gościł spektakl pt. „Andropauza 2”. Publiczność zabawiali m. in. Marek Siudym, Jacek Kawalec, Maciej Damięcki.

■ 14 lutego w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury, w Energetycznym Centrum Kultury z waleńtyńskowym koncertem wystąpiła Katarzyna Groniec.

■ 21 lutego w Pałacu Mieroszewskich w Będzinie miał miejsce finał pt. „Będziecie godni swego człowieczeństwa – J. M. Lustiger”. Zdjęcia autorstwa Wojciecha Borkowskiego prezentowane na wystawie przybliżyły sylwetkę Honorowego Obywatela Miasta Będzina Kardynała Jean-Marie Lustigera. Finał uświetnił koncert Katowickiego Triu Pieśni Francuskiej w skła-

Wystawa Karola Bondarenki

W lutym w galerii Energetycznego Centrum Kultury w Sosnowcu gościły obrazy Karola Bondarenki. Malarz od kilkudziesięciu lat związany jest z Sosnowcem, tu mieszka, tu maluje. Temat, z którym jednak zwykle jest kojarzony, to morze i wszystko, co w jakikolwiek sposób z nim się wiąże. Jest to zapewne pokłosie jego dziesięcioletniego pobytu na Wybrzeżu Szczecińskim, pracy w stoczni i wsłuchiwanie się w żeglarskie opowieści. Na jego obrazach królują fale, które malarz utrwala w świetle różnych pór roku i dnia, fascynują go morskie niepokoje, szczególnie sztormy i burze. W ostatnich latach wzbogacił swoją malarską paletę o wielobarwne krajobrazy beskidzkie i różnokolorowe kwiaty. W swoim dorobku ma ponad 100 wernisarzy i wiele wyróżnień, jest laureatem m.in.: I nagrody XV Przeglądu Twórczości Ludzi Morza w Gdyni w 1985 r., dwukrotnie I nagrody Konkursu Plastycznego im. kpt. ż.w. M. Leszczyńskiego w Gdyni (1989 r. i w 1990 r.). W 1994 r. został wyróżniony przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Marynistów Polskich Medalem „Zasłużonemu dla Marynistyki Polskiej” oraz Srebrną Odznaką „Zasłużony Pracownik Morza” przez Ministerstwa Transportu i Gospodarki Morskiej (1995 r. i 2001 r.).

Nowe muzeum w Sosnowcu?

Na mapie kulturalnej miasta pojawi się wkrótce nowa atrakcja, będzie nią zapewne Muzeum Farmacji, Medycyny i Kosmologii Śląskiej. To pomysł naukowców ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Już w latach 60. XX wieku członkowie Sekcji Historii Farmacji Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego w Katowicach rozpoczęli gromadzenie eksponatów aptekarstwa śląskiego. Głównym inicjatorem kolekcjonowania zbiorów muzealnych był przewodniczący katowickiej sekcji dr n. farm. Franciszek Nowak, jego pracę kontynuował prof. Dionizy Moska. Wśród zgromadzonych eksponatów znajdują się wagi, destylatory, aptekarskie moździerze, meble a nawet leki, nie brakuje także bogatych zbiorów wydawnictw. Perelką kolekcji jest podarowany uczelni przez Edwarda Kajzera z apteki Szpitala Chorób Płucnych w Cieszynie, XIX-wieczny manual (spisany w języku łańcimskim) zawierający receptury wykorzystywane przez ówczesnych farmaceutów. Siedzibą przyszłego muzeum są pomieszczenia na parterze byłego akademika przy ul. Ostrogórskiej.

dzie – Izabela Migocz (sopran), Roksana Wardenga (mezzosopran) oraz Michał Golański (fortepian).

■ 21 lutego w klubie studenckim „Remedium” w Sosnowcu goście bawili się na wieczorze Jamaican Stylee vol. 24.

■ 22 lutego w ośrodku kultury w Będzinie-Grodzcu wystąpił kabaret Ciach.

■ 23 lutego w klubie Villa Moda w Dąbrowie Górniczej w programie zatytułowanym „Pocztówki z lodówki” wystąpił kabaret DNO.

■ 27 lutego w Bibliotece Akademickiej Wyższej Szkoły Biznesu w Dąbrowie Górniczej odbyło się spotkanie z anglistą, literaturoznawcą, autorem powieści „Korzeniec”, „Pył i puder” prof. Zbigniewem Białasem.

Meandry „Cygana”

Nazwa *Cygański Las* pochodzi od błędnego tłumaczenia rzeczownika *Ziegenwald*, gdyż – zgodnie z pierwotnym niemieckim nazewnictwem – *Kozią Górę* pod *Szyndzielnią* pokrywał nie *Cygański (Zigeunerwald)*, lecz *Kozi Las (Ziegenwald)*. Brzmienie pierwszego członu wyrazu *Ziegenwald* było dla polskich uszu bardzo bliskie wyrazowi *Cygan*, więc w pewnym momencie historii przeistoczyli niemiecką „*Koźę*” na rodzimego „*Cygana*”. Uroki *Cygańskiego Lasu* – zwanego przez niektórych bielszczan *bezeremonialnie „Cyganiem”* – znane są każdemu mieszkańcowi grodu nad *Białą*. Ten zakątek zieleni, pełen buczyn, jesionowych łęgów, świerczyn i jaworzyn, leży na terenie dzielnicy *Bielska-Białej – Mikuszowic Śląskich, Olszówki Dolnej i Górnej – oraz Bystrej Śląskiej*.

Bez względu na to, czy meandry nazewnictwa – *Cygański Las* zapisał się chlubnie i bezpowrotnie w historii *Bielska-Białej*. Został bowiem wymieniony w dokumencie z 1312 r., wedle którego nadal las we władanie mieszczanom bielskim. Dokument ten jest najstarszą piśmienną wzmianką o mieście.

W przypadku *Cygańskiego Lasu* fascynujące są nie tylko międzynarodowe drogi wyrazów, lecz również ścieżki dziedzictwa kulturowego okolic *Koziej Góry*, na których znaczyły swe ślady pokolenia różnych narodów – Niemców, Żydów, Austriaków, Polaków. Co ciekawe – nie tylko w naszych czasach fatalnie gospodarowało się terenami zielonymi. Nieprawidłowa eksploatacja przez kilka stuleci doprowadziła do dewastacji pierwotnego drzewostanu i dopiero w latach 60. XIX w. zarządcy terenów oraz dyr. szkoły realnej *Karol Ambroży* potrafil „wskazując” pierwotny las pokrywający okolice *Koziej Góry*, a nawet stworzyć park leśny zbliżony do *Lasu Wiedeńskiego*. W 1997 r. powstał zespół przyrodniczo-krajobrazowy „*Cygański Las*” o powierzchni 925 ha. Wskutek działań inwestorów w 2004 r. zmniejszono powierzchnię zespołu do 593 ha. Pięć lat później zniszczono dziewiętnastowieczną willę *Hauptiga*, a na jej miejscu wybudowano osiedle deweloperskie. Zmieniło to zupełnie dotychczasowy, willowy charakter leśnego miasteczka. Oczywiście do dziś nikt nie poczyna się do jakiegokolwiek winy, choć niszczenie pierwotnego układu przyrodniczo-urbanistycznego wspianego dotąd *Cygańskiego Lasu* powinno być hańbą na honorze władz bielskich. Na szczęście w obronie „*Cygana*” coraz głośniejsze i skuteczniejszą występuje miejscowa ludność skupiona w *Stowarzyszeniu Olszówka*. Jedną z form ochrony jest uświadamianie mieszkańcom *Bielska-Białej* i decydom o wartościach kulturowych i przyrodniczych tego cudownego miejsca. Na początku roku *Stowarzyszenie Olszówka* wydało książkę *Jakuba Krajewskiego „Spacer po Cygańskim Lesie”*.

Dzielo historyka, speleologa, znawcy beskidzkich jaskiń – notabene członka *Stowarzyszenia Olszówka* – to przewodnik po minionych wiekach i współczesności tego fascynującego miejsca, pełnego oryginalnych willi zbudowanych w różnych stylach m.in. przez wiedeńskich architektów, rozpadających się obiektów sportowych czy rozrywkowych (ruiny toru saneczkowego, zapomnianej skoczni i amfiteatru), pozostałości po remizie tramwajowej z 1908 r., którą po likwidacji w 1971 r. Bielskich tramwajów zamieniono w kawiarnię i ciastkarnię. Różnorakie ślady kulturalnej obecności w *Cygańskim Lesie* wielu pokoleń bielszczan można wymienić w nieskończoność. Miejmy nadzieję, że m.in. dzięki zajmującej książce *Jakuba Krajewskiego* nikt już nie będzie dążył do zamiany parkowego miasteczka w merkantylno-deweloperski przysiółek, żeby jego najwybitniejszy mieszkaniec i piewca, poeta *Stanisław Gola* nie przewracał się więcej w grobie.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Legendy z nadziejami

Jak zwykle wesoło i czadowo było na kolejnej XVI *Bielskiej Zadymce Jazzowej 2014* – zwanej ostatnio *Lotos Jazz Festival* – która odbyła się (18.2–23.2) w salach koncertowych i klubach *Bielska-Białej* i *Czechowic-Dziedzic*, a zakończyła tradycyjnie w schronisku na *Szyndzielni*. Tym razem dostępu do schroniska nie broniła śnieżna zadymka jak w wielu poprzednich latach, lecz oblodzony stok *Szyndzielni*, dzięki któremu niektórzy sympatycy jazzu ślizgali się w stylu słynnych polskich pancernistów z IO w Soczi. Gwiazdami festiwalu byli przede wszystkim legendarny *Billy Cobham* – energetyczny, dowcipny i wesoły człowiek, urodzony do uderzeń w instrumenty perkusyjne oraz nagrodzona *Aniołem Jazzu* (statuetką autorstwa *Lidii Sztwiertni*) wokalistka *Dianne Reeves*, dla której każda stylistyka jest ojczyzną dźwięków. Drugą młodość ujawnili muzycy „*String Connection*”, do czego zobowiązuje ich zresztą nazwa uprawianego nurtu „*young power*”. *Krzysztof Dębski* pokazał nie tylko oblicze lidera, kompozytora i muzyka, ale także wodzireja. Wspaniale zaprezentował się w rodzinnych *Czechowicach-Dziedzicach* wokalista *Wojciech Myrcezek*. Jego radość z wydobycia ze strun głosowych różnorodnych dźwięków z pewnością przysporzy mu jeszcze wielu zwolenników, a przede wszystkim zwolenniczek. Wiele komplementów zebrało także *Trio Roberta Szewczugi*, z czego bardzo dumny był ojciec lidera grupy *Leszek* – znany bielski perkusista, członek *Stowarzyszenia Sztuka – Teatr*, które organizuje od 15 lat „*Zadymkę*”. Laureatem nagrody głównej zadymkowego konkursu dla młodych jazzmanów został *Bartosz Dworak Quartet*, a nagrodę specjalną ministra kultury otrzymał kwartet *Tomasza Jędrzejewskiego*, choć publiczność najburzliwiej na-



Fot. Paweł Mrucezek

Wojciech Myrcezek kontynuuje rodzinne tradycje śpiewacze.

Jednym zdaniem

- W lutym w bielskim *Domu Kultury Włóknarzy* prace malarskie prezentowała *Alicja Smoczyńska*, a dzieła fotograficzne *Małgorzata Smoczyńska*.
- 1 lutego w *Jazz Clubie* przy ul. *Cehowej* w *Bielsku-Białej* wystąpił ze swym *Trio* bielszczanin *Apostolis Anthimos*.
- 6 lutego przy ul. *Głębokiej 25* w *Cieszynie* otwarto *Galerię Malarstwa PULS*.
- 11 lutego w *Książnicy Beskidzkiej* spotkała się ze swymi czytelnikami bielska pisarka *Renata Piątkowska*.
- 21 lutego w *Galerii Śródomisk Twórczych* odbył się wernisaż wystawy „*Bielsko XXI – fotografia*”.
- 23 lutego w ramach *Krakowskiego Salonu Poezji* w *Galerii Bielskiej BWA* z „*Uskrzydłony-*

gradzała trzeciego finalistę – kwartet *Grzegorza Włodarczyka* z trójką paryżan w składzie.

„W pięknych okolicznościach przyrody”

Spośród ekspozycji organizowanych w *Galerii Bielskiej BWA* największym zainteresowaniem publiczności cieszą się wystawy fotografii zwierząt. Nie inaczej jest obecnie – podczas ekspozycji pn. „*Fotografia Dzikiej Przyrody / Wildlife Photographer of The Year 2013*”, która trwała do 2 marca. Poprzednią edycję imprezy oglądało ponad 10 tys. widzów. Animatorzy kultury z *BWA* spodziewają się, że w tym roku może być podobnie. Publiczność bowiem podziwia sto najciekawszych zdjęć wyłonionych w konkursie, który od 1965 r. organizują *Natural History Museum* w Londynie oraz *BBC Worldwide*. – Zdjęciem towarzyszą tabliczki z dokładnym opisem – kiedy i gdzie autor je wykonał, jakim aparatem, jakie są parametry techniczne i co fotki przedstawiają. Opis często jest niezwyklej narracją dotyczącą kontaktu autora zdjęcia z fotografowaną dziką przyrodą i żyjącymi wolno zwierzętami – powiada dyr. *Galerii Bielskiej BWA* *Agata Smalcerz*.

Geometria Berdowskiej



Tamara Berdowska, Grażyna Cybulska i Agata Smalcerz

Tamara Berdowska mieszka od kilku lat w *Bielsku-Białej* i jest jedną z najważniejszych przedstawicielek abstrakcji geometrycznej w Polsce. Jej prace od 6 lutego do 2 marca były prezentowane w *Galerii Bielskiej BWA*. Jak twierdzi kuratorka ekspozycji *Grażyna Cybulska*, wystawa pokazuje obrazy i rysunki przestrzenne z ostatnich lat. Jej zdaniem punktem wyjścia i niezmienną ideą monochromatycznych obrazów i obiektów przestrzennych jest geometryczny rysunek – w trakcie procesu niwelowany kolorem i światłem. Artystka operuje zmienną temperaturą barw w obrębie jednego koloru, uzyskując efekt pulsowania powierzchni obrazu i złudzenie „wyjścia poza jego materialność”.

- mi karnawałowymi wierszami” wystąpili *Krysztyna Pruszczyk, Janusz Kaczmarek* i *Tomasz Pala*.
- 24 lutego w *Zamku Sulkowskich* w *Bielsku-Białej* wystąpili skrzypek *Adam Musiański* i pianistka *Beata Musiańska*.
- W lutym w *Klubie Nauzyciela* w *Bielsku-Białej* prezentowano wystawy malarstwa na szkłe *Zbigniewa Grzywy* i rzeźby *Ernesta Kunego*.
- Teksty słoweńskiej autorki *Moicy Rjavec* oraz bielszczanina *Grzegorza Madeja* zawiera nowe wydawnictwo bielskiego *Muzeum Historycznego „Zeszyty Sulkowskich II”*.
- W lutym *Książnica Beskidzka* prezentowała wystawę malarstwa i rysunku *Józefa Świerka* pn. „*Rozzumiały się Świerki płońce*”.

Pamięć przedmiotów

W niedzielę 9 lutego w Galerii Dobrej Sztuki odbył się wieczór wspomnień o Marianie Michaliku. Rozmowa prowadzona była w otoczeniu obrazów prezentowanych na retrospektywnej wystawie jego twórczości. Dominowały martwe natury godne opisu Zbigniewa Herberta, np. *Martwa natura z bukietem suchych kwiatów* (1977) czy *Martwa natura z krucyfiksem, jedna z prac powstałych w czasie stanu wojennego* (1982), przedstawiająca codzienne naczynia i artykuły spożywcze ustawione na stole-oltarzu przykrytym białym obrusem. Poza tym przypomniano pejzaże artysty (np. *Wieczorna impresja*, 1989) malowane pastelami, różniące się od siebie kolorystyką oraz usytuowaniem linii horyzontu, a także portrety (np. *Prymas Tysiąclecia*, 1983).

Marianowi Michalikowi poświęcono również wystawę w Gabinetce Wybitnych Częstochowian. Wprawdzie artysta urodził się w Zabrzju w 1947 r., ale już w latach 50. przeprowadził się do naszego miasta, by od tej pory wpisać się w tutejsze życie kulturalne. Po ukończeniu Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych zajmował się projektowaniem, grafiką użytkową, a od lat 70. także malarstwem sztalugowym. W 1979 r. został członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, w 1987 – Europejskiej Akademii Sztuki, Nauki i Literatury w Paryżu. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych (m.in. *Polscy surrealiści*) oraz indywidualnych, w kraju i za granicą: w Niemczech, Japonii czy na Węgrzech. Marian Michalik zginął wraz z żoną Haliną w wypadku samochodowym w 1997 r., rok wcześniej został wyróżniony Nagrodą Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie plastyki. Jedną z form pamięci jest organizowany od 2001 r., z inicjatywy Piotra Glowackiego (ówczesnego kuratora wystaw MGS), ogólnopolski konkurs dla młodych malarzy.

W Gabinetce Wybitnych Częstochowian można obejrzeć film dokumentalny zrealizowany jeszcze za życia Mariana Michalika, a także wiele pamiątek po nim: sztalugi, plakaty przygotowane dla DKF, katalogi do jego wystaw, zaproszenia, zdjęcia rodzinne... To próba odwrócenia procesu twórczego, podróż do pracowni artysty i jego biografii, by uchwycić moment, gdy rzeczywistość przemienia się w sztukę. Temu także służy niedokończony obraz zestawiony z przedmiotami-modelami.

Artystyczną deklarację odnaleźć można także w obrazie prezentowanym w Galerii Dobrej Sztuki, w *Snie kolekcjonera*, eksponującym dwie sfery przedmiotów (codziennych i funkcjonalnych oraz wyobrażonych i obdarzonych dodatkowym znaczeniem). Na swoich obrazach Michalik umieszczał butelki najróżniejszych kształtów, słoiki, zwierciadła, zrzepaczkę czy odwrócone skrzypce, a także przedmioty, które wyszły już z użycia, np. samowar, młynki do kawy, bańki na mleko, żelazko na duszę, dawne kufle, dziadka do orzechów. To wszystko niepokojąco przypomina barokowe vanitas (resztki i przedmioty, które dziś mogą co najwyżej zasilić zbiory kolekcjonerów i miłośników odchodzącego świata). Jednak kompozycja i układy przemieniają znane doskonale elementy w nową rzeczywistość, budując „realizm niepokojący”, o którym mówił artysta. Potęgą go jeszcze zamknięte w ramy obrazu marzenie o lataniu – motyw balonu albo ruchome kartki papieru, oraz metaforyczne tytuły: *Wiesć o dziwnym wydarzeniu*, *Ostatnie przejście*, *Wieża wspomnień*, *Zadziwiająca propozycja*.

Marian Michalik próbował na swoich obrazach za pomocą przedmiotów utrwalić i zrozumieć świat, a zaproponowane przez niego kompozycje zapewniły mu pamięć potomnych.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NÓTATNIK KULTURALNY

Chasydzi w Lelowie

Z okazji 200. rocznicy śmierci cadyka Dawida Bidermana, zwanego również Lelowerem, odsłonięto tablicę upamiętniającą tę postać oraz wszystkich okolicznych Żydów, mieszkających tu do 1942 r. (holocaust przeżyło jedynie 7 Żydów lelewskich). W uroczystości wzięli udział wójt i radni gminy, Gideon Nissenbaum z Zarządu Rodziny Fundacji Nissenbaumów oraz rabin Simcha Krakowski, prezes Fundacji Chasydów Leżajsk Polska. Na uroczystości przybyło również około 300 chasydów, by jak co roku choć na chwilę przemienić okolicę w międzywojenną sztetl. Najważniejszy był szabas poprzedzający rocznicę śmierci cadyka, gdy według wierzeń, jego dusza schodzi na ziemię, by zanieść prośby modlących się przed tron Boga. Data rocznicy śmierci jest ruchoma, ponieważ wyznawcy judaizmu uznają kalendarz słoneczno-księżycowy.

Chasydyzm rozwijał się w XVIII wieku na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, a Lelower był zaprzyjaźniony z innymi cadykami swojego czasu – Widzącym z Lublina czy Świętym Żydem z Przysuchy (z córką Jaakowa Icchaka ożenił się jego syn Mojsze). W XX wieku wspominał go także m.in. Martin Buber w *Opowieściach chasydów*. Według przekazów, Dawid Biderman uzdrawiał i przepowiadał przyszłość, w czasie tańca rytualnego odzyskiwał sprawność w nodze, a gdy grał słuchały go nawet zwierzęta.

Dawne fotografie

Do 16 lutego w MGS można było oglądać zdjęcia Wilhelma von Blandowskiego *Niespokojne odbicie* ze zbiorów Muzeum w Gliwicach, rodzinnego miasta bohatera wystawy. Urodzony w 1822 r. może poszczycić się biografią na miarę romantycznych czasów; był przyrodnikiem, górnikiem, poszukiwaczem złota i eksploratorem Australii (dokąd wyjechał w 1849 roku). Do Gliwic powrócił w 1860 r., a następnie przez trzy lata prowadził atelier, co potwierdzają zachowane do dziś trzy albumy z 1313 zdjęciami; to portrety okolicznych rodzin oraz przedstawicieli różnych zawodów: kominiarzy, lekarzy, malarzy, sędziów wiejskich, pejzaże, fotografie reportażowe (np. szyb górniczy z II połowy XIX wieku, kopalnia „Matylda” w Lipinach). Opisane najczęściej imieniem i nazwiskiem modela, zdjęcia stanowią dziś kronikarski zapis lokalnej historii, a jednocześnie są świadectwem ówczesnej codzienności. Na wystawie dużą grupę stanowiły także zdjęcia bydła holenderskiego, należącego do Victora von Groelinga z Szalszy, a każde z nich zostało podpisane imieniem krów: Amanda, Atalanta, Aglala, Aphrodite.

Zdjęcia atelier Wilhelma von Blandowskiego pozwalają natomiast zdefiniować jego sposób ro-

zumienia zadań fotografii. Zgromadzone sprzęty: aparaty, lampy, elementy dekoracji, pomogły rozmieścić postacie w przestrzeni oraz wypełniały kadr, by uwydatnić status i społeczny rolę modela, a może również cechy jego charakteru.

Walentynkowe atrakcje

Lutowe święto na dobre zadamowiło się już w naszej obyczajowości, o czym świadczy co roku bogatszy asortyment w sklepach oraz program okolicznościowych imprez. Specjalny repertuar przygotowują: teatr, kina, a przede wszystkim lokale muzyczne, które konkurują między sobą zapraszającymi gośćmi. W tym roku świętowanie trwało już od czwartku. Było głośno albo lirycznie w zależności od preferencji, czyli każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Nie tylko melomanów Adam Klocek zaprosił do Filharmonii na wieczór wypełniony światowymi przebojami. Z towarzyszeniem orkiestry wystąpili wykonawcy znani z popularnych telewizyjnych programów rozrywkowych – Magdalena Meisel (skrzypaczka naszej filharmonii, finalistka *The Voice of Poland* oraz *Bitwy na głosy*) oraz Michał Szybczyk z Kalisza (uczestnik nieistniejącej już *Szansy na sukces* oraz *X Factor*).

Poza tym w Miejskim Domu Kultury wystąpili Munięk Staszczuk i Shamboo, w Cafe & Restaurant „Dobry Rok” Kasia Rodowicz, w Teatrze from Poland Chaos Engine Research przygotował Liquid Metal Fest, w Murze zagrał Gooral, w Carpe Diem Krzysztof Skiba, a w Disco Ray Piersi.

A jeśli ktoś już miał dość świątecznego zamieszania i miejskiego zgiełku mógł wziąć udział w VIII Walentynkowych Marszach na Orientację.

Prace niezawodowców

W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica wciąż można oglądać prace artystów Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. J. Dudy-Gracza pokazane na XXXII Dorocznej i Konkursowej Wystawie. Prace pozbawione tytułu, sygnowane są wyłącznie imieniem i nazwiskiem autora, co zachęca odbiorcę do większej aktywności. Podzielone zostały tematycznie – pejzaże, miasta, kwiaty, konie, portrety, martwe natury, abstrakcje; nie zabrakło reminiscencji z podróży zagranicznych i krajowych (Jurę Krakowsko-Częstochowską pokazał Wojciech John) oraz kołaży (m.in. Katarzyna Dyderskiej).

Wśród członków stowarzyszenia nagrodzono najlepsze prace, wyróżniające się na tle pozostałych techniką albo poszukiwaniami artystycznymi. Pierwszą nagrodę otrzymała Małgorzata Sętowska, drugą – Izabela Sowier-Kasprzyk, trzecią – Anna Zyla, wyróżnienia – Halina Osadnik, Grzegorz Janus oraz Jacek Depta, a nagrodę specjalną – Gabriela Polaczek. Ciekawych obrazów było jednak znacznie więcej niż wyróżnień; np. praca Teresy Idzikowskiej, przedstawiająca zimowy las, a czerwień pni drzew, wzmacniała czerwona rama.

Przy wejściu do sali głównej pokazano również kilka prac niezjącej już częstochowianki, Janiny Plucińskiej, której twórczość przypomina rok temu na wystawie *Gdyby Nikifor był kobietą...* w Pawilonie Etnograficznym. Tym razem przedstawiono – *Portret matki z różańcem*, *Mni-cha* oraz aluminiowy relief *Para*.

Jednym zdaniem

■ Zagrali – Filharmonia: Marcin Wyrastek z zespołem Tango Corazon, Renata Przemek, Dżem; TFP: Wilki, Indios Bravos, BeDu, Breakmaszyna; Klimaty: Nocna Zmiana Bluesa; Planetarium IF AJD: projekt audiowizualny Rafała Iwańskiego i Anny Pilewicz AQUALUNA.

■ W „Gaude Mater” promocja tomiku Agnieszki Złotej *Report o zieleni*, a w Bibliotece Publicznej im. W. Biegąńskiego spotkanie z Barbarą Rosiek i jej kolejną książką *Cpunka*.

■ W CPM-ie wystawa *Egzyst* Piotra Pasiewicza.

■ W Filharmonii Częstochowskiej odbył się koncert muzyki filmowej Krzesimira Dębskiego z udziałem kompozytora i Anny Jurkiewicz;

była to również okazja do złożenia podziękowania tym, którzy po zeszlorzeczeniu powodzi wsparli gminę Lelów.

■ 29 stycznia zmarł Zygmunt Hassa, który od 1972 roku był dyrektorem i kierownikiem artystycznym Państwowego Orkiestry Symfonicznej w Częstochowie, a następnie Filharmonii Częstochowskiej.

■ Agata Piątek, uczennica Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie otrzymała Grand Prix oraz I nagrodę American Protégé International Music Talent Competition Fall 2013 w Nowym Jorku.

Na wyprawie w prehistorię Nadolzia

Na kolejną wyprawę w głąb historii Śląska Cieszyńskiego zaprosił w pierwszy czwartek lutego swoich słuchaczy Międzygeneracyjny Uniwersytet Regionalny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. – Staramy się nasze spotkania poświęcać historii regionu przynajmniej raz w roku akademickim. Uważamy bowiem, że na mapie historycznej naszego skrawka ziemi jest wciąż jeszcze sporo białych plam, które należałoby wypełnić – wyjaśnia dyrektor tej instytucji edukacyjnej, Danuta Chwajol.

Tym razem jednak tematem spotkania była historia nie ta, którą możemy poznać ze źródeł pisanych, a więc kronik, artykułów z dawnych gazet. Gość lutowego wykładu MUR, Bogusław Chorąży z Bielska-Białej, jest archeologiem i zajmuje się prehistorią Śląska Cieszyńskiego, którą możemy poznać wyłącznie dzięki badaniam archeologicznym. To właśnie dawnym i najnowszym odkryciom śladów osadnictwa – od neolitu po okres wpływów rzymskich (4 tys. lat p.n.e. – 375 rok n.e.) – poświęcony był czwartkowy wykład.

– Zal mi zawsze trochę, kiedy sięgając po monografię gmin naszego regionu czytam, że dana wieś lub miasto powstało w średniowieczu – rozpoczął swój wykład Bogusław Chorąży. – A przecież te miejscowości często powstawały w miejscu, gdzie już wcześniej żyli ludzie, gdzie pierwsze osady zakładano już w czasach neolitu, czyli młodszej epoki kamiennej, lub nieco później, w epoce brązu lub wczesnej epoki żelaza. Chciałbym doczekać czasów, w których dzięki nowym odkryciom archeologicznym taka monografia wspominałaby także tamte bardziej zamierzchłe dzieje, kiedy też tu, na Śląsku Cieszyńskim, żyli i umierali ludzie – mówił Chorąży.

Stwierdził, że w naszym regionie, niestety, przebadanych jest raczej mało miejsc ze śladami osadnictwa prehistorycznego. Chodzi głównie o tzw. Cieszynisko w Kocobędzu-Podoborzu, gdzie już dawno odkryto warstwy z czasów tzw. kultury łużyckiej, i Górę Zamkową w Cieszynie, gdzie są też ślady osadnictwa związanego z Celtami. – Ale takich osiedli prehistorycznych było na tym terenie sporo, bo teren miał zawsze istotne znaczenie w sensie komunikacyjnym – wyjaśniał archeolog z Bielska-Białej. – To, tedy przez Bramę Morawską i obecny Śląsk Cieszyński prowadziły ważne szlaki komunikacyjne z terenów śródziemnomorskich nad Bałtyk, dokąd docierali kupcy po bursztyn. To region o strategicznym znaczeniu – podkreślał.

– Dzięki tym odkryciom archeologicznym możemy lepiej poznać historię tej ziemi, lepiej ją opowiedzieć dziś tu żyjącym ludziom – mówił Bogusław Chorąży. Wspólnie z żoną jednak ubolewali, że archeologom nie zawsze jest dziś łatwo. – Często badania prowadzimy w miejscach, na których ma powstać jakiś ważny nowy obiekt. I wtedy jesteśmy obwiniani, że z powodu naszych badań prace budowlane idą nie tak szybko, jakby chcieli tego władarze i mieszkańcy takiej gminy. A przecież chodzi o ważne odkrycia, ważne dla lepszego zrozumienia historii naszej ziemi i ludzi tu żyjących – stwierdziła Bożena Chorąży.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

„Gorejący krzew” zdominował Czeskie Lwy

Film polskiej reżyserki Agnieszki Holland „Gorejący krzew” zdominował galę Czeskich Lwów. Obraz poświęcony jest cześkiemu studentowi Janowi Palachowi, który podpalił się w Pradze w proteście przeciw inwazji sił Układu Warszawskiego w 1968 roku.

„Gorejący krzew” otrzymał aż 11 nagród czeskiego przemysłu filmowego. Triumfował też w plebiscycie publiczności. Film nie koncentruje się na postaci Palacha, ale na zmaganiach jego rodziny i adwokacki z aparatem władzy komunistycznej w wytoczonym jej przedstawicielom procesie o zniesławienie.

– Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w nakręceniu tego filmu. Dziękuję Czechom, że przyjęli mnie do swojego grona – powiedziała Agnieszka Holland. – Są sprawy na tym świecie, wobec których nie można milczeć. Wystarczy spojrzeć, co dzieje się obecnie na Ukrainie – stwierdziła reżyserka. „Gorejący krzew” nakręcony był wprawdzie dla potrzeb stacji HBO – jako trzygodzinowy serial, następnie trafił do dystrybucji kinowej. Film z entuzjazmem przyjęto także w Polsce i za Oceanem.

„Bajka” budziła królową

Wszyscy znamy tę baśń nie tylko z dzieciństwa. Opowieść o tym, jak królewskiej parze urodziła się upragniona córeczka i jak uradowani rodzice nad kołyską małej Różyczki zaprosili trzy wróżki, by przepowiedziały jej przyszłość. Niestety, jedna z wróżek rzuciła klątwę: królewna w dniu 17. urodzin ukłuje się cierniem róży i zapadnie w głęboki sen, a odbudzić ją może tylko pocałunek pięknego księcia...

W sobotę 22 lutego baśń „Śpiąca królewna” mogliśmy zobaczyć podczas premiery w Teatrze Cieszyńskim w wykonaniu aktorów Sceny Lalek „Bajka”. W roli królowej Różyczki wystąpiła Dorotę Grycz, jej królewskich rodziców grali Wanda Michałek i kierownik zespołu Ja-

kub Tomoszek, Nianię – Jolanta Polok, Królewicza Jaroslawa – Marian Mazur, a jego ojca – Jan Szymanik (każdy z aktorów wcielił się jeszcze w kilka innych postaci).

Reżyserem przedstawienia, które „Bajka” przygotowała w polskiej i czeskiej wersji językowej, jest Marie Miková, która dokonała też adaptacji tekstu. Jako ciekawostkę można podać, że reżyserka z Pragi, sama zagrała kiedyś *Śpiącą Królową Różyczkę*, i to w filmie. Jeszcze pod panińskim nazwiskiem Horáková wcieliła się w tę postać w czeskim filmie „Jak budzi się królowa” („Jak se budí princezny”).

Tłumaczenia baśni na język polski podjęła się Lena Pešák, autorem scenografii i lalek jest Mirosław Duša, kostiumów – Alexandra Švolíková. Muzykę do spektaklu napisał Zbigniew Siwek.

Poezja zaśmieconego świata

Młodzi poeci z Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie zaprosili 14 lutego do kawiarni i czytelní „Avion/Noviva” na „Zastrzyk dekadencji”. Grupa wcześniej już przedstawiła swe utwory w czesko-cieszyńskiej „Dziupli” oraz w bibliotece w Trzynie, niektóre zostały też opublikowane w miesięczniku „Zwrot”.

Na spotkaniu przedstawiona została twórczość Patrycji Siwek, Kristiny Mai Chlup, Michała Zawadzkiego i Piotra Cieleckiego. Niektóre utwory przeczytali sami autorzy, inne zaprezentowali ich koledzy – recytatorzy, Sebastian Garcia N’Dua i Barbara Owczarzy. Odpowiedni do nastroju muzykę wykonało trio w składzie: Jan i Wiktor Kowalczykowie oraz Roman Cy-morek. Opiekująca się grupą poetka Renata Putz-lacher-Buchta na koniec sama wróciła do swych lat młodzieńczych, przypominając kilka wierszy ze swego debiutanckiego tomiku.

Wszelchobecne śmieci, skażone środowisko, bezsensowny kult pieniądza, supermarkietowa kultura, rasizm i brak tolerancji – to są tematy przewijające się przez większość utworów. Młodzi dobrali do tego odpowiednie rekwizyty: maski przeciwywpyłowe i przeciwgazowe, kamizelki odblaskowe, śmietniki, do których symbolicznie wrzucali po przeczytaniu swe wiersze. – Śmietnik wybrał się dlatego, by pokazać ludziom, że cały świat to śmieci. Ludzie wyrzucają dobre rzeczy, a te zle zostają. Dlaczego? – zastanawiał się Michał Zawadzki.

Zainteresowanie programem było duże, wszystkie miejsca w kawiarni były zajęte. Swych uczniów przyszedł również posłuchać dyrektor szkoły, Andrzej Bizoń.

Jednym zdaniem

■ Zaolziański Hawierzów będzie miał swojego wiceministra. Począwszy od 10 marca br. dotychczasowy wiceprezydent miasta, socjaldemokrata Petr Šmrček, obejmie funkcję wiceministra w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego w Pradze.

■ Eugeniusz Delong, członek Rady Rządu RC ds. mniejszości narodowych, rozmawiał w ostatni wtorek lutego z władzami województwa morawsko-śląskiego. Rozmowy odbyły się w Ostrawie i dotyczyły polskiej mniejszości narodowej.

■ W Domu PZKO w Karwinie-Frysztacie odbyła się 22 lutego pierwsza po czeskiej stronie impreza kulinarna w ramach projektu „Tradycyjna kuchnia po obu stronach Olzy”, realizowanego wspólnie przez Miejsce Kolo PZKO oraz Gminy Ośrodek Kultury w Zebrzydowicach. Kilkadziesiąt osób wysłuchało prelekcji szefa kuchni restauracji „Baron”, Radima Parvy, nt. kulinarnych perełek regionów.

■ Ewa Szotkowska została 23 lutego mistrzynią RC w biegach narciarskich. Uczennica klasy II B Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie triumfowała na dystansie 5 km techniką klasyczną w kategorii młodzieżek.

■ Dzień Myśli Braterskiej – święto przyjaźni obchodzone 22 lutego każdego roku przez harcerzy i skautów na całym świecie, celebrowane jest również nad Olzą. W Książnicy Cieszyńskiej spotkali się, na przykład, druhowie i drużny z Harcerskiego Kręgu Seniora „Zaolzie” oraz z działającą w Cieszynie kregu „Korzenie”.

■ Kilkadziesiąt pań spotkało się 19 lutego w Czeskim Cieszynie na wspólnym zebraniu zor-

ganizowanym przez Sekcję Kobiet przy ZG PZKO. Przewodniczącą Klubów Kobiet z całego regionu zebrały się, żeby podsumować miniony rok i zaplanować działalność na najbliższe miesiące.

■ Starania w tej sprawie były już wcześniej podejmowane. Teraz być może zostaną wreszcie zwieńczone sukcesem: Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie będzie miało swojego oficjalnego patrona – Juliusza Słowackiego. Tego samego, którego imię nosiła pierwsza polska szkoła średnia na tym terenie – Gimnazjum Realne w Orlowej.

■ W niedzielę 2 lutego kapele „Jackové” i „Nowina” oraz chór męski „Gorol” wystąpili w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Górnej Łomnej. Dochód z koncertu przeznaczony będzie na modernizację świątyni w tej wiosce.

■ Nową książkę o protestantach na śląsko-morawskim pograniczu wydało Muzeum Ziemi Cieszyńskiej w Czeskim Cieszynie. Książka Jana Al Saheba „Moravští nekatolíci a Těšínsko v předtolerancním období” pojawiła się w serii „Studia o Śląsku Cieszyńskim” („Studie o Těšínsku”) jako 21. już tom.

■ W dwudziestu pięciu polskich szkołach podstawowych na Zaolziu zakończyły się zapisy do klas pierwszych na rok szkolny 2014/15. Łącznie rodzice zapisali 240 dzieci. To najlepszy wynik od kilkunastu lat, a także potwierdzenie, że zwykły trend w polskich szkołach w Republice Czeskiej nadal trwa.

Design (dizajn) to jedno z najmłodniejszych ostatnio słów, termin niezwykle wieloznaczny, odnosić się może zarówno do przedmiotów użytkowych, z którymi mamy na co dzień do czynienia, jak i dzieł sztuki, oznacza ich wygląd bądź projektowanie. Termin powszechnie kojarzony ze wzornictwem przemysłowym, sztuką użytkową (grafika, fotografia).

Przytoczę za *Wikipedią* najbardziej popularną definicję: *W znaczeniu podstawowym design jest wyglądem czegoś, co powstało na podstawie projektu z myślą o wytwarzaniu kolejnych egzemplarzy, przy czym liczba wytworzonych egzemplarzy nie ma znaczenia – liczy się sam zamiar powielania. W tym znaczeniu design obejmuje całą paletę stylów od wizualnych dziedzin sztuki, a więc może być design klasyczny, nowoczesny, futurystyczny itp. W znaczeniu szerszym do wyglądu dochodzą takie cechy jak funkcjonalność i ergonomia. Design odnosi się nie tylko do produktów trwałych, czy statycznych – ale także do widowiska, np. pokazu sztucznych ogni czy spektaklu fontann wodnych.* Gdyby wymienić wszystko co zmieści w sobie określenie „dizajn”, lub dyskutować co nim jest a co nie, zabrakło by miejsca w gazecie. Nie o to wszak chodzi...

Nas interesuje przede wszystkim wygląd przedmiotów niezbędnych w codziennym życiu (radioodbiorniki, telewizory, porcelana, szkło, meble, ubrania, rowery, opakowania kosmetyków, wyposażenie łazienek itp. Itd.), które tak często zamieniamy na nowe, a te stare najczęściej wyrzucamy na śmietnik, nie mamy bowiem miejsca na ich gromadzenie. Dawniej lądowały na strychach (chwała im za to), ale kto ma dzisiaj strych? Jeśli nawet taki jest, to zmieniono jego funkcję – a szkoda. Z biegiem lat stare przedmioty nabierają nie tylko sentymentalnych cech, ale odkrywamy także jak znakomitymi artystami byli ich twórcy. Na coraz częściej organizowanych wystawach te niepotrzebne rzeczy obdarzają nas swoim zlekceważonym pięknem. Nie pełnią już swoich użytkowych funkcji, ale odpowiednio wyeksponowane mogą być ozdobą najbardziej nowoczesnego wnętrza – designerskiego oczywiście. Na taką właśnie prezentację dizajnu, głównie z ubiegłego wieku, zaprasza katowicka Galeria Szyb Wilson.

Autorska wystawa „Dizajn bez granic” to dzieło słuchaczy studiów podyplomowych Zakładu Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego, którzy pracowali pod opieką dr hab. Army Koziny. Gorąco polecam ten spacer pośród piękniejących z dnia na dzień staroci. Można obejrzeć także supernowoczesną łazienkę – to ukłon w stronę współczesnego dizajnu i... sponsora. Jak powiadają kuratorzy wystawy: *Dobry dizajn to funkcjonalny desing, nie ograniczający użytkownika.*

Wiele przedmiotów zgromadzonych na wystawie każe zatrzymać się na dłużej



Dizajn w Wilsonie

Zlekceważone piękno

i wspominac. Zaczę od radioodbiornika *Ramona* produkowanego przez pierwszą polską powojenną fabrykę odbiorników radiowych DIORA w Dzierżonowie. To radio lampowe w obudowie drewnianej na czterech nóżkach. Nazwa nawiązuje do szlagieru Louisa Armstronga z tamtych lat. Projektował *Ramonę* Jan Kowalczyk, absolwent wrocławskiej ASP (późniejszy dziekan Wydziału Architektury Wnętrz i Wzornictwa tej uczelni). Kiedyś *Ramona* szokowała zbyt nowoczesnym wyglądem, dzisiaj to historyczny bibelot. Podobnie jak kolorowy symbol PRL – szklana ryba. Była niemal w każdym domu. Zdobila kredensy, stoły, witryny, pianina. Barwiła szarą rzeczywistość czerwienią, zielenią, turkusem i różnymi odcieniami żółci. Szklane ryby były obiektem pożądania i zachwyty, ale także żartów i kpin. Te fenomeny – jak uważają twórcy wystawy – krośnieńskiego hutnictwa szkła szczyt popularności osiągnęły w latach 70. Dzisiaj się już z nich nie wyśmiewa, dzisiaj wracają do łask. Niezmiernie, jak dawniej tak i teraz, zachwyca zestaw obiadowy „Giesche” wyprodukowany oczywiście przez „Giesche” Fabrykę Porcelany SA dawniej Czuday. Produkowano tu porcelanę dla każdego: drogą i taną, bogato i skromnie zdobioną. Te kruche cacka były obecne w każdym śląskim domu. Dzisiaj fabryki porcelany już nie ma – padła przygnieciona bezwzględnyimi prawami wolnego rynku. Jeszcze broni się jako placówka muzealna, ale czy długo? Kogo to dzisiaj obchodzi, że umiera jeden z najpiękniejszych symboli tej ziemi. Fotele bujane produkowane są w Radomsku od 1881 roku. Są mocne, lekkie i stosunkowo niedrogie dzięki przemysłowej metodzie produkcji mebli z giętego na gorąco drewna. Do dzisiaj Thonetowskie (od nazwiska założyciela fabryki) fotele cieszą się zainteresowaniem klientów. Od co najmniej 40 lat bujak z Radomska to najbardziej kochany mebel w naszym domu. Na wystawie

możemy podziwiać wyjątkowo piękny egzemplarz.

Lubomir Tomaszewski (ur. 1923 r.) jest uznanym w świecie projektantem, malarzem i rzeźbiarzem. Ale my znamy go przede wszystkim jako autora z roku na rok bardziej cenionych i podziwianych porcelanowych figurek z Ćmielowa. Powstałe w 1961 roku, pokazane na wystawie, dziewczyny w spodniach, obok produkowanych jeszcze wówczas Janosików wielkiej Zofii Stryjeńskiej, podbiły serca odważniejszych Polaków. Mam taką jedną dziewczynę – przeczekala na strychu trudne dla niej czasy i dzisiaj budzi zazdrość – jak to dziewczyna. Tomaszewski w 1966 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie tworzył oraz kształcił adeptów wzornictwa przemysłowego.

Ciekawa jest też historia fotela „366” z Dolnośląskiej Fabryki Mebli w Świebodzicach. Któż na takim nie siedział?

Zaprojektował go Józef Chierowski. Krzesła z tworzywa sztucznego to cały rozdział historii dizajnu. Tak popularne dzisiaj i obecne niemal we wszystkich ogrodach też miały swoje interesujące dzieje. Poznacie je na wystawie przy eksponowanym krześle wyprodukowanym ok. 1970 roku w Fabryce Tworzyw Sztucznych Krywałd ERG w Knurowie. Największe zainteresowanie pań budzi gablota prezentująca słynną Coco Chanel i jej kultowe flakony z perfumami. Ciekawostek jest więcej, nie sposób wszystkich opisać. Trzeba po prostu tę wystawę obejrzeć. Kuratorzy „Dizajn bez granic” ma wielu. To ich wspólne dzieło, trzeba więc ich wszystkich wymienić: Agnieszka Wyderka-Dyjecińska, Wojciech Dziubiński, Ilona Kamińska, Joanna Zuber, Robert Daszyk, Magdalena Grzebińska, Szymon Opara, Agnieszka Malec-Musialska, Danuta Jeziorska, Łukasz Karkoszka, Anna Ciepłńska, Gudrun Stolarczyk, Katarzyna Rij, Małgorzata Krawczyk-Trybulska, Wojciech Cader, Ewelina Fołtyn, Katarzyna Wronska, Agata Sitko, Tomasz Czaplą, Agata Świerkot, Olimpia Meus-Możdżeń, Agnieszka Drwięga, Daria Loranc, Iwona Szortyka.

Wyjątkowo piękne tło dla prezentowanej w Galerii Szyb Wilson sztuki użytkowej stanowi wystawa obrazów najwybitniejszych twórców związanych ze Śląskiem. Możemy zachwycać się szalonymi płótnami Marka Kamińskiego, wojnami barw Lecha Kołodziejczyka, trochę przerazić artystycznymi wizjami Karola Wieczorka, ale za to genialny samouk Erwin Sówka zarazi nas radością życia. Niezjący już wspinały malarz i guru katowickiego środowiska artystycznego Andrzej Urbanowicz poruszy ukryte pragnienia. Odpowiemy sobie na pytanie – za co kochamy Andrzeja Tobisa i hiperrealizm Macieja Nawrota? Jeśli do tego dodamy genialne martwe natury słynnego profesora Wacława Taranczewskiego to trzeba tu zajrzeć koniecznie.

WITOLD KOCIŃSKI



Unikatowa porcelana wyprodukowana przez „Giesche”



Fotel bujany z Fabryki Mebli Giętych w Radomsku



Rower trójkołowy dla dzieci (firma CCC Kanada Cycle&Motor Company)



Niepokonana Coco Chanel

Galeria Szyb Wilson

Dizajn bez granic



Szklane ryby – symbol PRL



Marek Kamiński, *Motorhead*, olej/akryl na płótnie

Zdjęcia: Witold Kociński

28-30 marca 2014

WIELKIE OTWARCIE FILHARMONII ŚLĄSKIEJ im. HENRYKA MIKOŁAJA GÓRECKIEGO

MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
Mirosław Sekuła

DYREKTOR FILHARMONII ŚLĄSKIEJ
im. HENRYKA MIKOŁAJA GÓRECKIEGO
prof. Mirosław Jacek Błaszczyk

zapraszają

Nowa przestrzeń dla muzyki

85. sezon artystyczny

Sala koncertowa im. Karola Stryji
ul. Sokalska 2, Katowice

28-29

piątek g. 17
uroczyste otwarcie
g. 19
koncert
sobota g. 17
koncert
g. 20
koncert

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej
Chór Filharmonii Śląskiej
Śląska Orkiestra Kamerna na
Mirosław Jacek Błaszczyk – dyrygent
Julian Gembała – organy
Krzysztof Łukas – organy
Piotr Paloczny – fortepian
Jarosław Wołanin – przygotowanie chóru

Jan Sebastian Bach – *Toccata i Fuga d-moll BWV 565*
Fryderyk Chopin – *Koncert fortepianowy e-moll op. 11*
Henryk Mikołaj Górecki – *Trojance op. 34*
Wojciech Kilar – *Evoluta*

30

niedziela g. 17
koncert

Śląska Orkiestra Kameralna
Robert Kabara – cygarety
Aleksandra Gajek-Antosiewicz – klawisz

Mieczysław Weinberg – *VII Symfonia C-dur op. 82*
Dmitrij Szostakowicz – *Przedmowa i Scherzo op. 11*
Piotr Czajkowski – *Souvenir de Florence*

5-6

kwietnia

DNI OTWARTE
JĘSTEM FILHARMONIAKIEM

spotkania z artystami / zwiedzanie obiektu
prezentacje / warsztaty / zabawy
konkursy



Projekt realizowany w ramach Programu Operacyjnego Rozwój Regionalny, priorytetowa oś: Rozwój obszarów wiejskich, działanie 4.1.1. Wsparcie rozwoju przedsiębiorczości w obszarach wiejskich. Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Regionalnego. Otwarcie Filharmonii Śląskiej 2014-2015

www.filharmonia-slaska.eu

Bilety:
ul. 30 Stycznia 17, 41-802 Katowice
tel. 71 73 51 11 11
www.filharmonia-slaska.eu

Filharmonia Śląska
im. Henryka Mikołaja Góreckiego
ul. Sokalska 2, Katowice
Góra 19 12 23 51 01

